Wydanie specjalne na święta

SZOPKA NA KÓŁKACH KRZYSZTOFA FEUSETTE'A

RANKING PREZYDENTÓW WOLNEJ POLSKI

WALIZKA GEN. RYSZARDA KUKLIŃSKIEGO

NAJLEPSI AUTORZY, CIEKAWE HISTORIE, DUŻO DO CZYTANIA!

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

51–52 (629-630) 2024
16–29 grudnia 2024

CENA: 12,90 zł
(w tym 8% VAT)

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
9 772544 269403 51
Numer w sprzedaży do 30 XII 2024 r.

GRZEGORZ GÓRNY O WIELKIEJ TAJEMNICY

PIERWSZE DNI JEZUSA

CO NAPRAWDĘ WYDARZYŁO SIĘ W BETLEJEM

eprasa.pl 6db49

Magiczny koncert kolęd

„Idą Święta!"

24 grudnia

18:00

wPolsce 24

Najpiękniejsze polskie kolędy i melodie bożonarodzeniowe w wykonaniu chóru, zespołu instrumentalnego i solistów Opery Lubelskiej

Retransmisja koncertu:
25 grudnia, godz. 16:00
26 grudnia, godz. 11:00

GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

telewizja naziemna	netia	orange	vectra	polsat box	PLAY dawniej UPC	inea
52	192	32	825	196	65	459

eprasa.pl 6db4984789

„W polskich sercach niby w żłobie leży dziś nasz Pan i Król.
My dziś Boga czujem w sobie, On nam radość zmienia w ból".

Zdrowych, spokojnych i pełnych rodzinnego ciepła świąt
życzy swoim Czytelnikom redakcja tygodnika „Sieci"

Nadzieja po katastrofie

Po nieco ponad roku od przejęcia władzy przez koalicję 13 grudnia nie ulega wątpliwości: październikowe wybory były narodową klęską. Skutki są takie jak po przegranej wojnie: degradacja gospodarcza i społeczna, upadek państwa prawa, coraz jaśniej artykułowany status półkolonii, gwałtowny spadek pozycji międzynarodowej. Symbolicznie tak żywa wcześniej debata geopolityczna nagle wygasła, przestała mieć jakiekolwiek znaczenie. To zrozumiałe: o geopolityce można rozmawiać w sytuacji elementarnej podmiotowości. Gdy jej brakuje, taka rozmowa nie ma większego sensu.

Ostatni rok to czas walki o zachowanie podstawowej architektury instytucjonalnej obozu niepodległościowego. Ekipa Tuska nawet przez moment nie podjęła poważnej próby konkurowania z poprzednikami na polu jakości rządów, ambicji, konkretnych osiągnięć. Od pierwszego dnia plan był inny: realizować cele narzucone z zewnątrz, wziąć wszystko za twarz, spacyfikować konkurencję, a polityków opozycji skryminalizować, wsadzić do więzienia, skazać, pozbawić pieniędzy. Wraz z upływem czasu nie ma już możliwości odwrotu, a represje są jedynym kursem, jaki władza może obrać. To swego rodzaju wyścig: czy zdoła złamać kręgosłup obozowi niepodległościowemu zanim społeczeństwo zorientuje się, że zostało oszukane, czy też jednak nastąpi odwrotny proces?

Sądząc po badaniach, według których aż 56 proc. Polaków ocenia sytuację w Polsce jako złą, a jedynie 36 proc. jako dobrą, Tuskowi coś się wymyka z rąk. Gdy PiS oddawało władzę, oceny były znacznie lepsze.

Ale nic nie jest jeszcze przesądzone. Kluczowe procesy polityczne i społeczne rozstrzygną się w czasie wyborów prezydenckich. Po paru tygodniach kampanii Karola Nawrockiego są podstawy do optymizmu. Kampania kandydata obywatelskiego (wspartego przez PiS) pokazała skalę mobilizacji wyborców patriotycznych, a także przyniosła swego rodzaju „reset" sytuacji. Nowy człowiek na narodowej scenie, mówiący nowym językiem, do tego utalentowany mówca z nutą charyzmy, podważył, a może już częściowo uśmiercił, rytualne osie podziału ostatnich lat. Z kolei fatalny początek kampanii Rafała Trzaskowskiego zbiegł się z narastającym rozczarowaniem rządami Platformy, coraz szerszą świadomością, że to wszystko jest po prostu hucpą, i to nieudolną, opartą jedynie na narastającej przemocy.

Wraz z Bożym Narodzeniem do polskich domów znów zawitała więc nadzieja. Ale najbardziej cieszy przebudzenie społeczne, zauważalne po stronie niepodległościowej. Jednak nie może być ono jedynie chwilową emocją, która przeminie wiosną, latem lub jesienią. Jako naród potrzebujemy mobilizacji w długiej perspektywie. Potrzebujemy samoorganizacji, aktywności, wytrwałości. Nie ma już przecież żadnych złudzeń: nasz kraj będzie trwał tylko wtedy, gdy wystarczająco wielu Polaków będzie chciało Polski i będzie dawało temu wyraz. Bierność Polaków zabije Polskę i to raczej szybciej niż później.

Jacek Karnowski

Autopromocja

SIECI spis treści

26 Najgorszy rząd w III RP
Marek Pyza

64 Za kulisami „Polityki na deser”
Dorota Łosiewicz

74 Te zwierzęta jako pierwsze ujrzały Jezusa
Przemysław Barszcz

NA POCZĄTEK

5 **MACIERZYŃSTWO, FEMINIZM, RESENTYMENT**
Bronisław Wildstein

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **SZOPKA NA KÓŁKACH**
Krzysztof Feusette

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **DUCHA NIE GAŚMY**
Daniel Obajtek

13 **NIE ZEROEMISYJNOŚĆ, A ZBROJENIA**
Marta Kaczyńska-Zielińska

14 **WALIZKA GEN. RYSZARDA KUKLIŃSKIEGO**
Michał Korsun

16 **SZOPKOWE WSPOMINKI**
Jan Pietrzak

16 **ODWRACANIE SŁÓW**
Samuel Pereira

17 **TRÓJMORZE – KLUCZ DO RÓWNOMIERNEGO ROZWOJU UE**
Arkadiusz Mularczyk

18 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

20 **ŚWIĘTA RODZINA ZASTĘPCZA**
Lech Makowiecki

TEMAT TYGODNIA

22 **PIERWSZE DNI JEZUSA**
Grzegorz Górny

KRAJ

26 **NAJGORSZY RZĄD W III RP**
Marek Pyza

29 **MASŁO LUKSUSOWE**
Konrad Kołodziejski

32 **RANKING PREZYDENTÓW III RP**
Stanisław Janecki

ŚWIAT

36 **PO TYSIĄCU DNIACH WOJNY**
Marek Budzisz

POD CHOINKĘ

40 **Z DARIUSZEM KARŁOWICZEM**
rozmawia Maciej Walaszczyk

44 **CHWAŁA I OBŁUDA**
Aleksandra Rybińska

48 **OBCA CYWILIZACJA**
Piotr Gursztyn

52 **WYŚCIG NA KSIĘŻYC**
Konrad Kołodziejski

56 **UŚMIECHNIĘTY LIBERAŁ WALCZĄCY**
Dariusz Matuszak

60 **ŚWIĘTO W WENECJI**
Jan Rokita

64 **ZA KULISAMI „POLITYKI NA DESER”**
Dorota Łosiewicz

67 **KRÓLEWSCY BRACIA**
Jolanta Gajda-Zadworna

70 **POLSKIE AGENTKI WIERNE DO KOŃCA**
Stanisław Płużański

74 **TE ZWIERZĘTA JAKO PIERWSZE UJRZAŁY JEZUSA**
Przemysław Barszcz

77 **RYBNA WIECZERZA**
Anna Monicka

80 **CZTERY LIZAKI – BALLADA ŚWIĄTECZNA**
Krzysztof Logan Tomaszewski

83 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

84 **SKANDAL WCIELENIA**
Robert Tekieli

85 **WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli

86 **KOKTAJL KULTURALNO-POLITYCZNY**
Maciej Walaszczyk

NA KONIEC

88 **DWA BRATANKI, ALE MY STRZELAMY BRAMKI**
Ryszard Czarnecki

90 **NOTRE DAME NA BOŻE NARODZENIE**
Katarzyna Zybertowicz

Następne wydanie tygodnika „Sieci” ukaże się 30 grudnia 2024 r.

eprasa.pl 6db4984789

BRONISŁAW WILDSTEIN

Macierzyństwo, feminizm, resentyment

Po estradzie miota się Marta Lempart. Jej gesty i bluzgi imitują zachowanie podpitego chama pod knajpą, który wymyśla swoim przeciwnikom. Na scenę wpada jej wychowanka. „Miałam aborcję! – wrzeszczy. – I co mi zrobicie?! Ch...a mi zrobicie!". We wszystkim naśladuje swoją poprzedniczkę. Usiłuje odwzorowywać prymitywną, samczą agresję, w której męskość sprowadzona zostaje do odruchów.

Oto punkt dojścia feminizmu. Zanegowanie kobiecości, która zostaje odrzucona i napiętnowana, oraz udawanie mężczyzny, nieświadomie sprowadzone do jego karykatury.

W pseudonauce, którą dziś zastąpił marksizm-leninizm, czyli gender, przybiera to kształt teoretyczny. Kobiecość ma być stworzona przez mężczyzn i stanowić przejaw patriarchalnej dominacji.

Wyznawcy gender mienią się materialistami. To, że negują elementarną odmienność, która w naturze dzieli ten sam gatunek, jest jedną z wielu, choć kluczową sprzecznością tej ideologii. Zasadniczym paradoksem współczesnego feminizmu jest zamykanie oczu na psychofizyczną naturę człowieka; płciowa odmienność musi przecież wyznaczać także istotne duchowe różnice, które prowadzą do społecznych konsekwencji. Prawdziwa równość polega na dostrzeżeniu tego i dowartościowaniu, a więc uznaniu kobiecej inności oraz jej fundamentalnego znaczenia w ludzkim bytowaniu.

Podstawowe powinno być rozpoznanie niezwykłości macierzyństwa. Współczesny feminizm uderza w nie tak jak w cały kompleks odmienności kobiet i domaga się, aby działały one jak mężczyźni.

Istnieje duży obszar ludzkiej aktywności, dla której płciowe zróżnicowanie nie ma znaczenia i gdzie kobiety powinny konkurować z mężczyznami na równych zasadach. Nie znaczy to jednak, aby nie dostrzegać odmienności i naturalnych przewag każdej z płci w uwarunkowanych nią dziedzinach. Feministki negują to. Uznają wyłącznie męski model kariery, zatem działają dokładnie odwrotnie, niż deklarują. Feminizm okazuje się resentymentem.

Resentyment to zły afekt. W obiegowym języku nazywa się w ten sposób spowodowane poczuciem krzywdy przekształcenie pozytywnego uczucia w jego zaprzeczenie. Filozoficzny wymiar pojęciu temu nadał Fryderyk Nietzsche. Resentyment, jego zdaniem, ma wyrastać z upokorzenia, które rodzi niesprostanie ideałowi, w efekcie czego następuje jego odrzucenie. Trudny wzorzec zostaje naznaczony negatywnie, a defekty, które nie pozwalały go osiągnąć, zostają uwznioślone.

Nikt rozumny nie będzie negował ciężarów związanych z rolą matki. Powinno to prowadzić do docenienia kobiet, które przyjmują tę odpowiedzialność. To w tym kierunku należy prowadzić realną walkę o równość płci.

Feministki dezawuują macierzyństwo. Zamiast jego wyjątkowego znaczenia eksponują aborcyjną swobodę nazywaną „prawem reprodukcyjnym". Trudno wyobrazić sobie bardziej deprecjonujące określenie, które rodzenie lub jego odmowę sprowadza do hodowli. No ale macierzyństwo przeszkadza w konkurencji zawodowej, a to ma być ideałem kobiet.

Feministki domagają się równego udziału kobiet we wszystkich profesjach, również tych, które z powodu specyficznych psychofizycznych wymogów desygnowane są bardziej dla mężczyzn. Podejście to z wszystkimi swoimi absurdami zostało powszechnie narzucone na Zachodzie.

Rola żony-matki jest trudna, ale poważnie traktowane zadanie męża-ojca też do łatwych nie należy. Dyskredytując macierzyństwo, feministki otwierają drogę do lekceważenia przez mężczyzn ich odpowiedzialności. Jeśli urodzenie i opieka nad dzieckiem nie są dowartościowywane społecznie, to dużo łatwiej porzucić żonę z dzieckiem i „samorealizować się" z nową partnerką. Macierzyństwo obciążone zostaje kolejnym ryzykiem i nic dziwnego, że w tym stanie rzeczy kobiety częściej z niego rezygnują.

Mają przecież obowiązek być aktywne zawodowo. Jeśli poświęcają się opiece nad dziećmi i prowadzeniu domu, ich wybór jest dyskredytowany. To jedna z bardziej odrażających charakterystyk współczesnego feminizmu i całej naszej epoki, która w zasadzie przejęła taką postawę. Negatywne konsekwencje tego są trudne do przecenienia i widzimy je na co dzień.

Obecnie feministki atakowane są przez następne wcielenia gender: trans, queer i kolejne wymysły karnawałowej wyobraźni. Są zdumione i zaszokowane. Nie powinny. Jeśli kobiecość jest kulturową formą narzuconą przez patriarchat, to płciowy podział również ma taki charakter. Nie ma podstaw, aby się go trzymać, a walka o prawa określonej płci staje się obroną *status quo* ufundowanego na dominacji i rodzajem esencjalizmu – to ideologiczna obelga paralelna do epitetu „idealizm", którym marksiści przygważdżali swoich oponentów – co w rzeczywistości oznacza wyróżnianie i definiowanie rzeczy oraz zjawisk.

Zakwestionowanie węzłowych ludzkich dystynkcji pozbawia nas egzystencjalnych i kulturowych fundamentów oraz otwiera perspektywę najdalej idących, arbitralnych manipulacji.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 6db4984789

Sygnalista nadaje

Bążur! Za nami 13 grudnia, cudowny czas wzruszeń. Ta data to prawdziwe święto pojednania. Nie tylko rocznica pamiętnych słów: „Ojczyzna nasza znalazła się nad przepaścią" (ale dzięki generałowi zrobiła krok do przodu). To też czas pięknych słów premiera uśmiechniętej Polski. „Chcemy być wspólnotą. I temu będzie służyła przede wszystkim praca nowego rządu" – mówił rok temu i dotrzymał słowa. Jagodno i miasteczko Wilanów są wspólnotą. A pisowców tam nie ma i nie będzie.

Wzruszają nas też te słowa z zeszłorocznego exposé: „Każdy jest wart szacunku i respektu, każdy jest wart swoich praw. Tym, co naprawdę buduje wspólnotę, to rządy prawa, to konstytucja, to zasady demokracji". Pięknie powiedziane, ale trzeba doprecyzować: nie dotyczy pisowców.

Te uwagi o tym, kto zasłużył na bycie wspólnotą, a kto nie, są bardzo ważne. Przecież widzieliśmy nieodpowiedzialne osoby z koalicji, które zagłosowały przeciw odebraniu immunitetu Jarosławowi Kaczyńskiemu. Czy ci ludzie nie rozumieją, o co walczy premier Tusk? Niech odniosą do siebie słowa nawiązujące do klasyka z zaprzyjaźnionego z nami kraju: „To jedna z rzeczy, które mówi się z taką łatwością. »PiS będzie wytępiony«, mówi każdy demokrata, to »całkiem jasne, wyeliminowanie pisiorów, wytępienie jest w naszym programie, zróbmy to«. Ale wtedy wkraczają wszyscy oni, miliony uśmiechniętych demokratów, z których każdy ma swojego przyzwoitego pisiora. To przecież jasne, pozostali to świnie, ale ten jeden to pisior pierwsza klasa".

Poza tym postulujemy, aby exposé premiera Tuska zostało wpisane na listę Dziedzictwa Niematerialnego UNESCO. Choćby za te cudowne słowa poświęcone nie tylko pani asystentce społecznej Kristinie: „Nie wyobrażam sobie polityki bez miłości!".

My też i dlatego nie możemy doczekać się comiesięcznego spotkania z obywatelami, które premier obiecał w exposé: „Chciałbym się tutaj zobowiązać, że każdego miesiąca gdzieś w Polsce w sposób otwarty, publiczny, czy przyjdzie 10 tys. ludzi, czy 5 osób, znajdę czas, aby wyspowiadać się w imieniu mojego rządu z tego, co zrobiliśmy, z tego, co się udało, gdzie jest kłopot – uczciwie i prawdziwie będziemy każdego miesiąca takie sprawozdawcze exposé Polakom składali".

„Budżet przyjęty. Jedność koalicji wzorowa. Walec jedzie dalej" – jak mawia pan premier i dlatego można ogłosić z radością: Polsat wzięty (prawie), a TVN obroniony. A było niełatwo. Ileż stresu przeżyli pracownicy tej stacji, gdy dowiedzieli się, że zostaną sprzedani jakimś Węgrom. Ileż łez przelała pani prezes Kieli, błagając swych amerykańskich panów, aby sprzedali ją jakiemuś dobremu białemu masta, a nie złemu, węgierskiemu. Znów wszystko musiał ratować premier. Kapitalny ten pomysł z uznaniem Polsatu i TVN za strategiczne spółki telekomunikacyjne! Putin by na to nie wpadł (to w ogóle miękiszon w porównaniu z Tuskiem). Choć dobry był też zapowiadany wcześniej pomysł z wyłączeniem sygnału TVN, gdyby Węgrzy jednak kupili tę stację. W tej kwestii, czyli wyłączenia sygnału, wielkie doświadczenie ma były minister kultury Sienkiewicz.

Teraz czas na internety. Je też pora wyłączyć albo uznać za przedsię-

eprasa.pl 6db4984789

biorstwa strategiczne, bo dzieją się w nich okropne rzeczy. Ludzie piszą, co chcą i nikt tego nie kontroluje. Tam nawet pisowców nikt nie nadzoruje. Doszło do tego, że w internetach bez żadnej kontry, bez żadnego odpowiedniego komentarza, pojawił się pisowski kot o imieniu Fiona i zakłócił piękną uroczystość, która odbyła się w Gliwicach ku czci prezydenta naszych serc ***Rafała Kazimierza Trzaskowskiego***. Przez ten perfidny trolling zmarnowało się kilka milionów publicznego grosza wydane na cześć Rafała Kazimierza. Ludzie oglądali pisowskiego sierściucha, a nie demokratów.

Tak dalej być nie może, więc z ciekawą inicjatywą wystąpił redaktor wicenaczelnik „Gazety Wyborczej" Bartosch Te Wieliński. „Surowa regulacja portali społecznościowych jest koniecznością. Czy Unia Europejska jest w stanie takim scenariuszom przeciwdziałać?" – napisał zatroskany losem demokracji walczącej redaktor wicenaczelnik. Słuszny postulat! Przez te niekontrolowane internety i inne twittery ludzie przestali czytać „Wyborczą" i oglądać TVN. I no potem głosują nie na tych, na których powinni.

Tym bardziej trzeba kontrolować internety, bo widzieliśmy, z kim spotkał się człowiek, który w 2020 r. ukradł zwycięstwo Rafałowi Kazimierzowi, jedynemu prawdziwemu prezydentowi uśmiechniętej Polski. Niejaki ***Andrzej Duda*** został przyłapany na spotkaniu z niejakim Elonem Muskiem. O czym rozmawiali? Z pewnością knuli. Dokładnie w tym samym czasie w internetach pojawił się pisowski kot Fiona. Łączycie już kropki? PS Andrzej ma na drugie imię Sebastian, a Musk jest Elon Reeve.

Tymczasem w kraju trwa prekampania prezydencka. Ale chyba niepotrzebnie. I niepotrzebnie też Rafał Kazimierz wydaje pieniądze na druk plakatów niewyborczych (bo wyborczych jeszcze nie wolno drukować). Niepotrzebny też jest niepokój, że niejaki Karol Tadeusz Nawrocki ma coraz lepsze wyniki w sondażach. Może mieć i 99 proc. w wyborach, a i tak nie zostanie prezydentem. Nasi przyjaciele demokraci z Rumunii dali nam przykład, jak to się robi: „Sąd konstytucyjny Rumunii unieważnił I turę prezydenckich wyborów. Przyczyną są zagraniczne manipulacje w trakcie kampanii wyborczej. Nie miejmy złudzeń z jakiego kraju było to sterowane. Obronimy Polskę przed podobnym scenariuszem" – napisał minister od policji Tomasz bez drugiego imienia Siemoniak. Nie traćmy zatem czasu i pieniędzy. Niech uchwała Sejmu i tweet premiera Tuska określą wreszcie, kto jest prezydentem.

Przez to, że ludzie gapili się w internetach na Fionę, a nie słuchali demokratów, nie dotarło do nich, co naprawdę dzieje się z masłem. Otóż na konwencji niewyborczej Rafała Kazimierza podana została ważna informacja: masło jest tak drogie, dlatego że wyżera je prezes Glapiński z NBP. I jeśli zniknie ten maślany skrytożerca, masło będzie kosztowało 5,19 zł.

„Niestety to nie jest ten czas, aby ściśle w sposób pozytywistyczny trzymać się litery prawa" – kolejne piękne słowa do sztambucha wszystkich, którym drogie są praworządność i demokracja walcząca. Nie są to słowa pana premiera. Wypowiedziała je prokurator Ewa Wrzosek, człowiekini, którą widzimy na stanowisku prokuratorki generalnej. A człowiekiem, który musi zostać ministrem sprawiedliwości, jest ***Roman Giertych***. Tak stwierdziła pani prokuratorka.

Zostało to trochę źle odebrane. Bo powiedziała wiele ciepłych słów o Adamie Bodnarze, ale wyszło, jakby on był ciapą i fujarą, ponieważ nie daje sobie rady z pisiorami. Adam się trochę obraził, bo mówił później, że oczekiwał od Ewy lojalności. Ale czy słusznie? Antypisizm jest przecież ważniejszy od takich bzdur, jak lojalność. Ostatecznie głos zabrał mecenas Roman (na drugie imię Jacek). „Radzę pani prokurator, aby w sprawie obsady rządu Donalda Tuska zaufała Donaldowi Tuskowi" – odpisał. Roman ufa, więc się doczeka.

„Tak jak zobaczycie, że wymiar sprawiedliwości może być neutralny, nie partyjny, służący Polsce, a nie partii rządzącej, tak zobaczycie i pewnie oczom nie uwierzycie, że telewizja publiczna może służyć Polsce, a nie partii rządzącej. I tak będzie" – tym pięknymi słowy z zeszłorocznego exposé podsumujemy naszą radość z ostatniej edycji Grand Press dla żurnalistów zaangażowanych po stronie demokracji walczącej. Ich bohaterskie demaskowanie zbrodni i występków PiS zostało należycie docenione. Zobaczyliśmy piękne twarze mądrych ludzi – Justyny Dobrosz-Oracz, Renaty Kim, Wojciecha Czuchnowskiego i wielu innych postaci znanych ze swojej bezstronności, niezależności i rzetelności dziennikarskiej. Takich dziennikarzy nam trzeba, a nie tych, co podszczekiwali, że nie było ani jednej nagrody za materiały krytyczne wobec obecnej władzy. A czego wam się zachciewa, prawacy i symetryści? Zaplute karły pisizmu!

Jedyny żal, że na swoje nagrody czekają tak wybitne pióra, jak Kseroliza Michalik, Janek Piński i jego kamanda, Tomasz Wiejski, Tomasz Piątek i oczywiście Magdalena Chodownik (*primo voto* Rubcow-Gonzalez). Ale to tylko kwestia czasu. A bientot za rok! Orewuar!

Fot. M. Czutko, Andrzej Wiktor, Julita Szewczyk

eprasa.pl 6db4984789

Szopka na kółkach

Donald Tusk: *(na melodię hymnu Unii Europejskiej)*
„O, Platformo, iskro bogów,
Słońce Peru wzywa was.
Trzeba spuścić psy na wrogów,
bo kampanii mamy czas.
Niech im piana cieknie z pyska,
zanim ktoś im rzuci kość.
Sprawa nie jest oczywista,
w Polsce jest zakonnic dość...".
A teraz poznajcie Rafała. Takiego Rafała jak Polska cała. To znaczy cała Polska naprzód. Przyjaciół z Niemiec prosimy o przesunięcie się do tylnych rzędów, zwłaszcza na czas kampanijnej szopki.
Rafał Trzaskowski: Bonjour, pijcie polskie wino!
Marcin Kierwiński: *(z pogłosem)* Bardzo susznie! Ten facet już mi się podoba!
Rafał Trzaskowski: Hej, kochani, słuchajcie, chcę wam coś powiedzieć. Zwyciężymy, słuchajcie. Bo Polska jest cała naprzód, to znaczy naprzód jest Polska, potem cała... To może inaczej.
(na melodię „Roty")
„Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz,
Ni dzieci nam germanił".
Klaudia Jachira: Wróć, co ty śpiewasz? Ja to poprawiłam w Sejmie. Tam jest teraz: „Tak nam dopomóż Tusk".
Rafał Trzaskowski: Zabierzcie ją, bo mi całą kampanię sp...rzy. Ja jestem patriotą gospodarczym i w ogóle. I się tego nie wstydzę. O, proszę bardzo, kolejna pieśń patriotyczna.
(na melodię „Autobus czerwony")
„Autobus czerwony
przez ulicę mego miasta mknie.
Mija tramwaj na Wilanów,
w którym można spotkać mnie!".
Donald Tusk: A coś innego? Mnie biorą numery, które już kiedyś słyszałem, a to jest jednak tragiczne w wymowie. W piosence on mknie, a u ciebie się wlecze.
Rafał Trzaskowski: To może takie coś?
(na melodię „Warszawa da się lubić")
„Trzaskowski da się wybrać,
Trzaskowski da się lubić.
On ci usta taśmą sklei,
żeby o wolności mówić.
Wspaniały i wysoki,
tramwajem skrzynki wozi.
Baba stoi, a on siedzi,
czasem trzeba wyjść do ludzi.
Trzaskowski jedzie na wieś,
bo pies z nią nie tańcował,
potem w straży strzeli fotkę,
zaproszony przez...".
Władysław Kosiniak-Kamysz: Nie kończ, Rafale. Nie słyszałeś, co premier mówił? Musisz sprawić, żeby Polska była poje... poje... aż mnie w nosie kręci... pojednana. Jeszcze bardziej poje... Apsik!...ana niż jest obecnie. Bo przecież ludzie znowu ze sobą rozmawiają. Kosiniak z Kamyszem, Scheuring z Wielgus, Gasiuk z Pihowicz, Kidawa z Błońską. I o to chodzi. Wojsko też jest pojednane. Tym bardziej nie mogę sobie pozwolić na utratę resztek autorytetu ministra obrony obywatelskiej, to znaczy narodowej, i popieram, jako całe PeEzEl, osobę kandydata niezależnego. Czyli marszałka Sejmu.
(na melodię „Córka rybaka")
„Szymon Hołownia
jest niezależny.
Popatrz, jaki
fajny chłopak,
jaki śmieszny.

eprasa.pl 6db4984789

Znów są barierki
i ustaw chłodnia, na, na, na.
Czas się przekonać,
ilu wyborców
ma Szymon
Hołownia...".

Szymon Hołownia: A zatem przychodzę do was, ludzi zwyczajnych i ze zwyczajnymi sprawami na głowie, w zwyczajnych autach jeżdżących do zwyczajnej pracy. Przychodzę do was, jakbym sam był zwyczajny, właśnie po to, żeby wam zwyczajnie powiedzieć: „Te wybory są o tobie, Szymonie. I o tobie, Szymku. I nawet o tobie, Szymusiu. Te wybory są o was. Chcę je wygrać, żeby Belweder wreszcie jeździł na kółkach".

Donald Tusk: *(na melodię „Nie płacz, Ewka")*
„Nie płacz, Szymku, bo tu miejsca brak
na twe babskie łzy.
Konstytucję dawno trafił szlag,
a ciebie wraz z tym.
Patrz sędziowie nasi
z dawnych lat
obrastają w tłuszcz.
Bodnarowcem został każdy z nas...".

Tomasz Siemoniak: *(dośpiewuje)* „...tylko nie pan Tusk".

Donald Tusk: Czy to jest jasne, panie Szymku? Żebyśmy już nie musieli wracać, sam pan wie, do czego...
(na melodię „Autobus czerwony")
„Collegium Humanum
przez gazety w prekampanii mknie.
Rozpiernicza Szymka w drobny mak,
a on jeszcze cieszy się...".

Szymon Hołownia: *(na melodię „Świat nie wierzy łzom")*
„Świat nie wierzy łzom,
szkoda naszych łez.
Świat nie wierzy łzom,
bo za dużo jest
na tym świecie łez".
(wybucha płaczem)

Paulina Hennig-Kloska: *(na melodię „Wymyśliłam cię nocą przy blasku świec")*
„Pomyliłam się
nocą przy blasku świec,
ile skoczy gaz i ile parków jest...".
No i znowu się pomyliłam!
(na melodię „Kupujcie bubliczki")
„Kupujcie wiatraczki,
niemieckie wiatraczki.
Cudowne wiatraczki
ja mam dla was...".

Izabela Leszczyna: Czy pani może ciszej? Pani im zaraz wszystko wyśpiewa. Przy okazji, różdżki pani przypadkiem nie znalazła? Taka mała, w kształcie... trochę się wstydzę powiedzieć. Pani Basiu, pani odwróci uwagę opinii publicznej...

Barbara Nowacka: *(na melodię „Jesteś szalona")*
„Jestem szalona, mówię wam.
Jestem szalona, chociaż dyplom mam.
Nie jestem zboczona, mówię wam,
jestem szalona.
Jestem szalona i dlatego znów
powrócił temat
z moich mokrych snów,
by dzieci uczyć, jak się robi seks.
Jestem zboczona...
Pardon, szalona...

Marcin Kierwiński: Tak jest, z buta wchozimy!
(na melodię „W Polskę idziemy"):
„Z buta wchodzimy
i rozpiep...my
w tym kraju wszystko,
nim alkotubka
zrobi z nas głupka.
Po głos sięgniemy,
po głos wyborczej
armii hejterów,
zer, mend, idiotów.
Gdyby nam kiedyś tego zabrakło...".

Donald Tusk: *(dośpiewuje)* „...to spotkamy się w hali odlotów".

Wszyscy razem, oprócz Razem i Donalda Tuska: *(na melodię „Niech żyje bal")*
„Niech żyje wał,
bo rządzenie
to wał jest nad wały.
Niech żyje Tusk,
ojciec chrzestny tych wałów
wspaniały...".

Donald Tusk: Dziękuję. I dlatego nie startuję. Teraz trzeba zrobić „Trzask!", żeby słup w pałacu stał. System domknie się jak trumnę. Skończą się pretensje durne.

Donald Tusk i Adam Bodnar: *(na melodię „Jeżeli kochać")*
„Jeżeli łamać, to nie indywidualnie.
Jeżeli łamać, to tylko we dwóch.
Czy torturami chcesz ich gnębić, czy medialnie,
niech w czynnościach wierny wspiera cię druh.
Bo pojedynczo się z wyrokiem nie upora
ni prokurator, ni premier, ni wódz,

więc ty drugiego sobie dobierz amatora,
by całą winę kiedyś przypisać mu
i wespół, w zespół, wespół, w zespół...".

Władysław Kosiniak-Kamysz: *(na melodię „Nie domykajmy drzwi")*
„Nie zamykajcie nas,
zostawcie uchylone cele.
Nie zapomnijcie, że
jesteśmy tylko PeEzElem.
Nie zamykajcie nas,
gdy przyjdzie nagle dzień zapłaty
za to, co każdy z nas
zrobił wam przez ten rok,
rodacy...".

Krzysztof Feusette

eprasa.pl 6db4984789

Wielka Brytania

Błędne koło imigracji

Brytyjska federacja reprezentująca interesy małych i średnich firm budowlanych domaga się od rządu, aby ściągnął setki tysięcy imigrantów. Mają oni budować domy dla innych imigrantów, których w Wielkiej Brytanii jest już tak wielu, że brakuje dla nich mieszkań.

Za sprawą niekontrolowanej migracji brytyjska populacja rośnie najszybciej w historii, osiągając pułap 1 mln osób netto rocznie. Apel ujawnił też zależność między potężnym lobby budownictwa mieszkaniowego a polityką masowej migracji. Duża liczba osób przybywających każdego dnia do Zjednoczonego Królestwa przez wiele lat doprowadziła do ogromnego popytu na mieszkania i domy, wpływając również na drastyczny wzrost cen. W rezultacie Wielka Brytania stała się jednym z najdroższych miejsc na świecie pod względem zakupu lub wynajmu nieruchomości, co wzbudza w społeczeństwie poważne obawy o przyszłość. Młodzi stają bowiem przed realną perspektywą, że za przeciętne wynagrodzenie nigdy nie będą w stanie kupić własnego domu.

Choć szczelne kontrole graniczne mogłyby w pewnym stopniu zmniejszyć napływ imigrantów, to polityczny establishment zdecydowanie lobbuje za zwiększeniem podaży na rynku, przyczyniając się do betonowania coraz większych połaci kraju. Wywierana jest też presja na władze lokalne sprzeciwiające się nakazom budowy wydawanym przez rząd w Londynie. Lewicowy „The Guardian" opublikował raport, w którym ujawnił, że jedna piąta darowizn wpłacanych na Partię Konserwatywną pochodziła z „sektora nieruchomości mieszkaniowych". Jednocześnie lewicowy premier Keir Starmer mocno wspiera imigrację i obiecuje, że do końca kadencji wybuduje 1,5 mln nowych domów.

Jednak deweloperzy alarmują, że jest to niemożliwe ze względu na brak fachowców i wnioskują o wydanie „setek tysięcy" tymczasowych wiz pracowniczych. W praktyce oznacza to sprowadzenie na Wyspy taniej siły roboczej spoza Europy. Chodzi tutaj o co najmniej 250 tys. dodatkowych pracowników potrzebnych, aby zrealizować plany rządu. Branży budowlanej łatwiej jest bowiem importować pracowników, niż szkolić nowych. W ten sposób imigracja zatacza błędne koło.

Maciej Walaszczyk

Fot. Dr David Sing/Shutterstock.com

Chiny

Czystki w armii

Pod koniec listopada dziennik „Financial Times" poinformował, że pełniący funkcję chińskiego ministra obrony adm. Dong Jun został objęty śledztwem w związku z korupcją w siłach zbrojnych. Gdyby te wiadomości się potwierdziły, mielibyśmy do czynienia z usunięciem z funkcji trzeciego ministra obrony w krótkim czasie.

W 2023 r. odwołano gen. Wei Fenghe, w przeszłości dowodzącego chińskimi wojskami rakietowymi. W tym przypadku również chodziło o korupcję, a zarzuty najprawdopodobniej się potwierdziły, bo po przejściu na emeryturę minister został usunięty z partii komunistycznej i postawiony przed sądem. Jego następca gen. Li Shangfu (zanim został mianowany przez Xi Jinpinga na nowego ministra obrony, kierował chińskimi siłami kosmicznymi) pełnił tę funkcję jedynie przez dziewięć miesięcy i też został odsunięty w związku z zarzutami korupcyjnymi. W listopadzie chiński resort obrony w lakonicznym komunikacie poinformował także o odwołaniu z funkcji adm. Miao Hua kierującego departamentem odpowiadającym za nadzór polityczny nad siłami zbrojnymi.

Zachodni analitycy mówią o zainicjowanych przez Xi Jinpinga czystkach personalnych w dowództwie chińskiej armii. W czerwcu podczas spotkania dowództwa Centralnej Komisji Wojskowej, która odpowiada za politykę kadrową w chińskich siłach zbrojnych, Xi, nawiązując do wypowiedzi Mao Zedonga, stwierdził, że „lufy karabinów zawsze muszą się znajdować w rękach tych, którzy są lojalni i niezawodni wobec partii. I musimy jasno powiedzieć, że w wojsku nie ma miejsca dla żadnych skorumpowanych elementów".

Helena Legarda z berlińskiego Mercator Institute for China Studies, która kieruje programem analizującym zmiany w chińskich siłach zbrojnych, uważa, że ostatnie zmiany personalne świadczą o nasileniu czystek kadrowych. Jej zdaniem nie ma jednak pewności, czy chodzi wyłącznie o korupcję, bo być może Xi usuwa przy okazji potencjalnych rywali.

Zdaniem niektórych ekspertów czystki w chińskiej armii mogą negatywnie wpłynąć na jej zdolności, co w przyszłości ograniczy skłonność Pekinu do prowadzenia agresywnej polityki zagranicznej. Inni uważają, że przeciwnie – podjęte w ostatnich miesiącach działania mają na celu wzmocnienie kontroli partii komunistycznej i Xi Jinpinga nad siłami zbrojnymi, co może się okazać niezbędne, gdyby Chiny zamierzały użyć swojego potencjału militarnego.

Marek Budzisz

Fot. Meeh/Shutterstock.com

eprasa.pl 6db4984789

Węgry

Kres naftowej gry

Fot. Vlad Ispas/Shutterstock.com

Węgry byłyby gotowe zerwać z uzależnieniem od rosyjskiej ropy do końca 2026 r., jeśli Unia Europejska pomoże im sfinansować zmianę importera. Do tej pory węgierska gospodarka opierała się na dostawach z Rosji. Dzięki rabatowi udzielonemu Węgrom przez Moskwę udało się utrzymać niższe ceny na rynku, co miało kluczowe znaczenie dla notowań rządu Viktora Orbána.

„Bez rosyjskiej ropy Węgrzy będą głodować" – powiedział we wrześniu węgierski minister spraw zagranicznych Péter Szijjártó. Jednak zależność Węgier od rosyjskich dostaw ma również wymiar polityczny. Tanie surowce z Rosji pompowały popularność Orbána, który podkreślał, że jego pragmatyczna polityka pozwala uchronić Węgry przed wojną i wzrostem cen energii. Zaostrzenie stosunków z Moskwą lub zmiana dostawców oznaczałaby krach tej strategii i kłopoty rządu, dlatego Orbán kurczowo trzymał się współpracy z Rosją.

Po wybuchu wojny na Ukrainie i nałożeniu przez Unię Europejską sankcji na import rosyjskiej ropy naftowej, Węgrom i Słowacji udało się uzyskać wyłączenie dla ropy sprowadzanej rurociągiem. Było ono tymczasowe i miało dać obu państwom czas na znalezienie alternatywnych dostawców paliwa. Jednak Węgry nie wykazały większego zainteresowania odejściem od rosyjskiej ropy, a nawet zwiększyły swoje uzależnienie od niej. Podpisały również nowe umowy gazowe z Gazpromem. Być może liczono na szybki koniec wojny, ale nic takiego nie nastąpiło.

Obecnie węgierski koncern naftowy MOL ma długoterminowy kontrakt na ropę naftową z Łukoilem, który wygaśnie w czerwcu przyszłego roku. Zarząd koncernu zamierza przedłużyć umowę, „jeśli będzie to prawnie wykonalne". Może jednak zmienić dostawcę pod warunkiem, że Unia Europejska sfinansuje modernizację węgierskich rafinerii, które nie są przystosowane do przerobu innej ropy niż rosyjska. Według wyliczeń koszt takiej przebudowy wyniesie 500 mln dol.

Węgry próbują walczyć, ale są przyciskane do muru. W 2027 r. ma nastąpić całkowite odejście od rosyjskich surowców i jeżeli Budapeszt nie zdąży przed tym terminem, to na Węgry zostaną nałożone kary. Swoją grę prowadzi też Ukraina. Przez jej terytorium przechodzi rurociąg, którym rosyjska ropa jest dostarczana do Węgier. Kijów może więc zablokować dostawy. Istnieją jeszcze alternatywne opcje, ale są one dużo droższe, co niweluje cenową przewagę rosyjskiej ropy.

Flirt z Moskwą miał dać Viktorowi Orbánowi szerokie pole manewru w jego bataliach z Brukselą. Po wybuchu wojny na Ukrainie taka polityka staje się jednak coraz mniej skuteczna.

Konrad Kołodziejski

Iran

Zapaść demograficzna

Fot. Grigovan/Shutterstock.com

W powszechnym mniemaniu kryzys demograficzny dotyczy dziś głównie państw, które niegdyś były chrześcijańskie, natomiast nie jest to problem krajów muzułmańskich. Tymczasem okazuje się, że spadek dzietności coraz częściej dotyka także świat islamu.

W Turcji od 2018 r. przyrost naturalny jest tak niski, że nie gwarantuje już procesu zastępowalności kolejnych generacji. Jeszcze gorsza sytuacja panuje w Iranie, co może budzić zdziwienie, ponieważ mamy do czynienia z teokratyczną republiką islamską, w której obowiązuje restrykcyjnie egzekwowane prawo wyznaniowe. O ile jeszcze w 1980 r. współczynnik dzietności w państwie Persów wynosił aż 6,58, o tyle w 2000 r. spadł on poniżej progu reprodukcji pokoleń i nigdy już nie powrócił do poziomu powyżej 2,1. W 2022 r. wyniósł zaledwie 1,68.

Irańscy demografowie alarmują, że do końca tego stulecia populacja kraju zmniejszy się o 50 proc., przy czym ok. połowę mieszkańców będą stanowić osoby w wieku podeszłym. Oznacza to, że liczba ludności państwa skurczy się z 87 do 42 mln. W związku z tym wiceminister zdrowia Alireza Raisi oświadczył wprost: „Jeśli taka sytuacja utrzyma się, za 100 lat nie będzie już kraju zwanego Iranem".

Negatywny trend pogłębia się od niemal ćwierćwiecza, mimo obowiązującego zakazu aborcji i wezwań najwyższego przywódcy Alego Chamenei, aby kobiety rodziły więcej dzieci. Nie pomagają też pronatalistyczne działania rządu, takie jak przyznawanie darmowej ziemi i ubezpieczeń małżeństwom, które zdecydują się na większą liczbę potomstwa. W 2023 r. liczba urodzeń w Iranie spadła o 17 tys. w porównaniu z rokiem poprzednim. Nic nie wskazuje też na to, aby wspomniana tendencja miała się odwrócić.

Na niski przyrost naturalny z pewnością mają wpływ czynniki takie jak bieda (jedna trzecia mieszkańców żyje poniżej progu ubóstwa) czy inflacja (przekraczająca 40 proc. przez ostatnich pięć lat). Jednak decydujące wydają się globalne trendy kulturowe, które nie omijają nawet islamskich reżimów teokratycznych.

Grzegorz Górny

eprasa.pl 6db4984789

Ducha nie gaśmy

Grudzień to dla chrześcijan czas refleksji, pokoju i nadziei. Po raz kolejny po adwentowym oczekiwaniu i skupieniu światło przezwycięża mrok. Bóg się rodzi, moc truchleje, w serca ludzi wlewa się nadzieja i wiara w zbawienie. Syn Boży jest z nami, jest u nas, jest dla nas

To czas rodzinnych spotkań, kolędowania, prezentów, tradycyjnych świątecznych potraw, a także, a może przede wszystkim, składania sobie życzeń – najbliższym, przyjaciołom oraz wszystkim znajomym i nieznajomym.

Dlatego ja również składam w tym felietonie szczere i pełne nadziei życzenia.

Europejskim decydentom życzę rozsądku, odwagi i sprawczości w przeprowadzaniu niezbędnych zmian w regulacjach klimatycznych. Europejską gospodarkę trawi kryzys, przemysł umiera, rolnictwo traci oddech – tylko pilne i radykalne zmiany dają nadzieję na poprawę sytuacji. Konieczna jest głęboka rewizja Zielonego Ładu, radykalne uproszczenie przepisów i procedur administracyjnych, stanowcze zatrzymanie migracji i wzmocnienie siły obronnej. Musimy znaleźć metody uniezależnienia się od pozaunijnych źródeł energii i surowców krytycznych oraz zachęty dla innowacyjnego przemysłu do pozostania na Starym Kontynencie. Wszystko to jest konieczne natychmiast – oby w Brukseli nie zabrakło politycznej woli i determinacji.

Rządzącym obecnie Polską życzę refleksji i opamiętania. Tak, by interes naszego kraju i jego obywateli choć na chwilę postawili przed interesem partyjnym czy osobistym. By znaleźli sposób na skuteczne spełnienie chociaż ułamka wyborczych obietnic. By zamiast nienawiści i ślepej żądzy rozliczeń ich działaniami kierowała troska o gospodarkę i co za tym idzie portfele Polaków. By w Unii nikt ich ciągłe nie ogrywał i by skutecznie zajęli się tym, co dla ludzi najważniejsze – inflacją, drożyzną i bezpieczeństwem granic.

Wszystkim Europejczykom życzę spokoju, poprawy losu ekonomicznego i poczucia bezpieczeństwa. Po ostatnich trudnych latach pandemii, wojny, kryzysu energetycznego i niekontrolowanej fali migracji życzę roku bez gwałtownych wstrząsów, dramatycznych wydarzeń, kolejnych katastrof. Roku przywrócenia spokoju i poczucia bezpieczeństwa.

Moim rodakom życzę wszystkiego, na co zasługują swoją ciężką pracą, determinacją i wytrwałością. Życzę państwu zdrowia (to zawsze najważniejsze), pogody ducha, optymizmu i nadziei na lepsze, kochających ludzi wokół, szczerych i zaufanych przyjaciół, bezpieczeństwa ekonomicznego i szczęścia. Ono zawsze się przydaje.

W tym świątecznym czasie życzę państwu również dużo odpoczynku od codziennych trosk i obowiązków – znajdźcie czas na to, czego na co dzień brakuje wam najbardziej. Zadbajcie o siebie i bliskich. Bądźcie dla siebie cierpliwi i dobrzy.

Ducha nie gaśmy! Po mroku zawsze przychodzi światło!

Spokojnych, błogosławionych świąt Bożego Narodzenia!

Daniel Obajtek

eprasa.pl 6db4984789

Nie zeroemisyjność, a zbrojenia

Marta Kaczyńska-Zielińska

Według wyników badań opublikowanych przez dziennik „Rzeczpospolita" maleje odsetek respondentów dający wiarę w opowieści o zmianie klimatu wywołanej przez działalność człowieka. I słusznie. Zmiany klimatyczne na Ziemi są naturalnym etapem cyklu życia naszej planety, a badania wskazują, że większa ilość CO_2 w atmosferze nie prowadzi do tzw. efektu cieplarnianego i wyższych temperatur. Naukowcy twierdzą, że zdarzały się okresy, gdy temperatury szybko rosły, mimo że emisja CO_2 była niska, a spadały, mimo że emisje gwałtownie rosły. Emisje generowane przez człowieka z paliw kopalnych wynoszą 3,3 proc. globalnych. Emisje z energetyki europejskiej to zaledwie 0,16 proc. emisji światowej. 41,4 proc. dwutlenku węgla produkują oceany, a biosfera – 55,3 proc. CO_2 nie odgrywa roli przyczynowej w globalnym ociepleniu. Ograniczenie emisji dwutlenku węgla ze spalania paliw kopalnych nie będzie więc miało wpływu na globalne ocieplenie.

Zeroemisyjność – swoją drogą jest ona niemożliwa do osiągnięcia – nie jest potrzebna ani naszej planecie, ani ludzkości, tylko pewnej grupie profitentów biznesu opartego na produkcji infrastruktury do pozyskiwania odnawialnych źródeł energii z jednej strony, a z drugiej – dla czerpiących spore dochody z handlu wymyślonymi przez eurokratów i zawyżającymi ceny energii uprawnieniami do emisji CO_2 (ETS).

Węgiel powinien być podstawą stabilizacji systemu energetycznego w Polsce co najmniej do czasu wybudowania i uruchomienia elektrowni jądrowych. Wielka Brytania wstrzymała likwidację części aktywów węglowych. Niemcy rozbudowują odkrywki węgla brunatnego, zwłaszcza na północnym zachodzie kraju. Z raportu „Ocena technicznej i finansowej wykonalności Krajowego Planu w dziedzinie Energii i Klimatu do 2030" zleconego przez śląsko-dąbrowską Solidarność, opracowanego przez prof. Władysława Mielczarskiego i dr. Artura Bartoszewicza, wynika, że wspomniany plan jest nierealny od strony technicznej, a próby jego realizacji doprowadzą do katastrofy energetycznej poprzez zakłócenie ciągłości zasilania w energię elektryczną oraz poważnych strat gospodarczych i naruszenia zasad bezpieczeństwa energetycznego.

Ożywienie sektora górniczego mogłoby uratować państwa europejskie, w szczególności te bazujące na węglu, przed nadciągającym potężnym kryzysem ekonomicznym i społecznym, a także zmniejszyć zależność kontynentu od chińskich pierwiastków ziem rzadkich oraz uchronić przed takim ryzykiem, jak zmienność cen i utrata konkurencyjności. W 1987 r. chiński przywódca Deng Xiaoping powiedział: „Bliski Wschód ma ropę, Chiny mają metale ziem rzadkich". Państwo Środka kontroluje 38 proc. światowych rezerw pierwiastków ziem rzadkich, 60 proc. wydobycia pierwiastków ziem rzadkich, 85 proc. przetwarzania pierwiastków ziem rzadkich i 90 proc. produkcji magnesów trwałych z pierwiastków ziem rzadkich, 80 proc. produkcji komponentów solarnych, 85 proc. światowej produkcji baterii i posiadają 80 proc. zdolności rafinacji kobaltu. Obecnie pozyskiwanie metali ziem rzadkich w Europie wiązałoby się z koniecznością skorzystania z chińskiej infrastruktury celem poddania ich odpowiednim procesom transformacyjnym.

Aktualnie przepisy wymagają zakupu odnawialnych źródeł energii, baterii i minerałów krytycznych pochodzących z Chin celem osiągnięcia zerowej emisji CO_2, a instytucje UE zniechęcają do rozwoju i wykorzystywania krajowych dostaw węgla, ropy naftowej, gazu ziemnego i minerałów krytycznych. Skupienie się na zielonej energii uczyniło Chiny silniejszymi, a UE słabszą. Rosnąca zależność Europy od Państwa Środka w zakresie kluczowych minerałów sprawiła, że Stary Kontynent jest podatny na takie poważne zagrożenia, jak widoczna już i opisana m.in. w raporcie Maria Draghiego utrata konkurencyjności. Dążenie do zeroemisyjności oznacza powszechne zubożenie. Polityka bezpieczeństwa narodowego powinna koncentrować się na poszukiwaniu i wydobywaniu kluczowych zasobów w miarę możliwości lokalnie i w krajach partnerskich, a także na wodach międzynarodowych. W obliczu grożącej Europie wojny powinniśmy inwestować w zbrojenia, a nie tracić środki na tzw. zieloną energię.

REKLAMA

30/1124/F

eprasa.pl 6db4984789

Walizka gen. Ryszarda Kuklińskiego

w rękach Filipa Frąckowiaka – dyrektora Muzeum Zimnej Wojny

Szczegóły operacji wywiezienia z Polski płk. Ryszarda Kuklińskiego i jego rodziny przez CIA 7 listopada 1981 r. do tej pory są owiane tajemnicą. Wiadomo, że w USA Kuklińscy byli pod stałą opieką służb i musieli przywyknąć do uciążliwych, powtarzających się co kilka lat przeprowadzek. Pułkownik rozpoczął pracę w Pentagonie, prywatnie zaś oddawał się swoim pasjom – żeglarstwu i ogrodnictwu. Komunistyczne władze „za dezercję i zdradę państwa" skonfiskowały mienie i zdegradowały Kuklińskiego, a zaocznie skazały na karę śmierci. Paradoksalne zarekwirowanie jego osobistych przedmiotów i przechowywanie ich w magazynach Prokuratury Wojskowej pozwoliło Józefowi Szaniawskiemu na stworzenie w 2006 r. Izby Pamięci, która po latach została przekształcona w Muzeum Zimnej Wojny im. gen. Ryszarda Kuklińskiego. Muzeum MZW mieszczące się przy ul. Jezuickiej 1/3 w Warszawie przedstawia misję polskiego bohatera, który pomógł powstrzymać Sowietów przed nuklearną inwazją na Europę. Oprócz osobistych pamiątek po Kuklińskim można tu obejrzeć oryginalne dokumenty: wojskowe mapy, tajne depesze wywiadowcze i świadectwa, a wszystko w języku polskim i angielskim. Muzeum Zimnej Wojny jest świetnym celem indywidualnych wycieczek i miejscem lekcji dla szkół podstawowych i średnich.

LIST

List wysłany do ambasady USA w Bonn, który rozpoczyna dziewięcioletnią współpracę Kuklińskiego, a zarazem „najważniejszą misję wywiadowczą zimnej wojny". Napisany łamaną angielszczyzną został wysłany z Wilhelmshaven w sierpniu 1972 r. podczas rejsu, który miał charakter... szpiegowski. W korespondencji Kukliński wskazuje daty i miejsca postoju jachtu, podczas którego mogłoby dojść do spotkania z oficerem US Army.

Prośba o datki na rachunek Fundacji prowadzącej Muzeum lub przez portal Zrzutka.pl: Fundacja Józefa Szaniawskiego, ul. Jezuicka 1/3, 00-278 Warszawa
Nr rachunku: 07 1160 2202 0000 0002 4859 4315

eprasa.pl 6db4984789

LIST DO LECHA KACZYŃSKIEGO

Kukliński napisał ten list trzy miesiące przed śmiercią. Wspólnie z Józefem Szaniawskim planowali stworzyć muzeum, które pokazywałoby walkę Polaków o niepodległość w konspiracji. Prezydent Lech Kaczyński przychylił się do tej propozycji i w 2006 r. powstała Izba Pamięci Pułkownika Kuklińskiego.

CLINTON

10 lipca 1997 r. prezydent Bill Clinton ogłosił na pl. Zamkowym w Warszawie, że Polska wkrótce wejdzie do NATO. Z kolei w rozmowie w cztery oczy z prezydentem Aleksandrem Kwaśniewskim starał się zrozumieć, dlaczego wciąż obowiązuje wyrok z 1984 r. skazujący Kuklińskiego. W ciągu dwóch miesięcy nasz bohater został uniewinniony.

MUNDUR

Ostatni mundur Ryszarda Kuklińskiego, zarekwirowany (z całym mieniem) i zabrany z mieszkania pułkownika przez funkcjonariuszy służb 9 listopada 1981 r. Pod podszewką agenci SB szukali materiałów szpiegowskich. W 2006 r. mundur został odnaleziony w magazynach Prokuratury Wojskowej.

ZEGAREK

Prezent od Szefa Sztabu Generalnego WP gen. Floriana Siwickiego z okazji 40. urodzin z życzeniami wygrawerowanymi na zapięciu bransolety. Wręczony pięć miesięcy przed ucieczką.

TARCZA

Prezent od amerykańskiej Polonii z Chicago. Jest to kopia tarczy hetmana Żółkiewskiego z bitwy pod Kłuszynem, podczas której husaria pokonała wojska cara Wasyla IV Szujskiego.

ALBUM

Oryginalny album ze zdjęciami z rejsu Kuklińskiego z oficerami LWP wokół Bałtyku. Mimo obecności ich żon wyprawa miała prawdopodobnie charakter szpiegowski.

MASZYNA DO PISANIA

Bardzo prawdopodobne, że właśnie na niej powstawały niektóre raporty Kuklińskiego.

MAPA

Z 1970 r., zatwierdzona przez ówczesnego ministra obrony Wojciecha Jaruzelskiego. To jedna z wielu map pokazujących udział polskich żołnierzy w roli mięsa armatniego podczas inwazji Układu Warszawskiego na Europę Zachodnią. Przekazując ją Amerykanom, Kukliński nie chciał, żeby wygrali tę wojnę, lecz jej zapobiegli.

APARAT FOTOGRAFICZNY

Zwykły, turystyczny, czeskiej marki Vega, który towarzyszył Kuklińskiemu podczas rejsów.

MEDAL

Ryszard Kukliński dostał go od dyrektora CIA prawdopodobnie w 1982 r. Było to najwyższe odznaczenie Centralnej Agencji Wywiadowczej, a pułkownik był pierwszym uhonorowanym nim obcokrajowcem.

Fot. Andrzej Wiktor, Michał Korsun, archiwa Muzeum Zimnej Wojny im. gen Ryszarda Kuklińskiego

Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

eprasa.pl 6db4984789

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Szopkowe wspominki

Jan Pietrzak

Bywały takie czasy, drogie dzieci, że w okresie świąteczno-noworocznym w tygodnikach, telewizji i radiu pojawiały się szopki literackie, ironicznie opisujące znane postacie i publiczne sprawy... Dlaczego się pojawiały? Ponieważ istnieli autorzy, którzy potrafili je pisać, i ludzie, którzy chcieli je czytać, słuchać w radiu czy oglądać w TV. Oraz władza, która to tolerowała, choć mocno cenzurowała. Istniała taka tradycja kulturowa (łącznie z cenzurą!).

W początkach III RP najbardziej popularną z szopek było telewizyjne „Polskie ZOO" Marcina Wolskiego. Efektowny kukiełkowy show w wykonaniu zabawnych marionetek i popularnych aktorów, dobrze czujących się w szopkowej konwencji. À propos... Pani zapytała dziecko w szkole: „Dlaczego królem w ZOO jest lew?". „Bo rządzi nami lewica!" – odparł maluch.

Z wczesnego PRL pamiętam szopki tygodnika „Szpilki" pisane przez Janusza Minkiewicza i Antoniego Marianowicza, kunsztownie zrymowane, doskonale dopasowane do popularnych melodii. To bardzo ważna umiejętność w tej dziedzinie. Przykładowo w pięknej piosnce Ordonki „Miłość ci wszystko wybaczy" wystarczyło zmienić „miłość" na „partię" i już mieliśmy na widowni niecenzuralny wybuch entuzjazmu. „Partia ci wszystko wybaczy, partia tak pięknie tłumaczy, zdradę i kłamstwo i grzech, choćbyś ją przeklął w rozpaczy..." itd.

W poprzedniej kadencji Tuska strajkujący robotnicy obnosili złotą kukłę premiera. Towarzyszył im przebój Reny Rolskiej „Złoty pierścionek". Śpiewano „Złocisty Donek, złocisty Donek, nieszczęście". Oj, wykrakali...!

Kilka lat temu Radio Solidarność przedstawiało szopkę Andrzeja Gelberga z udziałem Ewy Dałkowskiej, Jerzego Zelnika, Pawła Piekarczyka w skromnej, akustycznej formie, lecz mocno satyrycznej wymowie. I to by było na tyle...

Tradycja się wyczerpała. Władze są podszyte tchórzem. Budżetu na kukielki brak. Nikomu z właścicieli mediów nie zależy na jakimkolwiek przekazie zawierającym komentarz satyryczny. Na użytek kabaretu pozwoliłem sobie nieco zmienić tekst piosenki „Czy te oczy mogą kłamać?". „A gdy się zejdą raz i drugi, agenci po przejściach, komuna z przeszłością, bardzo się męczą, męczą przez czas długi, co zrobić, co zrobić z tą polskością? Czy te oczy mogą kłamać? Ależ tak! Czy możemy Polskę złamać? I to jak!".

Na złość prześladowcom na pewnej imprezie zaśpiewałem w szopkowej wersji dobrze znany, lecz wiecznie zwalczany utwór hymniczny: „I ruszała władza w pole, żeby nam przełożyć wajchę, żeby Polska, żeby Polska była Rajchem!".

Tak się porobiło, proszę państwa, że ostatnio trudno się zorientować, czy otacza nas realne życie, czy jakaś satyryczna szopka, w której nam, społeczeństwu, przypadła rola owieczek, brutalnie mówiąc – baranów.

Odwracanie słów

Samuel Pereira

Praktycznie od razu, gdy zaczęła się prekampania, czyli ogłoszono kandydata Koalicji Obywatelskiej na prezydenta, rozpoczęło się jego farbowanie. Ten sam polityk, który kiedyś w kampanii deklarował poparcie dla Marszu Niepodległości i powstanie ulicy śp. Lecha Kaczyńskiego, teraz zaczął uderzać w tony patriotyzmu gospodarczego, obronności i zgody narodowej. Należało się tego spodziewać, w końcu ugrupowaniu Donalda Tuska i Rafała Trzaskowskiego udawało się dochodzić do władzy tylko na udawaniu. By nie być gołosłownym, kilka przykładów.

Wybory 2007 r. zostały wygrane przez koalicję PO-PSL dzięki oszustwu, że ludziom żyje się źle, uciekają z kraju, a państwo zajmuje się niszczeniem demokracji i opozycji (tak, już wtedy była taka propaganda). Okazało się, że w rzeczywistości sytuacja gospodarcza była znakomita, po odsunięciu rządu Jarosława Kaczyńskiego zaczęła się psuć, a sejmowa komisja śledcza ds. nacisków –powołana, żeby udowodnić zbrodnie „kaczyzmu" – ustaliła, że żadnych nacisków nie było. Dość powiedzieć, że w raporcie końcowym nie znalazły się żadne zarzuty pod adresem Jarosława Kaczyńskiego i Zbigniewa Ziobry.

Podobnie za pomocą oszustwa udało się wygrać wybory prezydenckie Bronisławowi Komorowskiemu. To kłamstwo sprowadzało się do hasła: „Państwo zdało egzamin". Rok później koalicja PO-PSL utrzymała się u władzy dzięki oszustwu o „dzieleniu Polaków" przez Jarosława Kaczyńskiego, mimo iż wojnę polsko-polską wywołał obóz rządzący. Niezdanie przez państwo egzaminu zostało bardzo szybko zweryfikowane, nie tylko w kontekście sprawy smoleńskiej, lecz także powodzi i kryzysów gospodarczych, a rządy PO-PSL skończyły się podwyżką podatków, wieku emerytalnego i skandalem związanym z aferą taśmową.

Dziś to nadawanie słowom odwrotnych znaczeń stało się normą. Żądza zemsty i nienawiść są nazywane „uśmiechniętą Polską", bezprawie – „praworządnością", dzielenie ludzi – „tolerancją", dyskryminacja Polski wschodniej – „rozwojem", a kontrolowanie i przejmowanie mediów – ich „ochroną". Raz już Polacy dali się nabrać, ile można!? Znowu chcemy być mądrzy po szkodzie?

eprasa.pl 6db4984789

Trójmorze – klucz do równomiernego rozwoju UE

Europa Środkowo-Wschodnia to region pełen wyzwań i możliwości, gdzie splatają się historia i geografia. Inicjatywa Trójmorza jest dowodem na to, że kraje między Bałtykiem, Adriatykiem a Morzem Czarnym potrafią działać wspólnie, by dążyć do rozwoju.

Idea opiera się na prostym, ale przełomowym założeniu: kraje regionu zamiast czekać na decyzje wielkich graczy, jak Niemcy czy Francja, mogą wspólnie rozwijać się szybciej i skuteczniej. Polska, Chorwacja i inne państwa postawiły na inwestycje w infrastrukturę, energetykę i cyfryzację, na współpracę północ–południe. Takie projekty, jak Via Carpathia czy rozbudowa terminali LNG, to dowody na realne zmiany, które wzmacniają region.

Dzięki tej inicjatywie kraje Europy Środkowo-Wschodniej przestają być peryferiami i stają się nowym centrum łączącym kontynent. To nie tylko budowa dróg czy gazociągów, lecz także wspólne działania, które zbliżają narody i wzmacniają jedność. W dzisiejszych czasach to także zwiększenie poczucia bezpieczeństwa.

Trójmorze stanowi przykład, jak różnorodność może być siłą. Kilkanaście krajów, mimo czasami odmiennych priorytetów w wielu obszarach, działa wspólnie, osiągając znacznie więcej, niż mogłyby osobno. Ta współpraca może dawać krajom regionu silniejszy głos w UE i na arenie międzynarodowej.

Jedność państw Trójmorza sprawia, że region może odgrywać ważną rolę geopolityczną. Po wyborach prezydenckich w USA liczmy także na jeszcze silniejsze wsparcie, by nasze relacje były transatlantyckim pomostem, umacniając jednocześnie swoje pozycje jako partnerów w globalnych relacjach.

Arkadiusz Mularczyk

Trójmorze to nie tylko wizja, lecz także realne działania, które mogą się stać inspiracją dla całego Starego Kontynentu. Europa Środkowo-Wschodnia, dawniej dzielona przez historię, dziś jednoczy się w duchu wspólnych wartości. Jeśli utrzyma ten kurs, stanie się symbolem sukcesu współpracy regionalnej i dowodem, że przyszłość należy do zjednoczonych wysiłków.

Dlatego zdecydowałem się na założenie Intergrupy Trójmorza w Parlamencie Europejskim, by nadać tej inicjatywie jeszcze silniejszy głos na arenie unijnej. Wspierając współpracę między państwami regionu, chcę, by Europa Środkowo-Wschodnia w pełni wykorzystała swój potencjał i stała się kluczowym filarem równomiernego rozwoju całej Unii.

Arkadiusz Mularczyk

Sam musiałem być zainteresowany

Z wokalistą Krystianem Ochmanem rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Czego od Bohdana Łazuki może się nauczyć artysta młodszy o sześć dekad?

Krystian Ochman: Bardzo dużo, a gdybym miał szansę dłużej porozmawiać, to pewnie jeszcze więcej.

Mam ogromne szczęście, że jestem wnukiem Wiesława Ochmana, który należy do tego samego pokolenia, co Bohdan Łazuka. Podziwiam takich artystów. Dziadek zawsze miał swój styl działania i bycia, oczywiście wyjątkowy. Mógł mi dużo przekazać, ale niczego mi nie narzucał. Sam musiałem być zainteresowany. I zacząłem go obserwować, uczyć się od niego.

To z Wiesławem Ochmanem wziął pan udział w benefisie Bohdana Łazuki [emisja nagrania 21 grudnia w TVP2]. Co pan zaśpiewał?

M.in. swój utwór „Prometeusz".

Czy jako zwycięzca 11. edycji „The Voice of Poland" śledzi pan kolejne emisje tego programu?

Fot. TVP

Finały tak, ale nie całość. Jestem już w innym miejscu.

Z czym wejdzie pan w nadchodzący 2025 r.?

Z płytą, która już się ukazała. Nosi tytuł „Klasycznie", ale można na niej znaleźć np. „Taniec pingwina na szkle" wykonany w duecie z Małgorzatą Ostrowską.

Jest gotowość na kontrasty i nieoczywiste pomysły?

Od dawna. Na płycie i w trasie koncertowej, którą zaczęliśmy w grudniu, jest dużo musicalu, jak w „Nights", ale „Miłość" – operowy utwór, który sam stworzyłem – to wypowiedź mocniejsza w wyrazie, agresywna, tenorowa. Oprócz autorskich utworów są też covery m.in. „Siłacz" Marcina Rozenka czy „Love of My Life" Queen. I nie zabrakło „My Way" Franka Sinatry.

OGNIEM NA WPROST

Człowiek i ruskie bydlę

Andrzej Rafał Potocki

Artylerzyści spod znaku Tryzuba pobili rekord. Wykorzystując polską samobieżną armatohaubicę Krab kal. 155 mm, udało im się wystrzelić pocisk na odległość 70 km. To prawie dwukrotnie dalej niż strzał oddany ze standardowej amunicji. Równocześnie przedstawiciel koncernu Leonardo poinformował o trwających rozmowach dotyczących badań poligonowych amunicji Vulcano z polską armatohaubicą Krab. W przypadku krótszych armat zasięg ma dochodzić maksymalnie do ok. 50 km, ale już w przypadku dział o długości 52 kalibrów (a takim dysponuje właśnie polski Krab czy niemiecki PzH 2000) jest możliwe, jak pokazali Ukraińcy, dosięgnięcie celów oddalonych o nawet 70–80 km. Pociski Vulcano mają bardzo interesującą konstrukcję. To amunicja podkalibrowa, sam pocisk jest mniejszy od klasycznych pocisków kalibru 155 mm. Chodzi tu o pocisk umieszczony w sabocie wymiarowo pasującym do działa, który finalnie odpada, zostawiając mniejszy i lżejszy pocisk poruszający się szybciej od klasycznych rozwiązań. Istotne są również inne cechy tej amunicji. Konstruktorzy zastosowali np. rozbudowany system naprowadzania obejmujący nawigację GPS wspartą przez INS, który zapewnia wysoką precyzję trafiania (z błędem na poziomie zaledwie 2–3 m). W legionowej piosence z I wojny światowej artylerzyści nucili: „A nasze ciężkie działa już pod Rygą stoją / Już pod Rygą stoją / I piszą do cara, że się go nie boją / Hopaj, siup!". Dziś brzmiało by to tak: „A nasze ciężkie Kraby już pod Kurskiem stoją / Już pod Kurskiem stoją / I piszą do Putina, że się go nie boją, że się go nie boją / Hopaj, siup".

W tegorocznym 22. numerze tygodnika „Sieci" pojawiła się korespondencja wysłannika redakcji na Ukrainę Andrzeja Skwarczyńskiego. Pisał w niej o Romie Baranenko z Chersonia, która mimo straty domu w wyniku ostrzału kacapów pozostała w mieście. W czasie okupacji angażowała się w pomoc mieszkańcom, a także potajemnie przekazywała ukraińskim wojskowym informacje o ruchach rosyjskich wojsk. Oprócz działalności wywiadowczej zajmowała się ratowaniem kotów ze zniszczonych domostw. Miała ich kilkadziesiąt. Ale wojna nie matka. Rankiem 1 grudnia wraży dron kamikaze zaatakował chersoński autobus miejski (tzw. marszrutkę). Był to celowy atak terrorystyczny na ludność cywilną. W przeciwieństwie do artylerzystów, którzy nigdy do końca nie wiedzą, w co trafią, operator drona, moskiewskie bydlę, do ostatniej chwili miał kontrolę nad bezpilotowcem i świadomie dokonał ataku na cywilny autobus. W wyniku wybuchu na miejscu zginęły trzy osoby. Jedną z nich była Roma Baranenko. Ostatnią wolą kobiety, której realizację powierzyła swojej przyjaciółce, było zadbanie o mieszkające z nią koty. Ta, ryzykując życiem swoim i kilku pomagających jej osób, pojechała w rejon dużej aktywności dronów i ewakuowała wszystkie zwierzaki. Zgodnie z poleceniem tragicznie zmarłej nie trafiły one do schroniska, a w dobre ręce w bezpieczniejszych miejscach.

A tak drona na cywilny autobus wpisuje się w zbrodniczą taktykę Kremla odbicia obwodu chersońskiego. Ołeksandr Prokudin, gubernator obwodu chersońskiego, powiedział w rozmowie z „Financial Times", że Moskwa rozmieściła część swoich „najlepszych jednostek dronów" nad Dnieprem, który przecina Chersoń i jest linią frontu. Z brzegu naprzeciwko centrum miasta Rosjanie wystrzeliwują zaawansowane modele dronów i polują na cywilów. Prokudin alarmuje, że okupanci planują atak na Chersoń. „300 łodzi jest gotowych do przebicia Dniepru" – powiedział. Serhij Braczuk, rzecznik oddziału „Południe" Ukraińskiej Armii Ochotniczej, uważa, że wojska rosyjskie będą próbowały zająć rzeczne wyspy i zbliżyć się do zachodniego brzegu Chersonia. Czy nastąpi atak? Nie wiadomo. Ale co to szkodzi postrzelać do bezbronnych. Moskwa w pigułce.

Doigrał się ukraiński kolaborant, komendant ruskiej kolonii karnej w Ołeniwce Siergiej Jewsiukow wraz z małżonką. W jego sprawie Ukraińcy prowadzili postępowanie karne. To on dowodził więzieniem, gdy Moskale „przypadkowo" ostrzelali je w lipcu 2022 r. Śmierć poniosło wtedy 50 więźniów, a 70 zostało rannych. Wśród ofiar byli żołnierze pułku Azow – obrońcy zakładów metalurgicznych Azowstal w Mariupolu. Ukraińskie władze uznały ten atak „za celowy akt terroru", mający zniszczyć dowody na bestialskie praktyki stosowane wobec jeńców. Teraz sprawiedliwość dosięgła zdrajcę. Jego samochód terenowy, który stał zaparkowany pod jednym z bloków w Doniecku, wyleciał w powietrze. Jewsiukow i jego żona znajdowali się wewnątrz. Żona w wybuchu została ciężko ranna i trafiła do szpitala. Media donoszą o urwanych w wyniku eksplozji nogach. Małżonek, który był bezpośrednim celem, zginął na miejscu. Zegar sprawiedliwości lubi się czasem spóźnić, ale na ogół wybija godzinę.

Współpraca: „Skipper"

Reklama | 6/1224/F
Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 6db4984789

INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

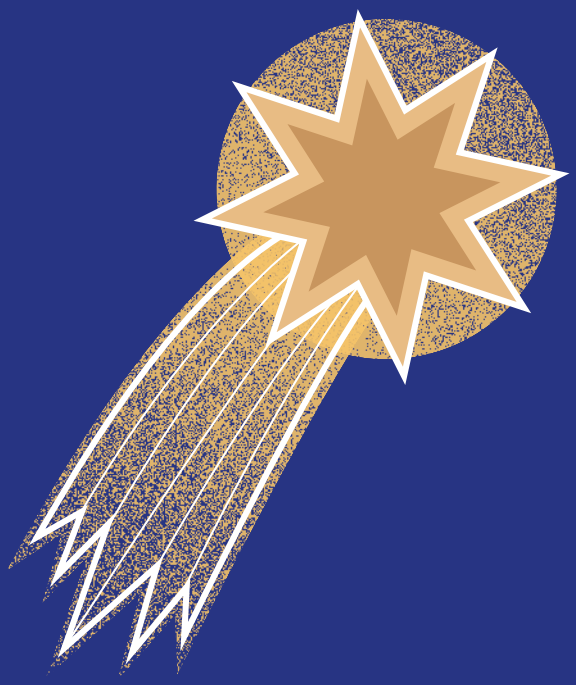

Radosnych Świąt Bożego Narodzenia

„Pokój ludziom dobrej woli!” – ogłosił „Ilustrowany Kurier Codzienny”.

W wigilię świąt Bożego Narodzenia AD 1935 redakcja czołowego dziennika Polski przedwojennej pisała o najpiękniejszej chwili „w ciągu całego roku”, mającej „nie tylko szczytne religijne, ale i podniosłe narodowe znaczenie”.

Był to szczęśliwy czas, gdy nasi rodacy, po latach zaborów i zwycięstwie nad bolszewicką Rosją, znów gospodarzyli „na swej wolnej ziemi”. Zarazem na horyzoncie rysowały się już nowe niebezpieczeństwa. „Cały świat żyje [...] w obawie wojen” – przyznawała krakowska gazeta. I nie mogła przeboleć, że my, Polacy, jesteśmy „wciąż jeszcze zwaśnieni, skłóceni, podzieleni na wrogie obozy, a w tej walce tracimy nieraz z oczu wspólne cele i wspólne troski!”.

Wiele z tych słów i dziś może brzmieć znajomo. Gdy znów zbierzemy się przy wigilijnym stole, by podzielić się opłatkiem i złożyć sobie życzenia, umiejmy mimo wszystko pomyśleć o tym, co nas łączy – i z optymizmem spojrzeć na czekające nas wyzwania.

Życzę Państwu zdrowych, błogosławionych świąt Bożego Narodzenia i wszelkiej pomyślności w nadchodzącym roku 2025.

dr Karol Nawrocki
prezes Instytutu Pamięci Narodowej

eprasa.pl 6db4984789

Święta rodzina zastępcza

Zdarzyło się nam kiedyś spędzić święta Bożego Narodzenia za granicą, u obcych, skądinąd bardzo sympatycznych ludzi. Świąteczna iluminacja domu była imponująca: migające renifery, mikołaje, sople i gwiazdki robiły wrażenie! Z głośników dobiegały skoczne dźwięki znanej piosenki „Jingle bells". Na szczęście moja żona zabrała ze sobą opłatek, bo gospodarzom w natłoku przygotowań jakoś to umknęło. Po błyskawicznych życzeniach (pan domu był głodny jak wilk) wszyscy zasiedliśmy do suto zastawionego wigilijnego stołu odzwierciedlającego najbardziej wyrafinowane gusta kulinarne: od specjałów kuchni tajskiej, japońskiego sushi, sajgonek, krewetek i pizzy hawajskiej po smakołyki vege.

Dzieci nie mogły się już doczekać wynajętego w profesjonalnej firmie mikołaja, by móc jak najszybciej, na osobności, cieszyć się prezentami. Pan domu dwoił się i troił, by w kieliszkach nikomu nie zbrakło cytrynówki, wina czy whisky. Przyniósł nawet gitarę, byśmy mogli zaintonować wspólnie jakąś kolędę, ale po pierwszej próbie odłożyłem instrument. Grając świąteczne koncerty, przywykliśmy, że wraz z nami zawsze śpiewa cała sala czy kościół. Pod błahym pretekstem wymknęliśmy się wraz z żoną z imprezy. Ubierając się w przedpokoju, usłyszałem skwitowaną salwą śmiechu deklarację jednego z podchmielonych gości, który oświadczył, że nie wierzy w trupa na krzyżu!

Myślałem, że TO nigdy do nas nie dotrze. Myliłem się. Wigilia, symboliczne święto rodziny, przegrywa dziś z kultem Herodów. Parafrazując znane powiedzenie: „Śmierć jednego dzieciątka – to tragedia. Śmierć milionów – to tylko statystyka".

PS Czy dociera do nas oczywista prawda, że św. Józef wychowywał nie swoje dziecko? W tamtych czasach było to zadanie heroiczne. A dziś? Na moim Facebooku w dyskusji o Karolu Nawrockim jakaś paniusia napisała: „Pierwsza dama nie powinna być »panną z dzieckiem«. To nie jest wzór ani dla Polaków, ani dla świata". A może jednak?

Lech Makowiecki

POWOLNE MEDIA WEDŁUG MICHAŁA KORSUNA

SIECI

ISSN 2544-2694
www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI
ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, JAKUB MACIEJEWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI, DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NALASKOWSKI, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁABEK, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, MAŁGORZATA WOŁCZYK, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU: KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL
BIURO REKLAMY: REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO: TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00) PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT.: AKG-IMAGES/CAMERAPHOTO/EAST NEWS, ANDRZEJ WIKTOR, RYSUNEK MICHAŁ KORSUN, PIS.ORG.PL, SHUTTERSTOCK/OLGA_PROZOROVA

Zamów prenumeratę! Według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	109 zł	189 zł	349 zł

*Dane do przelewu w stopce redakcyjnej

Reklama | 13/1224/F

eprasa.pl 6db4984789

EKR GRUPA

Parlament Europejski

O nas

Grupa Europejskich Konserwatystów i Reformatorów to utworzona w 2009 roku centroprawicowa grupa polityczna w Parlamencie Europejskim zrzeszająca 78 eurodeputowanych z 18 krajów. Podstawą działalności EKR jest „Deklaracja Praska", która wyznacza zasady, jakimi kieruje się grupa oraz wskazuje kierunek zmian, w jakim powinna podążać Europa. EKR reprezentuje partie krajów członkowskich, które sprzeciwiają się coraz dalej idącej federalizacji UE, nierównemu traktowaniu jej członków oraz rozszerzającemu się mechanizmowi odbierania krajom członkowskim ich - zapisanych w traktatach – kompetencji.

Nasze priorytety:

EKR za cel stawia sobie współtworzenie nowoczesnej, bezpiecznej, rozwijającej się Unii Europejskiej, otwartej na handel, bliższej obywatelom i respektującej różnorodność w Europie w duchu współpracy, w oparciu o zdrowy rozsądek, wsłuchiwanie się w głos obywateli i poszanowanie woli państw członkowskich, które ją współtworzą. Istotnym punktem na agendzie grupy EKR jest także walka z wszechobecną »zieloną ideologią«, która prowadzi do wzrostu cen energii i ubóstwa energetycznego, rujnowania sektora rolnictwa i spadku konkurencyjności gospodarki europejskiej w starciu z gigantami z Chin czy USA.

Współpraca:

W Parlamencie Europejskim EKR organizuje liczne przedsięwzięcia – od wystaw przez wysłuchania, pokazy filmów, koncerty po konferencje – z udziałem znamienitych prelegentów, zarówno z Polski, jak i z zagranicy.

Instytucje i organizacje pragnące nawiązać współpracę zachęcamy do kontaktu.

ecrgroup

ecrgroupeu

eprasa.pl 6db4984789

Pierwsze dni Jezusa

„Pokłon mędrców". Fresk Giotta z kaplicy Scrovegnich w Padwie

Co wydarzyło się między przybyciem Józefa i Maryi do Betlejem a ich ucieczką z małym Jezusem do Egiptu? Jak wyglądał początkowy okres życia Chrystusa

GRZEGORZ GÓRNY

W swej Ewangelii św. Łukasz rozpoczyna rozdział o narodzeniu Jezusa od postanowienia cezara Augusta, by przeprowadzić spis ludności. Jeszcze pół wieku temu krytycy zarzucali autorowi, że wymyślił zarządzenie, jakoby podczas spisu należało się zarejestrować w miejscu pochodzenia, a nie aktualnego zamieszkania. Nie było na to bowiem żadnych dowodów. W ten sposób – jak twierdzono – ewangelista miał zafałszować życiorys Jezusa, by miejscem jego narodzin stało się Betlejem.

Spis powszechny

Sytuacja zmieniła się, gdy w 1989 r. izraelscy naukowcy opublikowali treść archiwum rodzinnego żydowskiej kobiety o imieniu Babata, które odnaleziono w 1961 r. w „grocie listów" w miejscowości Nahal Arugot niedaleko Masady nad Morzem Martwym. Wśród odkrytych dokumentów znajdowała się kopia jej zeznania podatkowego złożonego podczas spisu ludności w 127 r... Ze wspomnianego aktu wynika, że musiała ona przebyć ok. 40 km z miejscowości Maoza, gdzie miesz-

Zdjęcia © Janusz Rosikoń/Rosikon Press

eprasa.pl 6db4984789

kała, do Rabbat Moab, ponieważ tam posiadała swój majątek. W drodze towarzyszył jej mąż.

Okazało się, że słownictwo użyte w dokumencie jest takie samo jak to, którym posługiwał się św. Łukasz. Zdaniem prof. Carstena Petera Thiedego, niemieckiego papirologa z Uniwersytetu Ben Guriona w Beer Szewie, który przebadał odnalezione archiwum, ewangelista dokładnie odtworzył rzymską procedurę rejestracji wraz z koniecznością podróży oraz detalami językowymi.

W tamtym okresie spisów powszechnych nie dokonywano z powodów statystycznych, lecz podatkowych. W czasach rzymskich obowiązywały dwa podatki: gruntowy i pogłówny. Z tego powodu należało stawić się przed odpowiednim urzędnikiem całą rodziną w miejscu posiadania nieruchomości. To tłumaczy, dlaczego Maryja z Józefem udali się do Betlejem.

Ich droga z Nazaretu wynosiła ok. 140 km i pięła się w górę od nizinnej Galilei do wzgórz Judei. Pokonanie tej trasy mogło im zająć 5–7 dni. Podróż musiała być uciążliwa zwłaszcza dla Maryi, która znajdowała się w stanie błogosławionym. Małżonkowie najprawdopodobniej poruszali się na osłach, być może mieli jednak tylko jedno zwierzę. Niewykluczone, że przyłączyli się do którejś z karawan regularnie przemierzających tamten szlak. Nocowali zapewne w karawanserajach, gospodach lub domach znajomych. Przypuszczalnie zatrzymali się w Jerozolimie (oddalonej od Betlejem o 8 km), by pomodlić się w świątyni i złożyć ofiarę.

Narodziny w grocie

W Betlejem, jak pisze św. Łukasz, „nie było dla nich miejsca w gospodzie". Niektórzy z komentatorów twierdzili, że brak wolnych pomieszczeń dla gości w zajazdach był związany ze spisem powszechnym i napływem do niewielkiej miejscowości licznych przybyszów z dalekich stron. Nie wydaje się to jednak prawdą, ponieważ w tamtych czasach spis ludności nie trwał jeden czy nawet kilka dni, lecz znacznie dłużej. Poza tym tłumaczenie „gospoda" nie oddaje sensu greckiego słowa „katalyma", które oznacza raczej pokój lub komnatę. Józef szukał więc miejsca odpowiedniego do przyjęcia porodu.

Inni egzegeci wskazywali na niegościnność mieszkańców Betlejem, wśród których byli zapewne także krewni Józefa i Maryi. Taki zarzut jest jednak chybiony w świetle naszej wiedzy o gościnności ludzi Bliskiego Wschodu. Powód był zgoła inny. Małżonkowie nie mogli zatrzymać się w domu któregoś z członków rodziny, ponieważ Maryja w każdej chwili mogła urodzić, zaś zgodnie z przepisami judaizmu kobieta w połogu pozostawała rytualnie nieczysta: w przypadku narodzin syna przez 40 dni, a córki przez 80 dni. Oznaczało to, że wszystkie przedmioty, których w tym czasie dotknęła, stawały się nieczyste i nie można było mieć z nimi styczności. Żaden z krewnych nie chciał podjąć takiego ryzyka. Znalezienie odpowiedniego pomieszczenia wymagało czasu, a tego zabrakło.

W efekcie do rozwiązania doszło w innym miejscu. Tradycja chrześcijańska przyjmuje, że poród nastąpił w grocie, która służyła pasterzom jako stajnia. Takich jaskiń nie brakowało w okoliach Betlejem. Zapędzano do nich owce, ponieważ latem było tam chłodno, a zimą ciepło. Pieczara, w której

Gwiazda Narodzenia w grocie betlejemskiej umieszczona została dokładnie nad dawną skalną niecką służącą niegdyś zwierzętom za żłób. Dziś przyciąga ona pielgrzymów z całego świata

urodził się Jezus, była podłużna. W jej głębi znajdowała się wydrążona w ścianie niecka, która służyła jako kamienny żłób dla zwierząt. To właśnie mógł być wspomniany przez św. Łukasza żłóbek, do którego Maryja włożyła niemowlę.

Nie wiemy, czy świadkami tego były inne osoby. Członkowie rodziny, którzy mogli towarzyszyć małżonkom w drodze z Jerozolimy, znaleźli zapewne dach nad głową u krewnych w Betlejem, ponieważ nie dotyczyły ich ograniczenia związane z rytualną nieczystością. Nie wiadomo też, czy były tam obecne zwierzęta. Po raz pierwszy wspomniał o nich dopiero św. Hieronim na przełomie IV i V w. Nawiązał w ten sposób do słów z Księgi Izajasza: „Wół rozpoznaje swego pana i osioł żłób swego właściciela", i z Księgi Habakuka: „Objawisz się w pośrodku zwierząt".

Obrzezanie Jezusa

Zgodnie z żydowskim zwyczajem osiem dni po narodzinach dziecko płci męskiej musiało zostać obrzezane, co oznacza częściowe lub całkowite usunięcie napletka. W świecie starożytnym było ono powszechnie praktykowane wśród ludów semickich. Stanowiło oznakę inicjacji płciowej młodych mężczyzn, którzy wkraczali w dorosłość. Od czasów Abrahama nabrało charakteru religijnego jako znak przymierza między Bogiem a człowiekiem. To właśnie Najwyższy – jak podaje Księga Wyjścia – nakazał: „Z pokolenia w pokolenie każde wasze dziecko płci męskiej, gdy będzie miało osiem dni, ma być obrzezane". Tylko ci, którzy zostali poddani temu zabiegowi, mogli zostać włączeni w przymierze ze Stwórcą. Z czasem obrzezanie stało się znakiem przynależności do narodu wybranego oraz żydowskiej tożsamości.

Ten obrzęd był tak ważny, że jeśli ósmy dzień po narodzinach przypadał na sobotę, zwalniał z obchodzenia szabatu. Sam ryt nie był zarezerwowany dla kapłanów, mógł go przeprowadzić każdy – w domu, synagodze lub innym miejscu. Jedyny warunek stanowiła obecność 10 świadków. Ceremonii towarzyszyły odpowiednie modlitwy oraz nadanie imienia. Zgodnie z tym, co nakazał Archanioł Gabriel, chłopca nazwano Jezus.

Wspomniany obrzęd dokonał się najprawdopodobniej w jakimś domu w Betlejem, w którym małżonkowie zatrzymali się po narodzinach Jezusa. Trudno sobie bowiem wyobrazić, aby przez cały okres rytualnej nieczystości, czyli przez 40 dni, Maryja mieszkała z niemowlęciem w jaskini. Być może budynek, w którym się zatrzymali, należał do któregoś z ich krewnych. Na pewno musiał mieć ustronne miejsce przeznaczone specjalnie dla kobiet po połogu.

eprasa.pl 6db4984789

W świątyni jerozolimskiej

33 dni później doszło do kolejnego wydarzenia, o którym informuje nas św. Łukasz: „Gdy potem upłynęły dni ich oczyszczenia według Prawa Mojżeszowego, przynieśli Je do Jerozolimy, aby Je przedstawić Panu. Tak bowiem jest napisane w Prawie Pańskim: Każde pierworodne dziecko płci męskiej będzie poświęcone Panu. Mieli również złożyć w ofierze parę synogarlic albo dwa młode gołębie, zgodnie z przepisem Prawa Pańskiego".

Odbyły się wówczas dwie ceremonie, które miały charakter bardziej uroczysty niż obrzezanie: oczyszczenie matki po porodzie oraz ofiarowanie dziecka w świątyni. Oba obrzędy wynikały z Bożych nakazów, o których możemy przeczytać w Starym Testamencie. Oczyszczenie dokonywało się poprzez złożenie jednorocznego baranka na ofiarę całopalną, a jeśli kobieta była zbyt uboga i nie było jej stać na zakup tego zwierzęcia, mogła przynieść dwie synogarlice lub dwa młode gołębie.

Oczyszczenie Maryi po porodzie i ofiarowanie Jezusa w świątyni były rytuałami bardzo blisko ze sobą związanymi. Fresk z katedry w Orvieto

Drugi nakaz został zapisany w zwojach Księgi Wyjścia, gdzie Bóg skierował do Mojżesza następujące słowa: „Poświęćcie Mi wszystko pierworodne. U synów Izraela do Mnie należeć będą pierwociny łona matczynego – zarówno człowiek, jak i zwierzę".

Ofiarowanie dziecka nie wymagało zaniesienia go do świątyni jerozolimskiej, a jedynie uiszczenia odpowiedniej kwoty kapłanowi. Wiele matek przynosiło tam jednak swoje pociechy, by osobiście poświęcić je Bogu. Tak też uczyniła Maryja, która wspólnie z Józefem i dzieckiem udała się z Betlejem do Jerozolimy. Licząca 8 km droga zajęła im zapewne 2 godziny.

Świątynia posiadała cztery dziedzińce. Najbliżej ołtarza był położony dziedziniec kapłanów, za nim dziedziniec mężczyzn (Żydów), potem dziedziniec kobiet, na końcu zaś dziedziniec pogan. Każdy z nich był ściśle przypisany do konkretnej grupy i pod groźbą kary śmierci nikt nie mógł naruszyć tego porządku. Dlatego Maryja z niemowlęciem mogła wejść tylko na dziedziniec kobiet, gdzie obok bramy Nikanora odbywał się obrzęd oczyszczenia z rytualnej „nieczystości".

Wcześniej, przechodząc przez dziedziniec pogan, kupili parę synogarlic. Zbliżyli się do kapłana, któremu Maryja podała oba ptaki, by złożył je w ofierze. Tak opisuje ten rytuał hiszpański teolog Juan L. Bastero de Eleizalde: „Kapłan pokropił matkę wodą oczyszczenia, odmawiając nad nią pewne modlitwy. Potem nastąpiła najważniejsza część obrzędu polegająca na złożeniu obu ofiar. Jedna nosiła nazwę ofiary przebłagalnej i jej materią była zawsze synogarlica lub gołąb, druga zaś była ofiarą całopalną. [...] Kapłan wziął zatem gołębia przeznaczonego na ofiarę całopalną, podszedł do ołtarza ofiar całopalnych, naciął szyję ptaka i nie oddzielając jej od ciała, rozlał krew u stóp ołtarza i wydobył wole i wnętrzności, które rzucił na stos popiołów. Następnie, biorąc ptaka za skrzydła, spalił go nad drewnem położonym na ogniu. Potem wziął drugiego gołębia, zastrzeżonego na ofiarę przebłagalną, zabił go jednym ciosem w kark, rozlał jego krew u stóp ołtarza i rzucił go na popioły. Poprzez ten obrzęd matka została oczyszczona".

Ostatnim rytuałem było przedstawienie dziecka Bogu w świątyni. W trakcie tej ceremonii obecna była dwójka świadków – starzec Symeon i prorokini Anna, którzy rozpoznali w małym Jezusie przyszłego Zbawiciela. Wzruszony mężczyzna wziął niemowlę na ręce i powiedział: „Teraz, o Władco, pozwól odejść słudze Twemu w pokoju, według Twojego słowa. Bo moje oczy ujrzały Twoj zbawienie, któreś przygotował wobec wszystkich narodów: światło na oświecenie pogan i chwałę ludu Twego, Izraela".

Mędrcy ze Wschodu

Z Jerozolimy małżonkowie powrócili do Betlejem, gdzie po pewnym czasie (nie wiemy dokładnie jakim) doczekali się niezwykłej wizyty. Tak pisze o tym w swojej Ewangelii św. Mateusz: „Gdy zaś Jezus narodził się w Betlejem w Judei za panowania króla Heroda, oto Mędrcy ze Wschodu przybyli do Jerozolimy i pytali: »Gdzie jest nowo narodzony król żydowski? Ujrzeliśmy bowiem jego gwiazdę na Wschodzie i przybyliśmy oddać mu pokłon«. Skoro to usłyszał król Herod, przeraził się, a z nim cała Jerozolima. Zebrał więc wszystkich arcykapłanów i uczonych ludu i wypytywał ich, gdzie ma się narodzić Mesjasz. Ci mu odpowiedzieli: »W Betlejem judzkim, bo tak napisał Prorok: A ty, Betlejem, ziemio Judy, nie jesteś zgoła najlichsze spośród głównych miast Judy, albowiem z ciebie wyjdzie władca, który będzie pasterzem ludu mego, Izraela«. Wtedy Herod przywołał potajemnie Mędrców i wypytał ich dokładnie o czas ukazania się gwiazdy. A kierując ich do Betlejem, rzekł: »Udajcie się tam i wypytujcie starannie o Dziecię, a gdy Je znajdziecie, donieście mi, abym i ja mógł pójść i oddać Mu pokłon«".

eprasa.pl 6db4984789

Maryja i Józef spotykają w świątyni jerozolimskiej starca Symeona, który bierze Jezusa na ręce. Obok stoi prorokini Anna. Fresk Giotta z kaplicy Scrovegnich w Padwie

Mędrcy udali się więc do Betlejem, gdzie „weszli do domu i zobaczyli Dziecię z Matką Jego, Maryją; upadli na twarz i oddali Mu pokłon. I otworzywszy swe skarby, ofiarowali Mu dary: złoto, kadzidło i mirrę".

Kim byli tajemniczy przybysze? Św. Mateusz nie nazywa ich królami, lecz „mędrcami ze Wschodu", po grecku: „magoi apo ton natolon". Słowo „magos" miało kilka znaczeń. Tak określano znawców nauk tajemnych, czarowników, astrologów, tłumaczy snów, oszustów i uwodzicieli, a także mędrców i członków perskiej kasty kapłańskiej. Ewangelista precyzuje, że pochodzili oni ze Wschodu. Dla ówczesnych Izraelitów oznaczało to miejsce, gdzie wschodziło słońce, a więc takie krainy, jak Mezopotomia, Arabia czy Persja.

Znak na niebie

Zdaniem większości biblistów niespodziewani goście byli najprawdopodobniej kapłanami wtajemniczonymi w arkana astrologii. W świecie antycznym rozpowszechnione były kulty astralne, których wyznawcy wierzyli, że ciała niebieskie są manifestacją nadprzyrodzonych mocy i w związku z tym mają wpływ na rozwój sytuacji na ziemi. Dlatego obserwowali uważnie mapę nieba, by na podstawie ruchów gwiazd przewidzieć lub zinterpretować wydarzenia.

Przybysze pochodzili zapewne z Persji, słynącej z renomowanych szkół astronomicznych, w których uczono sztuki odczytywania znaków na niebie. Zdaniem współczesnych uczonych owym zjawiskiem, które dostrzegli mędrcy, była zapewne koniunkcja Jowisza i Saturna w konstelacji Ryb. Co to oznacza? Koniunkcja to ustawienie ciał niebieskich i obserwatora w jednej linii. W tym przypadku, patrząc w rozgwieżdżone niebo, ludzie widzieli dwie największe planety naszej galaktyki ułożone w jednej linii. Sprawiały one wrażenie jednej dużej gwiazdy, która rozbłyskała, a następnie znikała, gdy planety podążały dalej po swoich orbitach.

Koniunkcja Jowisza i Saturna w konstelacji Ryb jest niezwykle rzadkim zjawiskiem. Występuje raz na 794 lata. W 7 r. (na który datowane są narodziny Jezusa) wspomniany fenomen powtórzył się aż trzy razy (29 maja, 1 października i 5 grudnia). Trzykrotna koniunkcja wspomnianch planet w ciągu jednego roku nie nastąpiła nigdy więcej. Pierwszym, który to odkrył, był w 1603 r. Johannes Kepler.

Za takim wyjaśnieniem przemawia również interpretacja, jaką przybysze ze Wschodu nadali owemu zjawisku. Jowisz był bowiem symbolem królowania i władzy, Saturna identyfikowano z Izraelem, konstelacja Ryb uchodziła zaś za znak końca czasów i początku nowej ery. Nic zatem dziwnego, że aż trzykrotne pojawienie się tego zjawiska na niebie mogło zostać odczytane przez astrologów jako wyraźny komunikat z innego świata: zwiastun narodzin króla żydowskiego, który zapoczątkuje nowy okres w dziejach.

Nie dziwi zatem, że mędrcy udali się najpierw do Jerozolimy. Logicznie rzecz biorąc, to właśnie tam powinien narodzić się żydowski król. Ich wizyta wywołała na dworze Heroda popłoch i zaskoczenie, ponieważ w religii judaistycznej istniał wyraźny zakaz parania się astrologią, więc nikt nie obserwował gwiazd, aby w ich ruchach wypatrywać znaków nadejścia Mesjasza. Dopiero w stolicy Judei podróżnicy dowiedzieli się od kapłanów i uczonych w Piśmie, że dziecię, zgodnie z proroctwem z Księgi Micheasza, powinno się urodzić w Betlejem.

Ucieczka do Egiptu

Św. Mateusz pisze, że mędrcy ze Wschodu zastali je w domu, a nie w grocie lub stajence. Na określenie chłopca ewangelista używa greckiego słowa „paidon", które oznacza całkiem spore dziecko, a nie noworodka. To także tłumaczy, dlaczego Herod, chcąc zgładzić Jezusa, kazał wymordować nie niemowlęta, lecz „wszystkich chłopców w wieku do lat dwóch, stosownie do czasu, o którym się dowiedział od Mędrców".

Po oddaniu dziecięciu czci mędrcy powrócili do swego kraju, jednak inną drogą, niż przybyli. Podjęli taką decyzję, ponieważ podczas snu otrzymali nakaz, by w podróży powrotnej nie spotykać się z Herodem. Gdy tylko odjechali, Józefowi przyśnił się anioł, który rzekł mu: „Wstań, weź Dziecię i Jego Matkę i uchodź do Egiptu; pozostań tam, aż ci powiem; bo Herod będzie szukał Dziecięcia, aby Je zgładzić". Tak się też stało: król nakazał zabić wszystkich chłopców w okolicy Betlejem, jednak Józef z Maryją i małym Jezusem zdążyli uciec do Egiptu. W ich życiu zaczął się nowy etap.

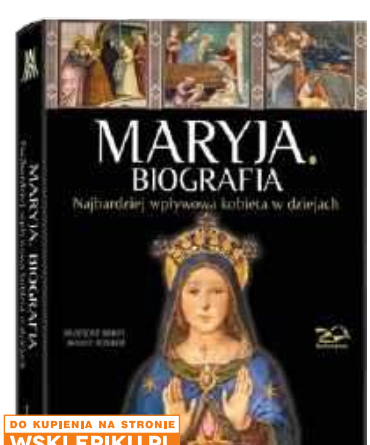

DO KUPIENIA NA STRONIE WSKLEPIKU.PL

„Maryja. Biografia", Grzegorz Górny i Janusz Rosikoń, wydawnictwo Rosikon Press 2023

eprasa.pl 6db4984789

Najgorszy rząd w III RP

Tusk dokonał czegoś, co wydawało się niemożliwe. Aby znaleźć zasadne porównanie dla tego, co zrobił z naszym państwem w ciągu pierwszego roku swoich ponownych rządów, trzeba się cofnąć do PRL

MAREK PYZA

Gdyby chcieć opisać to całościowo, nie wystarczyłoby wszystkich stron tego wydania „Sieci". Ale wobec tej rocznicy nie można przejść obojętnie, więc choć hasłowo trzeba zebrać choćby te najcięższe grzechy, a czasem zbrodnie wyrządzone Polsce i Polakom.

Ludzie zaczynają je dostrzegać. Już po 366 dniach uprawniona jest teza o wielkim rozczarowaniu opinii publicznej gabinetem Donalda Tuska. Z sondażu United Surveys dla RMF FM i „DGP" wynika, że rząd ma więcej przeciwników niż zwolenników (51,4 proc. vs. 39,6 proc.). Nawet wśród wyborców obecnej koalicji 11,6 proc. ma o niej negatywne zdanie. Fatalnie wygląda to w najmłodszej grupie badanych (18–29 lat), gdzie pozytywnych ocen jest ledwie 17 proc. Za największe rozczarowanie – i słusznie – wśród liderów koalicji jest uznawany premier. Wskazuje nań 30,5 proc. badanych.

Nie ma powodów sądzić, by te notowania nagle zaczęły się radykalnie poprawiać. Koalicję 13 grudnia czeka więc dalszy zjazd i zasadne zaczynają być pytania o to, czy dotrwa do końca kadencji. Choć może ważniejsze brzmi, czy ta ekipa pozwoli na oddanie władzy. Czy w szale niszczenia kolejnych elementów ustrojowych nie zamorduje również wolnych wyborów? Pomruki z rządu na temat rumuńskiego precedensu oraz perspektywa odpowiedzialności karnej za wielokrotne łamanie prawa nie pozwalają wykluczyć i tego.

Bo naprawdę ciężko sobie wyobrazić, by Polacy dali drugą szansę obozowi, który w ciągu 12 miesięcy poważył się na takie spustoszenie państwa.

GOSPODARKA NA ŁOPATKACH

„Z lidera do outsidera" – napisał niedawno o naszym PKB Business Insider. A to dlatego, że gdy PiS oddawało władzę, ten wskaźnik kwartał do kwartału

Fot. KPRM

eprasa.pl 6db4984789

rósł najszybciej w UE. Dziś jesteśmy na trzecim miejscu, lecz od końca. Gorzej sytuacja wygląda tylko na Węgrzech i Łotwie.

Niemal jedna trzecia wydatków państwa będzie finansowana z kredytów. Dlatego informację o deficycie budżetowym na 2025 r. (rekordowym w historii – 289 mld zł, zbliżającym się do konstytucyjnego progu 60 proc. PKB mimo nałożonej na nasz kraj unijnej procedury nadmiernego deficytu) bankier.pl zilustrował zdjęciem auta roztrzaskującego się podczas crash testu. Donald Tusk z ministrem finansów Andrzejem Domańskim naprawdę rozpędzają polską gospodarkę prosto na ścianę.

Nawet świetnie radzący sobie w ostatnich latach państwowi giganci notują olbrzymie straty w porównaniu z minionymi latami (*vide* ORLEN, który w pierwszych trzech kwartałach wypracował 3 mld zł zysku, czyli aż o 17,03 mld mniej niż przed rokiem!), ze spółek giełdowych rosną tylko banki (niechciane przecież przez tę ekipę w państwowym portfolio).

Nie ma co się temu dziwić – polityczni nominaci rzucili się na państwowe synekury z większą pazernością niż ktokolwiek wcześniej. Partyjnie rozdystrybuowano zarządy spółek, rady nadzorcze, rządowe agencje, a obiecane konkursy uzyskały kryptonim Yeti – jak zresztą zdecydowana większość obietnic z ub.r., które komando Tuska z „konkretów" twórczo zamieniło w „postulaty", i to nie na 100 dni, lecz całą kadencję, a może nawet święte nigdy.

Zamachu nie uniknęły nawet instytucje kultury, z których przepędzono dotychczasowych dyrektorów, bez względu na to, czy kończyły im się kadencje, czy nie. A szefowa Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego dumnie nazywa siebie samą siepaczem.

Zagraniczni inwestorzy opuszczają nasz kraj (uciekają przed rosnącymi kosztami pracy, w tym galopującymi cenami prądu), nie ma tygodnia bez doniesień o kolejnych zwolnieniach grupowych. Maleje liczba ofert zatrudnienia, sytuacja na rynku pracy robi się coraz trudniejsza dla pracownika.

Magiczna antyinflacyjna różdżka jednak nie istnieje. Konsekwencją fatalnej polityki rządu (w tym podwyższenie VAT na podstawowe produkty spożywcze) są ucieczka do szarej strefy i drożyzna. Cena masła stała się już memiczna, ale poseł od Hołowni się uśmiecha: ostatnio zjadł suchą bułkę i też mu smakowała.

Branżowe portale piszą o fali bankructw polskich firm. A Tusk rechocze w internecie: „Budżet przyjęty. Jedność Koalicji wzorowa. Walec jedzie dalej".

Losy zapoczątkowanych przez PiS elektrowni jądrowych coraz bardziej zaczynają przypominać te z czasów pierwszego rządu Tuska – skończą się na wypłatach dla zarządów. Nazwa Centralnego Portu Komunikacyjnego nawet nie pada w podsumowującym rok rządowym spocie propagandowym. Mignęli nam jedynie koleją dużych prędkości, która i tak została mocno okrojona w stosunku do projektu PiS. Zeszłotygodniowa decyzja władz ORLENU o rezygnacji z projektu Olefiny III (wydano na niego już 12,6 mld zł) to kolejny symbol zwijania państwa.

NAUKA POSZŁA W LAS

Jak zresztą mamy myśleć o jakimkolwiek rozwoju, skoro jeden z kluczowych obszarów w tej dziedzinie został oddany kompletnym dyletantom? Polska nauka pod kierownictwem ministra Dariusza Wieczorka za chwilę może się znaleźć nad przepaścią i wtedy ten specjalista zechce zapewne uczynić krok naprzód.

Szefostwu tego resortu wystarczyło kilka miesięcy, by wsławić się: szantażem wobec rektora państwowej uczelni, zastraszaniem szefa Sieci Badawczej Łukasiewicz czy przyznaniem, że obietnica akademików za złotówkę była „ściemą". Za to żona ministra została dyrektorem na Uniwersytecie Szczecińskim (stamtąd pochodzi minister), a jego kolega złapał dobrą fuchę we wspomnianym Łukasiewiczu. Trzeba było burzy medialnej, by tapetować skandal wywołany przez ignoranta z tytułem profesorskim Macieja Gdulę, który wyrzucił ze spółki IDEAS NCBR najwybitniejszego w kraju specjalistę od sztucznej inteligencji.

W edukacji na niższych szczeblach jest jeszcze gorzej. Oświatę dano do mordowania rewolucjonistce po skończonej uczelni tatusia, a ta ruszyła do roboty z naostrzoną maczetą. Ze szkół wyjeżdżają więc wartości, w tym kształtująca nas przez tysiąc lat religia, a wjeżdża lewacka ideologia i seksualizacja. Dzieci mają być coraz głupsze, by gdy dorosną łatwiej nimi rządzić. A rządzić mają ci z bogatej „elity" kształconej w prywatnych placówkach, których nie obowiązują chore zakazy zadawania prac domowych.

TYŁEM DO LUDZI

Rząd chwali się programem 800+, z którym nie ma nic wspólnego, bo jego wprowadzenie to decyzja Prawa i Sprawiedliwości. 14. emerytury nie zabrali, ale za to ją obniżyli. Niespecjalnie odczują to tylko byli esbecy, którzy znów cieszą się przywilejami podwyższonych świadczeń. Znów czują, że warto było gnoić Polaków.

Wydłuża się lista szpitali, które zamykają oddziały włącznie z SOR. Opowieści o tym, że to lekarz będzie dzwonił do pacjenta wypytywać o zdrowie czy że państwo będzie refundować prywatne wizyty u specjalisty, jeśli czas oczekiwania wydłuży się powyżej dwóch miesięcy, pozostają w sferze przedwyborczych bajeczek.

Protestują kolejne grupy zawodowe i społeczne – rolnicy, górnicy, branża transportowa, a nawet policjanci, dla których nie ma środków na 15-proc. podwyżki. U tych ostatnich fatalna sytuacja przekłada się na realne obniżenie bezpieczeństwa. W czasie ćwiczeń na strzelnicy raniona zostaje przypadkowa kobieta, a w czasie akcji na warszawskiej Pradze wysłany do niebezpiecznej interwencji niedoświadczony funkcjonariusz zabija kolegę.

Opiekunowie niepełnosprawnych demonstrowali ostatnio przed KPRM, domagając się zapowiadanej ustawy o asystencji osobistej. „Jak ja mam uwierzyć Tuskowi? On to publicznie obiecał" – pytali.

Rząd z kretesem oblał najważniejszy egzamin – ze społecznej empatii. Najpierw zlekceważył zagrożenie powodziowe (Tuskowe: „Prognozy nie są przesadnie alarmujące" będzie się ciągnąć za nim latami), a trzy miesiące po powodzi na Dolnym Śląsku ludzie nie tylko nie mają gdzie mieszkać, lecz także nie dostają należnych im, a obiecanych, pieniędzy na remonty

eprasa.pl 6db4984789

zniszczonych domów. Specjalnie powołany do usuwania skutków kataklizmu minister (z 25 mln zł budżetu na swój gabinet) bywa bardziej zajęty organizacją przedwyborczej szopki partyjnej.

KATASTROFA MIĘDZYNARODOWA

Tusk pozostaje za to pupilkiem niemieckiej prasy, nawet jeśli nie do końca mu po drodze z obecnym kanclerzem. Ale nie ma co się dziwić, wszak na większości decyzji gospodarczych, (anty)inwestycyjnych i infrastrukturalnych podejmowanych w Warszawie będą zarabiać nasi zachodni sąsiedzi. Przede wszystkim mogą zaś odetchnąć w sprawie odszkodowań za zbrodnie II wojny światowej. W tej dziedzinie Tusk dał się nawet upokorzyć Olafowi Scholzowi na wspólnej konferencji pustosłowiem o rzekomo planowanej pomocy dla... ocalałych z wojny. Nadchodzi 80. rocznica jej zakończenia, a rachunek wciąż wynosi 6,2 bln zł! Czas zacząć liczyć odsetki.

Naszego sztukmistrza z Sopotu miał nikt nie ograć w Brukseli. A Komisja Europejska właśnie wstrzymuje kolejne pieniądze dla Polski, bo rząd zignorował oskładkowanie śmieciówek. Za chwilę przejmujemy półroczne przewodnictwo we Wspólnocie. Powinniśmy się więc szykować do organizacji szczytu Unii w Warszawie. Ale tym razem od tej reguły nastąpi wyjątek i przywódcy UE spotkają się w Brukseli. Tak to Donald sprytnie rozegrał.

Gdyby nie prezydent Andrzej Duda, za kilka tygodni Polska straciłaby jakiekolwiek kontakty w USA. Bo obecna ekipa wyspecjalizowała się w obrażaniu Donalda Trumpa, by podlizać się swoim europejskim mocodawcom. Szef MSZ wykazuje się tu wyjątkowym lekceważeniem polskich interesów, upierając się przy wysłaniu do Waszyngtonu skompromitowanego Bogdana Klicha na kierownika placówki. Ambasadorem nie będzie, bo (jakże słusznie) nie zgadza się na to głowa państwa. Podobnie wstydu najemy się w Rzymie czy w Wiedniu, gdzie ambasadorów będą udawać przed podwładnymi odpowiednio Ryszard Schnepf i Zenon Kosiniak-Kamysz (stryj szefa MON).

GWAŁT NA PAŃSTWIE

Z przywrócenia w Polsce praworządności cieszyli się tylko co inteligentniejsi inaczej wyborcy oraz europejscy zwierzchnicy nowej ekipy rządzącej z Didierem Reyndersem na czele, ale on akurat ostatnio sam okazał się praczem brudnych pieniędzy.

Rzeczywistość może wywoływać tylko złość i płacz. Media publiczne przejęte pałą i uchwałą przy asyście łysych karków i kochanek ruskich szpiegów (oddawanych Putinowi za friko – szpiegów, nie kochanek) szorują po dnie. Czynni posłowie są nielegalnie wsadzani do aresztów. Co krok łamana jest konstytucja – bimbaniem na orzeczenia Trybunału Konstytucyjnego czy Sądu Najwyższego. Nawet Państwowa Komisja Wyborcza, upartyjniona jak nigdy, łamie prawo i wykonuje brudne zlecenia okradania największej partii opozycyjnej z należnych środków budżetowych.

> Branżowe portale piszą o fali bankructw polskich firm, ucieczce z Polski zagranicznych inwestorów, kolejnych zwolnieniach grupowych, a Tusk rechocze w internecie: „Budżet przyjęty. Jedność Koalicji wzorowa. Walec jedzie dalej”

Szef rządu osobiście pracuje na poważne zarzuty karne, nielegalnie przejmując Prokuraturę Krajową, a wsadzeni doń uzurpatorzy powołują kolejne zespoły do ścigania opozycji. Śledztwa wobec skorumpowanych ludzi nowej ekipy są zaś umarzane (np. w Szczecinie). Rezygnują z poszukiwania zabójców Jolanty Brzeskiej, bo po co reprywatyzacyjni mafiosi mieliby się dłużej niepokoić? Roman Giertych nie musi już mdleć na widok policji, a Bartłomiej Sienkiewicz, zamiast słuchać zarzutów za rozwałkę mediów publicznych (faktycznie strategicznie ważnych dla państwa) włącznie z wyłączaniem ich sygnału, może sączyć trunki w Brukseli.

Ta część ich elektoratu, która wciąż ma w skrytkach za boazerią legitymacje SB, musi być dumna. Dziedzictwo Jaruzela ma się świetnie!

A co u współczesnych generałów? Wracają ci szkoleni w Moskwie, szef MON czyni z nich swoich zaufanych współpracowników. Szefem SKW i komisji szukającej rosyjskich wpływów (ale tylko wśród opozycji) zostaje dawny funkcjonariusz WSI – zbrojnego ramienia Moskwy.

Tej samej Moskwy, przed którą mają nas chronić przeciwpancerne jeże. Na szczęście premier dowiedział się już – na oczach kamer – gdzie dokładnie jest granica z tym państwem, którego media pisały o nim: „nasz człowiek w Warszawie”.

Nic dziwnego, że Tusk urządza na posiedzeniach swojego rządu putinady, publicznie traktując ministrów jak chłopców na posyłki. Lecz szczytem inspirowania się satrapą ze Wschodu jest bezprawna decyzja o wpisaniu TVN (jak państwo rozwijają ten skrót?) – a dla hecy również Polsatu – na listę spółek strategicznych. Prędzej czy później Polacy będą musieli zapłacić za ochronę propagandowej tuby, ale tym premier nie zaprząta sobie głowy.

Po nim choćby potop. Większy niż ten wrześniowy. On zawsze znajdzie sobie dobrą miejscówkę, by zapalić cygaro i sączyć mavaziję.

W puencie spotu na pierwszą rocznicę koalicja 13 grudnia słyszymy: „To dopiero rok. Jeszcze wiele przed nami!”. To nie przechwałka, lecz realna groźba. Dla nas wszystkich. Jedyne, co ich może zatrzymać, to najbliższe wybory prezydenckie. Porażka Rafała Trzaskowskiego będzie początkiem końca tej ekipy. I ostatnią nadzieją dla Polski. Na szczęście coraz więcej na nią wskazuje.

Potem pozostaną do zorganizowania już tylko sprawiedliwe procesy.

eprasa.pl 6db4984789

Masło luksusowe

KONRAD KOŁODZIEJSKI

Wysokie ceny masła nie są tylko sezonową anomalią. To jeden z wielu objawów kryzysu, który pod obecną władzą będzie się pogłębiał. Oczywiście w pewnym momencie społeczeństwo otrzeźwieje, jednak zanim to nastąpi, zwykli ludzie będą ponosić olbrzymie koszty antyspołecznej polityki Tuska

Jeden z internautów napisał na platformie X, że w tym roku dzięki Tuskowi nie będzie wreszcie problemu z wyborem prezentów na Boże Narodzenie. Wystarczy bowiem kupić kilka kostek masła, ładnie je opakować i położyć pod choinką. Obdarowani na pewno się ucieszą.

Natychmiast przypomniał mi się dowcip, który opowiadaliśmy sobie w pierwszych klasach szkoły podstawowej: „Chcesz cukierka, idź do Gierka, on ma, to ci da". Uświadomiłem sobie, jak ponure koło zatoczyliśmy w ciągu ostatniego półwiecza, że do publicznego obiegu wraca typ żartu, który w czasach PRL był reakcją na powszechny niedostatek i biedę. Niewykluczone, że dziś idziemy w podobnym kierunku, co wtedy – ludzie, sięgając do swoich portfeli, dobrze to wyczuwają.

Kraj pod batutą uśmiechniętej ekipy Tuska popadł w stagnację i zaczyna się zwijać. Drożyzna, której symbolem stały się przed świętami wysokie ceny masła, jest tylko jednym z sygnałów, że sprawy mają się źle i niewiele wskazuje na to, że w najbliższej przyszłości może być lepiej.

IGRZYSKA ZAMIAST MASŁA

Rok temu Tusk rozbudził oczekiwania ludzi. Naobiecywał im gruszek na wierzbie, bo właśnie tym było jego

Fot. Studio Fratria

eprasa.pl 6db4984789

słynne 100 konkretów, i nie wywiązał się z nich. Zresztą wcale nie zamierzał spełniać tych obietnic, chodziło przecież wyłącznie o władzę. Wydawałoby się jednak, że mając w perspektywie wybory prezydenckie, Platforma i jej nieszczęśni koalicjanci będą przynajmniej symulować troskę o społeczeństwo. Nic takiego się nie dzieje, co więcej, farsa zaczyna się powtarzać.

Na pytanie Bogdana Rymanowskiego w Radiu ZET, czy po wygranej Rafała Trzaskowskiego cena masła oscylująca dziś wokół 10 zł za kostkę spadnie do 5 zł, minister ds. Unii Europejskiej Adam Szłapka odpowiedział: „Myślę, że tak". A więc stanie się cud podobny do tego, który we wrześniu 2022 r. zapowiadała obecna minister zdrowia Izabela Leszczyna, że po dojściu PO do władzy wszystkie problemy Polaków znikną „jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki". Wynika z tego, że rządzący – ciekawe, na ile trafnie? – zakładają, że zasoby głupców w naszym społeczeństwie są wystarczająco duże, aby zapewnić Platformie dalsze sprawowanie władzy.

Gdyby jednak tak nie było, Tusk zaserwuje ludziom igrzyska. Zamiast na drożyźnie i zawłaszczaniu państwa skupią się oni na kolejnych aresztowaniach wśród pisowców. Podniecona gawiedź ma uwierzyć, że za jej wszystkie problemy odpowiada poprzedni rząd i gdy jego członkowie trafią za kraty, świat znowu stanie się piękny.

Jak już zamkną Ziobrę, to zaświeci słońce, jak przymkną Morawieckiego, to zacznie działać służba zdrowia, gdy ześlą do kamieniołomu Obajtka, to benzyna będzie po 5,19 zł, a zaraz po aresztowaniu Kaczyńskiego spadnie cena masła. Chodzi tylko o to, aby utrzymać pospólstwo w tym złudzeniu do dnia wyborów prezydenckich, bo gdy uda się je wygrać, jego głosy nie będą już potrzebne. A kostka masła, parafrazując Tuska, może być nawet po 100 zł.

LEPIEJ SKROPIĆ OLIWĄ

Na razie jednak cena masła jest kłopotem. Bardzo zabawnie wyglądają próby tłumaczenia, czemu jest tak drogo. Wśród przyczyn wymienia się mnóstwo rzeczy: suszę, „niedobór sianokiszonki", a nawet wściekliznę i chorobę niebieskiego języka u krów. Z kolei stacja TVN wyjaśniała swoim widzom, że anomalie klimatyczne wywołały u krów stres cieplny, który negatywnie wpłynął na jakość i ilość mleka. Mówi się również, że polska drożyzna nie jest niczym nadzwyczajnym, bo wysokie ceny masła utrzymują się w całej Europie, a wszystko zaczęło się od wybuchu wojny na Ukrainie.

Nie twierdzę, że podane wyżej przyczyny nie mają wpływu na ceny mleka i w efekcie masła. Dostrzegam jednak, że pominięto najważniejszą kwestię: politykę Unii Europejskiej, a w szczególności szaloną strategię Zielonego Ładu, która uderza w rolnictwo i hodowlę, prowadząc do zmniejszenia pogłowia krów, oraz winduje ceny energii w kosmos, co z kolei przekłada się na koszty ponoszone przez mleczarnie. A obecny rząd nie tylko z tym nie walczy, lecz także, dygając wdzięcznie przed unijnymi urzędasami, przykłada rękę do tej samobójczej polityki.

Może gdyby Polacy nie kupowali masła, nie byłoby ono tak drogie, jednak w naszej tradycji kulinarnej ten tłuszcz odgrywa dużą rolę. Zdziwiło to byłą dziennikarkę TVN Karolinę Hytrek-Prosiecką. „O co chodzi z tym masłem?" – zapytała na platformie X. „Kupuję słodkie francuskie i nawet to nie kosztuje 12 zł... pomijam fakt, że najlepiej jest skropić pieczywo oliwą" – poradziła.

Niewykluczone, że Hytrek-Prosiecka nabrała zwyczaju skrapiania chleba oliwą po traumie rządów PiS, bo wtedy ceny bardzo jej doskwierały. „Nie jadam masła" – pisała w 2017 r. „Z ciekawości sprawdziłam, cena szokująca". Ta „szokująca cena" to było wówczas 5–6 zł. Dziś, choć jest dwa razy drożej, to cena już jej nie szokuje. O co wam chodzi, ludzie? Ważne, że władza się zmieniła.

ZALETY SUCHEJ BUŁKI

Trudno uniknąć wrażenia, że skok cen masła nastąpił w złym momencie. Bo gdyby rządziło PiS, to nasłuchalibyśmy się lamentów i bluzgów o tym, jak reżim głodzi Polaków. Teraz jednak funkcjonariusze obecnej władzy ostentacyjnie kpią sobie z ludzi i dotykającej ich drożyzny.

Oto reprezentujący Polskę 2050 Rafał Kasprzyk, indagowany w Sejmie przez reportera telewizji wPolsce24 Macieja Zemłę o wysoką cenę masła, z wyraźnym rozbawieniem odpowiada, że jadł bułkę bez masła „i też się dało zjeść". Można to odczytać jako komunikat do społeczeństwa, że najwyraźniej poprzewracało mu się w głowie, bo przecież suchy chleb też jest dobry. I znowu na myśl przychodzą lata siermiężnego PRL, gdy towarzysz Gomułka zżymał się na Polaków, że chcą pić kawę i kupować cytryny. Jego zdaniem kawa zbożowa była zdrowsza, a cytryny z powodzeniem dało się zastąpić kiszoną kapustą. Zwłaszcza w herbacie – jak dopowiadali w dowcipach wdzięczni za tę radę obywatele.

Przypomina się także nieszczęsny Stefan Niesiołowski, który za poprzednich rządów Platformy radził głodnym dzieciom, aby jadły szczaw. „Mirabelki jedliśmy, wyjadałem szczaw z nasypu. I wszyscy byli najedzeni. A teraz te owoce leżą na ziemi. Szczawiu nikt nie zjada" – żalił się ówczesny poseł PO, reagując na informację o 800 tys. niedożywionych dzieci w Polsce.

FALA UBÓSTWA

Od tamtej pory minęło 11 lat, a statystyki dotyczące ubóstwa w naszym kraju znowu stają się alarmujące. Według Joanny Sadzik ze Stowarzyszenia WIOSNA, które organizuje akcję Szlachetna Paczka, dzisiaj w Polsce jest 500 tys. dzieci żyjących w skrajnym ubóstwie.

Gwałtowne pogorszenie sytuacji materialnej Polaków nastąpiło w 2023 r. i było skutkiem wzrostu inflacji, skoku cen energii wywołanych przez wojnę na Ukrainie oraz obłąkaną politykę Zielonego Ładu narzuconą przez Unię Europejską. Z analizy danych wykonanej przez Europejską Sieć Przeciwdziałania Ubóstwu (EAPN) wynika, że pod koniec 2023 r. aż 2,5 mln Polaków żyło w skrajnym ubóstwie, a ponad 17 mln poniżej minimum socjalnego. Był to dramatyczny wzrost biedy w porównaniu z całkiem niezłym pod tym względem 2022 r.

I choć nie ma jeszcze raportu za obecny rok, to wiemy już, że sytuacja cały czas się pogarsza. Wynika to m.in. z danych dotyczących lichwy. W ciągu tego roku w porównaniu z poprzednim wyraźnie wzrosła liczba pożyczek, w tym tzw. chwilówek udzielanych na wysoki procent. Jak podaje PAP, od stycznia do października 2024 r. firmy pożyczkowe udzieliły łącznie 4,72 mln pożyczek gotówkowych na kwotę 12,26 mld zł. Daje to wzrost liczby pożyczek o 34,7 proc., a ich wartości aż o 53,7 proc. w porównaniu z analogicznym okresem w 2023 r.

eprasa.pl 6db4984789

Zubożenie społeczeństwa dostrzegają też właściciele sklepów. Coraz więcej klientów rezygnuje z niektórych zakupów, wracają też zakupy na zeszyt. Szczególną inwencją wykazała się tutaj „Żabka", która w odpowiedzi na zapotrzebowanie na rynku rozważa wprowadzenie specjalnej karty kredytowej o limicie 1 tys. zł dla najuboższych klientów, która działałaby na podobnej zasadzie co zeszyt. Dług za zrobione zakupy trzeba by było zwrócić w kolejnym miesiącu.

Nie można jednak powiedzieć, aby fala ubóstwa szczególnie martwiła polityków obecnej koalicji rządowej. Stojąca na czele resortu klimatu Paulina Hennig-Kloska (Polska 2050) ucieszyła się, że Polacy, jak podaje GUS, kupują dziś znacznie mniej ubrań i butów niż jeszcze rok temu. „Z punktu widzenia klimatu to nawet dobrze, jak będziemy mniej tego typu rzeczy kupować, bo to powoduje emisję" – stwierdziła w rozmowie z Polsat News. A latem tego roku zaproponowała, aby ci, których nie stać na termoizolację mieszkania i wysokie rachunki za energię przeprowadzili się do kontenerów. Z kolei poseł Andrzej Szejna zapytany w RMF FM przez Roberta Mazurka, co jako poseł Lewicy sądzi o zapożyczaniu się ludzi, którzy masowo biorą dziś chwilówki, odpowiedział, że „to korzystne dla gospodarki, bo zwiększa się impuls konsumpcyjny".

ROZPRAWA Z HOŁOTĄ

Prawda jest taka, że wraz z odejściem rządu PiS skończyły się w Polsce tarcze, programy osłonowe i wsparcie finansowe dla obywateli. Dziś znowu mamy władzę, która porzuca ludzi w potrzebie i zgadza się na ich ubóstwo. Być może wynika to z nieudolności obecnej ekipy, a być może z jej konformizmu, ale takie wyjaśnienia byłyby bardzo przychylne dla rządu Tuska. Dlatego należy sądzić, że polityka gabinetu jest celowa. Chodzi o przywrócenie społeczeństwa klasowego, w którym na najwyższym poziomie jest nieliczna klasa panująca, nieco niżej znajduje się klasa aspirująca (mylnie nazywana średnią), a cała reszta zostaje zdegradowana do roli ubogich poddanych.

Ta strategia skrywa się nawet za infrastrukturalną demolką Polski przeprowadzaną przez obecny rząd. Po co budować ogromne lotnisko, jakim jest CPK? Jaki jest sens wytyczania linii kolejowych w całym kraju? Przecież hołota powinna siedzieć na miejscu i odrabiać pańszczyznę. Podróże, zwłaszcza lotnicze, są wyłącznie dla wąskiej elity. To wyznacznik prestiżu, który nie przysługuje pospólstwu.

Kilka miesięcy temu obrazowo przedstawił to na portalu Gazeta.pl prezes IBRiS Marcin Duma, człowiek skądinąd bardzo odległy od PiS. „To jest element szerszego nastroju, żebyśmy tę trzecią klasę w naszym pociągu znowu przesadzili tam, gdzie jej miejsce – do wagonu trzeciej klasy. I wyraźnie ją oddzielili, czyli doprowadzili do sytuacji, kiedy będzie wiadomo, kto ma bilet w pierwszej, kto w drugiej, a kto w trzeciej klasie. Bo za czasów PiS to się zaczęło zacierać. Pierwsza klasa nadal jechała sobie coraz wygodniej, natomiast druga i trzecia zaczęły się ze sobą sklejać, co było powodem ogromnych lęków i napięć" – wyjaśniał Duma w rozmowie z Grzegorzem Sroczyńskim.

> Tłumacząc wzrost ceny masła, pomija się najważniejszą kwestię: politykę Unii, a w szczególności szaloną strategię Zielonego Ładu, która uderza w rolnictwo oraz winduje ceny energii w kosmos

Żądza zemsty, która ogarnęła dużą część elektoratu PO, jest wynikiem frustracji nagromadzonej w ciągu ostatnich ośmiu lat, gdy klasa aspirująca musiała ustępować miejsca awansującej za czasów PiS klasie ludowej. Teraz wyborcy Tuska oczekują więc, że ich wódz rozprawi się wreszcie z „hołotą", pozbawi ją wszelkiej pomocy i usadzi z powrotem w tylnych rzędach, aby raz na zawsze zniknęła im z oczu.

Tusk nie ma z tym większego problemu, bo spełniając te postulaty swojego elektoratu, realizuje zarazem znacznie ważniejszy dla niego cel polityczny, jakim jest całkowita marginalizacja PiS. Uderzając w mniej zamożnych Polaków, uderza przecież w główne zaplecze wyborcze partii Kaczyńskiego. To nie tylko kara za niewłaściwe wybory polityczne tych ludzi, lecz także próba zepchnięcia elektoratu PiS na margines społeczeństwa. Tak, aby nigdy nie stanowił zwartej siły mogącej zagrozić jego władzy.

PRAWDZIWE KONKRETY TUSKA

W listopadzie Komisja Europejska zaakceptowała zgłoszony przez rząd Tuska plan wychodzenia z procedury nadmiernego deficytu. To bardzo ważny dokument, ponieważ właśnie z niego możemy się dowiedzieć, co nas czeka w najbliższych latach. To są te prawdziwe, a nie wydumane konkrety Donalda Tuska.

Przede wszystkim plan premiera zakłada, że będzie jeszcze drożej niż teraz. Stanie się tak za sprawą zniesienia obniżonej stawki VAT na żywność, odejścia od tarcz energetycznych oraz systematycznego wzrostu akcyzy. Nie ma również mowy o jakiejkolwiek waloryzacji programu 800+ oraz Aktywny Rodzic, co ma znaczenie o tyle, że według rządu w przyszłym roku inflacja ma wzrosnąć do 5 proc. Nadal też będzie rósł dług sektora finansów publicznych – z 49,6 proc. PKB w 2023 r. do aż 61,2 proc. w 2028 r.

Krótko mówiąc, nadchodzą ciężkie czasy, a jeśli wziąć pod uwagę dotychczasowe „dokonania" obecnej ekipy, może być nawet gorzej, niż przewiduje przedstawiony plan. Przy czym największe cięcia mają się rozpocząć dopiero po 2025 r., a więc już po wyborze nowego prezydenta. To ważna okoliczność, bo wskazuje, że spadek jakości życia będzie na tyle duży, że rządzący obawiają się jego konsekwencji politycznych.

Warto zatem uświadomić sobie, że dzisiejsze ceny masła nie są tylko sezonową anomalią. To raczej jeden z wielu objawów kryzysu, który pod obecną władzą będzie się jeszcze pogłębiał. Oczywiście w pewnym momencie społeczeństwo otrzeźwieje, jednak zanim to nastąpi, zwykli ludzie będą ponosić olbrzymie koszty antyspołecznej polityki Tuska.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 6db4984789

Ranking prezydentów III RP

Lech Kaczyński najlepszy, Aleksander Kwaśniewski najgorszy. Kto zajął drugie, a kto trzecie miejsce?

STANISŁAW JANECKI

III RP miała dotychczas pięciu prezydentów: Lecha Wałęsę (1990–1995), Aleksandra Kwaśniewskiego (1995–2005), Lecha Kaczyńskiego (2005–2010), Bronisława Komorowskiego (2010–2015) oraz Andrzeja Dudę (od 2015 r.). Na początku był też prezydent powołany przez Zgromadzenie Narodowe na mocy zmowy elit postkomunistycznych i postsolidarnościowych, czyli Wojciech Jaruzelski (1989–1990), generał „ludowego" Wojska Polskiego, I sekretarz KC PZPR, twórca stanu wojennego. Ta przejściowa prezydentura to jednak wstyd dla Polski, więc lepiej ją przemilczeć, mimo że była faktem, a sam „prezydent" zachowywał się oportunistycznie wobec „nowego" układu.

Pięciu prezydentów III RP poddawano różnym ocenom, także na podstawie sondaży, a ich wyniki były co najmniej zdumiewające. Głównie dlatego, że odzwierciedlały stan mediów głównego nurtu, a właściwie ich upadku, bo tym było robienie Polakom wody z mózgu także w kwestii oceny prezydentów.

Nic dziwnego, że w badaniu SW Research dla rp.pl z lutego 2020 r. na pytanie o to, kto był najlepszym prezydentem w historii III RP, najwięcej, bo 37,6 proc., osób odpowiedziało, że Aleksander Kwaśniewski. Na Andrzeja Dudę wskazało 24 proc. Według 16 proc. ankietowanych najlepszym prezydentem III RP był Lech Kaczyński. Dla 12,8 proc. badanych był to Lech Wałęsa, a dla 9,6 proc. – Bronisław Komorowski. Na podobne pytanie zadane przez SW Research (znowu dla rp.pl.) w marcu 2024 r. najwięcej wskazań ponownie uzyskał Aleksander Kwaśniewski – 34,9 proc. Na drugim miejscu uplasował się obecny prezydent Andrzej Duda z wynikiem 13,8 proc. Tuż za nim (11 proc.) znalazł się Lech Kaczyński. Najsłabiej wypadli Lech Wałęsa – 6,9 proc. i Bronisław Komorowski – 3,9 proc.

Gdyby wyrwać się z niewoli uwikłań dominujących mediów i związanych z nimi „elit", hierarchia prezydentów III RP byłaby zupełnie inna. Problemem jest to, że zakłamanie trwa w najlepsze także obecnie, a umysły wcale nie są mniej zniewolone, przeciwnie – w wielu kwestiach nawet bardziej. Zapewne dlatego rządzi Donald Tusk, a za wzór prezydenta uchodzi Aleksander Kwaśniewski. Przywództwo obu tych polityków jest największym nieporozumieniem III RP. Dlatego warto odkłamać także hierarchię prezydentów naszego kraju. A prawdziwy ranking prezydentów III RP wygląda tak.

1 LECH KACZYŃSKI (2005–2010)

Działacz opozycji w PRL, wiceprzewodniczący Solidarności (1990), prezes NIK (1992–1995), poseł, senator, minister sprawiedliwości i prokurator generalny w rządzie Jerzego Buzka, prezydent Warszawy (2002–2005).

Lech Kaczyński to pierwszy prezydent III RP nieuwikłany w poprzedni system, prawdziwie wolny, pierwszy intelektualista na tym stanowisku. Jako głowa państwa miał pięć podstawowych celów: szybkie dołączenie Polski do najbogatszych państw Zachodu; przewodzenie krajom zagrożonym rosyjskim neoimperializmem i maksymalne zabezpieczenie się przed jego skutkami m.in. w sektorze energetycznym; rola lidera w gronie państw Europy Środkowo-Wschodniej należących do UE i NATO; znaczące podniesienie zdolności obronnych Polski. Aby je osiągnąć, patronował tworzeniu alternatywnych wobec Rosji systemów dostaw ropy naftowej i gazu do Europy Środkowej, np. z Azerbejdżanu i Kazachstanu. Jako rzecznik państw regionu starał się zabezpieczyć w traktacie lizbońskim interesy mniejszych

Fot. Prezydent.pl

eprasa.pl 6db4984789

państw, m.in. poprzez taki system głosowania w Radzie UE, żeby nie były one przegłosowywane przez te największe. Jako lider państw zagrożonych rosyjskim neoimperializmem zorganizował wyjazd do Tbilisi grupy przywódców tych krajów w najgorętszym okresie wojny rosyjsko-gruzińskiej w 2008 r., co uchroniło niepodległość Gruzji, a on sam stał się wrogiem nr 1 Rosji.

Przeciwstawiając się Moskwie i krytykując nieodpowiedzialną politykę Niemiec wobec Kremla, wzmacniał sojusz z USA, co jednak natrafiło na trudności, gdy prezydentem został Barack Obama, dążący do resetu z Rosją, podobnie zresztą jak ówczesny polski premier Donald Tusk. Cele Tuska były sprzeczne z priorytetami prezydenta, co doprowadziło do ostrego konfliktu, a jego finałem okazało się rozdzielenie wizyt obu przywódców w kwietniu 2010 r. w Katyniu. Było to możliwe wskutek taktycznego sojuszu Tuska z Putinem przeciw prezydentowi własnego państwa. W ten sposób możliwe było obniżenie elementarnych standardów bezpieczeństwa głowy państwa, a finałem stała się katastrofa smoleńska, w której zginął prezydent.

Fot. Andrzej Wiktor

Wraz ze śmiercią Lecha Kaczyńskiego jego następca Bronisław Komorowski oraz premier Donald Tusk mogli bez przeszkód porzucić to, co na wyrost nazywano polityką jagiellońską, a co polegało na lewarowaniu państw Europy Środkowo-Wschodniej oraz przygotowywaniu się na agresywne poczynania Rosji (zapowiedziane w Tbilisi w formie ostrzeżenia przed atakami na Ukrainę, potem państwa bałtyckie, a następnie Polskę). Ta polityka została zastąpiona przez orientację na Niemcy (słynny hołd berliński szefa MSZ Radosława Sikorskiego 28 listopada 2011 r.) i całkowite poddanie się Brukseli.

Z perspektywy ponad 14 lat od śmierci prezydenta Lecha Kaczyńskiego widać, że Polska straciła najwybitniejszego polityka po 1989 r.

9 ANDRZEJ DUDA (OD 2015 r.)

Wcześniej podsekretarz stanu w Ministerstwie Sprawiedliwości, następnie w Kancelarii Prezydenta Lecha Kaczyńskiego, poseł VII kadencji, europoseł VIII kadencji.

Andrzej Duda nie tylko kontynuuje politykę zagraniczną Lecha Kaczyńskiego, lecz także podejmuje własne inicjatywy, przede wszystkim ideę Trójmorza (z inicjatywy Andrzeja Dudy i ówczesnej prezydent Chorwacji Kolindy Grabar-Kitarović w 2015 r. powstała Grupa Trójmorza), czyli gospodarczo-polityczny sojusz 13 państw (na razie) położonych w pobliżu Bałtyku, Adriatyku i Morza Czarnego. Obserwatorami są Stany Zjednoczone i Niemcy.

Andrzej Duda jest prezydentem odpowiedzialnym za najlepsze od powstania III RP relacje Polski z USA, niezależnie od tego, czy rządzą nimi demokraci, czy republikanie. Szczególnie bliskie relacje łączą go z prezydentem Donaldem Trumpem, co wywołuje nieustanną frustrację w Niemczech. Duda jest nieprzejednanym wrogiem Moskwy, co tak zirytowało byłego prezydenta Dmitrija Miedwiediewa, że w bezsilnej złości najpierw nazwał polskiego prezydenta „szumowiną", a później „kanibalem, który uciekł ze szpitala psychiatrycznego". To skądinąd forma najwyższego uznania, bo w Rosji mówi się tak wyłącznie o najpoważniejszych przeciwnikach (skądinąd nigdy tak nie mówiono o Donaldzie Tusku).

Przez ostatnie prawie 10 lat Andrzej Duda pozostawał gwarantem rozwoju polskich możliwości obronnych, prawdziwym zwierzchnikiem sił zbrojnych. I wbrew bajkom oraz obraźliwym opiniom obecnie rządzących oraz ich klakierów w mediach nigdy nie był „długopisem" czy prezydentem zależnym. Takie opinie wynikają wyłącznie z ignorancji oraz niezadowolenia, że głowa państwa prowadzi samodzielną politykę. A „najstraszniejsze" jest to, że ma silną pozycję

eprasa.pl 6db4984789

w Waszyngtonie, o czym mógł się przekonać premier Donald Tusk, gdy towarzyszył Andrzejowi Dudzie podczas wizyty w Białym Domu i nie wiedział, co ze sobą począć, widząc bardzo bliskie relacje polskiego prezydenta z Joe Bidenem.

Andrzej Duda zawsze był przeciwnikiem uległości Polski w zamian za czcze pochwały i ordery, tym bardziej że to już przerabialiśmy w końcówce rządów Donalda Tuska. Walczył z pedagogiką wstydu, która wiąże się z bardzo niską asertywnością oraz poczuciem winy, co sprawia, że w cenie są tylko potakiwacze i „papugi". Przypominał, że zohydzanie własnego kraju nie jest postrzegane jako cnota, lecz wada, a nawet podłość.

3. BRONISŁAW KOMOROWSKI (2010–2015)

Wcześniej działacz opozycji w PRL, poseł, minister obrony narodowej (2000–2001), marszałek Sejmu (2007–2010).

Bronisław Komorowski miał na koncie wiele gaf i wpadek, z pospiesznym przejmowaniem funkcji p.o. prezydenta, gdy nawet nie było jeszcze aktu zgonu Lecha Kaczyńskiego. Najważniejsze jest jednak to, że nie dążył do rozniecania w Polsce konfliktów, co szczególnie widać na tle wojowniczego Donalda Tuska, który był premierem przez większą część prezydentury Komorowskiego. Zapewne sprzyjał temu fakt, że w czasie całej swojej kadencji głowa państwa nie musiała działać w ramach kohabitacji, czyli współpracy z rządem prezentującym odmienną opcję polityczną. Za wadę można uznać to, że Komorowski nie wchodził w otwarte spory z gabinetem także wtedy, gdy było to uzasadnione, np. kiedy podwyższano wiek emerytalny czy przejmowano pieniądze z OFE, ale przynajmniej działał uspokajająco przez swoją koncyliacyjność. Pewnie dlatego miał bardzo wysokie wskaźniki poparcia w sondażach, co go uśpiło, gdy stanął do rywalizacji z Andrzejem Dudą.

Bronisław Komorowski zachował się, jak trzeba, gdy doszło do rosyjskiej agresji na Ukrainę, mimo że wśród doradców miał takich rusofilów jak Roman Kuźniar. Wprawdzie kompromitujące są dla niego związki z dawnymi WSI, ale starał się dbać o wojsko, naciskając na zwiększenie nakładów na obronność, często wbrew oporowi ministrów obrony w rządach Donalda Tuska i Ewy Kopacz. Miał znaczący udział w decyzji NATO, by w lipcu 2016 r. szczyt sojuszu odbył się w Warszawie. Nie był już wtedy prezydentem, ale aktualny pozostawał temat szczytu, czyli wzmocnienie wschodniej flanki NATO. Niespecjalnie wychodziło mu promowanie Polski za granicą, ale też nie włączał się w wynoszenie polsko-polskich problemów na zewnątrz.

Na plus prezydentury Bronisława Komorowskiego można zaliczyć to, że jednak była ona lepsza od rządów ówczesnego premiera Donalda Tuska. Więcej było wtedy narzekań na nudę niż strachu przed wojną domową.

4. LECH WAŁĘSA (1990–1995)

Pierwszy przewodniczący NSZZ „Solidarność", laureat Pokojowej Nagrody Nobla (1983).

Grzechem pierworodnym jego prezydentury była zatajana i desperacko chroniona agenturalność w latach 70. Pewnie nigdy się nie dowiemy, czy i w jakim stopniu była ona „trzymaniem" przewodniczącego Solidarności i prezydenta RP. Groteskowe były jego dążenia do zastąpienia systemu parlamentarno-gabinetowego prezydenckim. Bojąc się teczek SB, wypowiedział wojnę rządowi Jana Olszewskiego, pierwszemu gabinetowi III RP, który powstał w wyniku wolnych wyborów, i doprowadził do jego obalenia. To Wałęsa odpowiada za odwołanie rządu Hanny Suchockiej, a w efekcie przejęcie władzy przez postkomunistów. Jesienią 1994 r. na poligonie w Drawsku Pomorskim zdecydował on o głosowaniu generałów nad wotum zaufania dla ministra obrony Piotra Kołodziejczyka, co było rodzajem puczu.

Bezsensowne i korzystne dla Rosji były jego koncepcje powołania NATO bis i RWPG bis. Historycznym sukcesem Wałęsy jest jednak porozumienie z Rosją w sprawie wyprowadzenia jej wojsk z Polski (ostatni żołnierze opuścili nasz kraj 17 września 1993 r.). I nasz kraj w przeciwieństwie do Niemiec nic za to Moskwie nie zapłacił (wynegocjowano opcję zerową).

Jeszcze w sierpniu 1993 r. Wałęsa uzyskał od ówczesnego prezydenta Rosji deklarację, że Polska ma prawo starać się o członkostwo w NATO. I choć Jelcyn, gdy wytrzeźwiał, wycofał się z tej

45/1123/F

eprasa.pl 6db4984789

deklaracji, sprawy zaszły już tak daleko, że pojawiła się korzystna dla nas obietnica prezydenta USA Billa Clintona i Polska weszła do Sojuszu.

Fot. Andrzej Wiktor, Fotokon/Shutterstock.com (x2)

ALEKSANDER KWAŚNIEWSKI (1995–2005)

Minister w rządach PRL (1985–1989), założyciel SdRP, poseł (1991–1995).

Przypisuje mu się zasługi w wejściu Polski do NATO (1999) i UE (2004), ale tak by się stało (zapewne w podobnym czasie) niezależnie od tego, kto był prezydentem. Jest on też ojcem konstytucji z 1997 r., choć dopiero z perspektywy lat widać, jak jest ona niedoskonała i jakie zawiera pułapki, zastawione m.in. za wiedzą Kwaśniewskiego. Chwalone jest też jego zaangażowanie w rozwiązanie kryzysu politycznego, który wybuchł na Ukrainie w 2004 r. w związku z pomarańczową rewolucją. Powszechna opinia głosi, że Kwaśniewski zdecydował się wtedy na rzucenie wyzwania Rosji, przez co bardzo się jej naraził. Wszystko wygląda inaczej, jeśli uwzględnić jego związki z ukraińskimi oligarchami, które wyszły na jaw po tym, jak przestał być prezydentem. Krótko po odejściu z urzędu Aleksander Kwaśniewski został dobrze opłacanym przewodniczącym zarządu założonej przez Wiktora Pinczuka fundacji Yalta European Strategy. Pinczuk, zięć byłego prezydenta Ukrainy Łeonida Kuczmy (przyjaciela Kwaśniewskiego), to jeden z najbardziej wpływowych ukraińskich oligarchów. Kwaśniewski doradzał też ukraińskiemu oligarsze Mykole Złoczewskiemu, właścicielowi Burisma Holdings, zajmującego się wydobyciem ropy i gazu.

Gdy chodzi o Polskę, to Aleksander Kwaśniewski jest uważany za ojca politycznego kapitalizmu. Legendarne stało się już umawianie czołowych ludzi wielkiego biznesu na audiencje u niego, a sensacyjne są szczegóły ich ustalania. Po odejściu z urzędu Kwaśniewski doradzał miliarderowi Janowi Kulczykowi, z którym wiele go łączyło, gdy biznesmen działał na styku z państwem, a były lider SdRP i SLD był prezydentem. Jest jeszcze epizod, o którym trudno zapomnieć – chodzi o zataczanie się nad grobami zamordowanych przez NKWD polskich oficerów w Charkowie.

REKLAMA

Z okazji zbliżających się
świąt Bożego Narodzenia
pragniemy złożyć najserdeczniejsze życzenia
wszelkiej pomyślności, spełnienia marzeń
oraz radosnych chwil w gronie najbliższych.
Niech ten czas będzie dla Państwa
okazją do wypoczynku,
refleksji i spotkań z najukochańszymi osobami.
Wesołych Świąt!

KASA KRAJOWA

eprasa.pl 6db4984789

Po tysiącu dniach wojny

Ukraina coraz mocniej odczuwa zmęczenie przedłużającym się konfliktem. Może właśnie dlatego prezydent Zełenski powiedział ostatnio w wywiadzie dla Sky News, że Kijów może rozważyć porozumienie pokojowe, które będzie zakładało pogodzenie się z okupacją Rosji 20 proc. terytorium jego ojczyzny, a jednocześnie ze smutkiem zauważył „nie mamy sił", aby myśleć o ich wojskowym odzyskaniu

MAREK BUDZISZ

Badania opinii publicznej przeprowadzone przez Centrum Razumkowa we wrześniu br. wskazują, że 35 proc. ankietowanych opowiada się za rozpoczęciem „już teraz" rozmów z Rosją. Co prawda 48 proc. badanych jest temu przeciwnych, ale przed rokiem było to 63 proc. Inne sondaże, przeprowadzone w listopadzie, wskazują na zmęczenie wojną. 29,5 proc. ankietowanych pozytywnie odpowiedziało na pytanie, czy rozpocząć rozmowy pokojowe, nawet jeśli Ukraina nie uzyska gwarancji bezpieczeństwa od Zachodu. 64 proc. badanych jest zdania, że zawieszenie broni może nastąpić dopiero po tym, jak Kijów uzyska zapewnienia wsparcia ze strony sojuszników, jeśli Rosjanie znów zaatakują. W gronie ludzi w wieku 30–39 lat liczba zwolenników rozmów „bo Ukraina nie ma zasobów, aby prowadzić wojnę na wyniszczenie" (tak zostało sformułowane pytanie zadawane przez ankieterów) dochodziła nawet do 40 proc.

„WYCISNĘLIŚMY LUDZI DO MAKSIMUM"

O zmieniających się nastrojach wiele też mówią ujawnione niedawno przez prokuraturę dane na temat skali „samowolnego opuszczenia miejsca pobytu" przez żołnierzy, czyli – używając normalnego języka – informujące o narastającym problemie dezercji. Według oficjalnych danych od początku wojny rozpoczęto 100 tys. dochodzeń, z których połowa to sprawy z ostatnich 12 miesięcy. Agencja AFP pisała, że może chodzić nawet o 200 tys. osób, bo niektóre śledztwa dotyczą grupowych ucieczek z jednostek i frontu. Ukraińscy komentatorzy wojskowi piszą, że największy problem dotyczy nowych brygad, właśnie formowanych, z których, zanim dotrą na front, potrafi zbiec jednak trzecia rekrutów. „Otwarcie mówiąc, wycisnęliśmy ludzi do maksimum" – powiedział mediom anonimowy oficer 72. Brygady, dodając, że jego zdaniem dezercje stały się jednym z głównych powodów, dla których siły ukraińskie musiały oddać nacierającym Rosjanom strategicznie ważną miejscowość Wuhłedar.

Problem jest na tyle poważny, że pod koniec listopada Rada Najwyższa uchwaliła specjalną ustawę – na jej mocy ci, którzy zdecydują się dobrowolnie wrócić do swych oddziałów, a zdezerterowali po raz pierwszy, mogą liczyć nie tylko na zakończenie postępowań prokuratorskich, lecz także otrzymają wszelkie należne wypłaty. Ta regulacja nie zmniejszyła skali problemu, bo głównym powodem dezercji jest obawa o własne życie i zdrowie. W tej fazie wojny, w której Rosjanie mają wyraźną przewagę, miesięcznie zrzucając na linii frontu ponad 5 tys. ciężkich bomb szybujących, nie tylko łatwiej zginąć, lecz także gwałtownie rośnie liczba rannych.

W maju federalny resort ds. weteranów ujawnił prognozy, w świetle których w momencie zakończenia wojny Ukraina może mieć nawet 5 mln ludzi mających status weteranów.

eprasa.pl 6db4984789

Fot. Drop of Light/Shutterstock.com

W tym przypadku nie chodzi wyłącznie o ciężary związane z wypłatami rent i zapomóg dla nich, które już w ub.r. pochłonęły 350 mln dol., a o skalę problemów związanych ze społeczną adaptacją ludzi poszkodowanych w związku z wojną zarówno fizycznie, jak i psychicznie. W połowie roku resort odpowiadający za politykę społeczną szacował liczbę inwalidów wojennych na Ukrainie na 300 tys., a w październiku br. Ołena Zełenska mówiła o 3 mln ludzi, których można zakwalifikować jako niepełnosprawnych. Są wśród nich również osoby okaleczone psychicznie, przechodzące różne formy zespołu stresu pourazowego w związku z tym, co przeżyli i widzieli na froncie. Już obecnie, jak powiedziała latem br. Oksana Suchorukowa, szefowa departamentu zdrowia Ministerstwa Obrony Ukrainy, 29 proc. chorób neurologicznych, na które cierpią ukraińscy żołnierze, jest związanych z tą przypadłością, a w najbliższym czasie skala problemu będzie szybko rosła. Doświadczenia amerykańskie po wojnie w Wietnamie wskazują, że nawet jedna trzecia weteranów może mieć problemy psychologiczne, które w przyszłości utrudnią im zarówno powrót do normalnego życia, jak i zarobkowanie.

Problem traumy, którą przechodzą walczący, wzmacnia i tak trudną sytuację ukraińskich rodzin, często zmuszonych radzić sobie z rozłąką, bo kobiety z dziećmi wyjechały za granicę i coraz rzadziej myślą o powrocie. We wrześniu premier Denys Szmyhal mówił, że 80 proc. tych, którzy opuścili Ukrainę na początku wojny, nadal chce wracać, ale czeka na koniec walk, rozwiązanie kwestii mieszkań i pracy, zwłaszcza że bezrobocie wciąż przekracza 17 proc. Jednak badania prowadzone wśród ukraińskich emigrantów na początku wojny mówiły o chęci powrotu nawet 95 proc. ankietowanych, co oznacza, że wraz z przedłużającą się wojną ich liczba maleje.

LEPIEJ NA EMIGRACJI

Narasta za to fala rozwodów, często korespondencyjnych, kiedy kobieta przebywająca z dziećmi na emigracji zaczyna myśleć o ułożeniu sobie życia od nowa. Jak informuje portal Fakti, w trzecim roku wojny liczba rozwodów na Ukrainie jest dwukrotnie większa niż w 2022 r. i w pierwszym półroczu tego roku zamknęła się liczbą ponad 15 tys. Irina Bowtik, prawnik specjalizująca się w sprawach rozwodowych, powiedziała dziennikarzom, że „zrobili to ci, którzy po prostu zdecydowali, że zostają za granicą, np. znaleźli pracę albo dzieci mają miejsce w przedszkolu, szkole, na studiach i nie widzą sensu w utrzymywaniu swoich stosunków małżeńskich na Ukrainie".

Problem malejącej skłonności migrantów do powrotu będzie narastać, bo z badań przeprowadzonych wśród ukraińskiej młodzieży przebywającej za granicą wynika, że wśród osób w wieku 13–15 lat 26 proc. chciałoby na stałe osiąść na obczyźnie, a kolejne 41 proc. chciałoby się tam uczyć, potem pracować i dopiero za jakiś czas wrócić na Ukrainę. Z badań przeprowadzonych przez Gradus Research wynika zaś, że dla 58 proc. rodziców, zarówno tych, którzy są już na emigracji, jak i przebywających na Ukrainie, najważniejszym motywem branym pod uwagę, kiedy rozważają decyzję o wyjeździe, jest kwestia przyszłości ich dzieci. Tego, czy będą mogły spokojnie żyć, uczyć się i pracować. Już obecnie, właśnie w związku z pogarszającą się sytuacją, ukraińscy demografowie mówią o kolejnej, tym razem przemyślanej i „kierowanej" fali migracji. W maju i czerwcu, kiedy zaczęły się przerwy w dostawach energii elektrycznej w związku z rosyjskimi bombardowaniami oraz weszła w życie ustawa o mobilizacji, z Ukrainy wyjechało o 300 tys. osób więcej, niż wróciło, co jest największą liczbą od wybuchu wojny.

Właśnie rozpoczęła się kolejna fala ukraińskiej emigracji, która jest zupełnie inna niż obserwowana zaraz po wybuchu wojny. Dobrym przykładem jest Maria, lekarka z Kijowa, której losy opisuje BBC. Latem kobieta zdecydowała się na stałe wyjechać z córką do Polski. Po wybuchu wojny ewakuowała się z Ukrainy do Portugalii, ale potem wróciła. Postanowiła wyjechać do Polski, „bo to nie koniec świata" i może u nas pracować w swoim zawodzie, co przesądziło o podjęciu decyzji. Jak powiedziała dziennikarzom, kierowała się troską o przyszłość swoją i swego dziecka. „Zarobić na pewien standard życia w naszym kraju i w krajach UE to zupełnie inny nakład pracy, którą się wykonuje i zupełnie inna ocena pracy lekarza" – mówi Maria.

Ukraińscy demografowie alarmują, że właśnie ma miejsce „drenaż mózgów", bo wyjeżdżają najzdolniejsi i najbardziej aktywni oraz młodzi chcący się kształcić i mieszkać za granicą. W świetle danych ONZ Ukraina już utraciła w związku z wojną 10 mln obywateli, którzy albo zostali na terenach okupowanych przez Rosjan, albo wyjechali. Im dłużej trwają

eprasa.pl 6db4984789

działania zbrojne, im mniej mówi się o szansach na odbudowę i objęcie Ukrainy zachodnim systemem bezpieczeństwa, tym trudniej będzie podjąć decyzję o powrocie. Kto zatem odbuduje Ukrainę ze zniszczeń wojennych i czy znajdą się na to pieniądze, zwłaszcza jeśli wojna zakończy się w wyniku negocjacji, co raczej wyklucza rosyjskie odszkodowania i rekompensaty za zniszczenia? Zachód ma problemy finansowe, w wielu krajach, jak choćby Francja czy Wielka Brytania, dług publiczny przekroczył 100 proc. PKB, a państw, które trzeba odbudowywać, jest niemało. Ukraina nie jest jedyna. Ostatnio o europejską pomoc w odbudowie Syrii i zatrzymaniu kolejnej fali emigrantów, których boi się Europa, apelował już po obaleniu Asada prezydent Turcji Recep Tayyip Erdoğan.

FINANSOWA KROPLÓWKA ZACHODU

Dzisiaj w Kijowe nie zaprzątają sobie głowy odbudową, bo mają ważniejsze problemy do rozwiązania. Serhij Marczenko, ukraiński minister finansów, powiedział w wywiadzie dla hiszpańskiego dziennika „El Pais", że jeśli administracja Donalda Trumpa wstrzyma pomoc finansową i wojskową, Ukraina będzie w stanie bronić się jeszcze w pierwszej połowie przyszłego roku, potem będzie już tylko gorzej. Zachodni eksperci podobnie oceniają zasoby sprzętowe i przede wszystkim ludzkie, którymi będzie dysponował Kijów.

To, że możliwości przeciwstawienia się agresji zaczną się wyczerpywać w ciągu najbliższych sześciu miesięcy, wyraźnie widać na podstawie analizy budżetu na przyszły rok, który w połowie listopada przyjęła Rada Najwyższa. Władze mają zamiar wydać w 2025 r. prawie 4 bln hrywien, z czego ponad połowa – 2,2 bln – trafi na finansowanie sektora bezpieczeństwa i obronności, czyli innymi słowy, na kontynuowanie wojny. Jeśli jednak spojrzymy na dochody ukraińskiego rządu, to zaplanowano je na poziomie 2,32 bln, czyli niewiele przekraczającym bieżące potrzeby związane z wojną. Przyszłoroczne dochody budżetu centralnego zapewne mogłyby być wyższe, ale Wołodymyr Zełenski nie podpisuje aktów prawnych podwyższających podatki, mimo że już kilka miesięcy temu Rada Najwyższa uchwaliła stosowne ustawy. Zaplanowany deficyt budżetowy ma wynieść 19,4 proc. PKB Ukrainy, a dług publiczny ma osiągnąć w przyszłym roku 97 proc. produktu krajowego. W praktyce oznacza to, że jeśli Ukraina nie otrzyma pomocy finansowej z zagranicy, to albo państwo przestanie funkcjonować i wypłacać renty oraz emerytury, albo trzeba będzie drastycznie ciąć wydatki na siły zbrojne.

W br. premier Szmyhal wielokrotnie powtarzał, że skala międzynarodowego wsparcia dla Ukrainy zamknie się kwotą 42 mld dol., a w przyszłym nie powinna być mniejsza. Ale nie wszyscy w Kijowie są takimi optymistami. Ukraiński bank centralny szacował we wrześniowym raporcie na temat inflacji, że w przyszłym roku, zwiększając dług publiczny i pozyskując wsparcie finansowe od sojuszników, uda się pozyskać maksymalnie 38 mld dol., a w kolejnym jeszcze mniej, bo jedynie 25 mld. W praktyce może to oznaczać wzrost inflacji, już i tak dochodzącej do 10 proc., bo rząd będzie zmuszony drukować pieniądze, albo konieczność oszczędzania.

Ze względu na zbliżające się wybory, bo zawieszenie broni automatycznie usunie formalne przeszkody na drodze do ich przeprowadzenia, Zełenski nie ma ochoty proponować Ukraińcom ani zaciskania pasa, ani perspektywy większego wysiłku związanego z wojną. Z tego powodu nie zgodził się też na „propozycję" Waszyngtonu, aby Kijów obniżył wiek mobilizacyjny z obecnych 25 do 18 lat. Jak powiedziała w ostatnich dniach Olha Stefaniszyna, wicepremier ukraińskiego rządu odpowiadająca za integrację europejską, ta kwestia była stawiana również w rozmowach z przedstawicielami państw europejskich. Wydaje się, że opór obozu rządzącego Ukrainą przed takimi radami wynika z przeświadczenia, że to i tak niewiele da, bo „wąskie gardło", jak powiedziała wicepremier, stanowią zdolności do wyszkolenia i wyposażenia rekrutów, a Zachód nie kwapi się ze wsparciem. Świadczy o tym choćby fakt, że Polska przeszkoliła w swoich bazach połowę nowych ukraińskich brygad, a reszta świata – pozostałe 50 proc. W takiej sytuacji powoływanie nowych roczników pod broń bez możliwości odpowiedniego przygotowania ich do walki byłoby szafowaniem demograficzną przyszłością narodu i stawiałoby pod znakiem zapytania zdolności Ukrainy do odbudowy.

> Na Ukrainie jest coraz mniej powodów do optymizmu, zmęczenie – coraz wyraźniej odczuwalne, a Rosjanie uważają, że wygrywają. Nie są to dobre prognozy

Nadzieje w Kijowie na krótko rozbudził upadek reżimu Asada w Syrii, w ostatnich latach mocno wspieranego przez Rosję. Pojawiły się opinie, że sojusznicy z Zachodu będą mogli wykupić z rąk powstańców rosyjską broń i amunicję, a następnie przekazać ją Ukrainie, ale po tym, jak Izrael zbombardował 350 celów w Syrii, głównie składów broni i magazynów amunicji, skala tych dostaw, jeśli w ogóle nastąpią, nie będzie imponująca. Podobnie trudno liczyć na to, że Moskale zmęczą się wojną i chcąc uniknąć scenariusza syryjskiego, zmniejszą siłę presji na froncie. Wnioski, które z syryjskiej lekcji wyciągają przedstawiciele rosyjskiej elity władzy, są przeciwne. Senator Rusłan Puchow, który na łamach dziennika „Kommiersant" w ostrych słowach skrytykował „ugrzęźnięcie" w Syrii, napisał, że współczesne wojny „trzeba wygrywać szybko", bo w przeciwnym razie nawet jeśli odnotowuje się sukcesy, można ponieść strategiczną porażkę. Z tego powodu, jak napisał, Rosja musi zdobyć się na większy wysiłek, aby wygrać na Ukrainie i narzucić Kijowowi swoje warunki.

Wszyscy przyglądający się wojnie są zdania, że rozstrzygnięcia zapadną w ciągu najbliższych sześciu miesięcy. Na Ukrainie jest coraz mniej powodów do optymizmu, zmęczenie – coraz wyraźniej odczuwalne, a Rosjanie uważają, że wygrywają. Nie są to dobre prognozy.

eprasa.pl 6db4984789

SIECI

Pod choinkę

Piękno prowadzi nas do sacrum 40

Co katedra Notre Dame mówi o Francuzach? 44

Elon Musk i Chińczycy w wyścigu o Księżyc 52

Rosjanie to obca cywilizacja 48

Jedyna w roku rybna wieczerza 77

Za kulisami „Polityki na deser” 64

eprasa.pl 6db4984789

Pragnę renesansu katolickiej kultury

W cesarstwie wschodnim zamach na obrazy wywoływał rozruchy. Dziś malarstwo sakralne umiera w ciszy – ostrzega *Dariusz Karłowicz*, filozof i koordynator projektu „Namalować katolicyzm od nowa" z Teologii Politycznej. Jak twierdzi, grozi nam zepchniecie naszej wyobraźni w pole zjawisk muzealnych. – Katolicka kultura pilnie potrzebuje renesansu – podkreśla w rozmowie z Maciejem Walaszczykiem

Gdybym zapytał dziś kogokolwiek o to, co rozumie przez piękno, padłyby na pewno różne sprzeczne odpowiedzi. Ale pan z pewnością odróżnia je od brzydoty czy kiczu. Czym wobec tego jest piękno?

Dariusz Karłowicz: Idąc za Grekami, piękno spontanicznie łączyłbym z dobrem. W klasycznej tradycji piękno to cecha tego, co istnieje w zgodzie z niezaburzonym porządkiem rzeczy, jest pełne blasku, harmonijne, niezepsute.

Dlaczego go potrzebujemy?

Bo jest jak drogowskaz. Wyznacza kierunek. Zachwyt pięknem łączy się z przeczuciem celu, pomaga zrozumieć, gdzie jesteśmy, i wreszcie nagli nas do przemiany. To dotyczy piękna natury, której ład – jak wierzymy, idąc za pitagorejczykami i Platonem – pomaga nam uporządkować własne wnętrze i skierować wzrok ku najwyższemu dobru. Ale oczywiście (choć Platon by się z tym nie zgodził) dotyczy to również piękna sztuki, które stanowi rodzaj miary naszego człowieczego bytu. Może to właśnie miał na myśli Rilke w „Starożytnym torsie Apollina", pisząc, że blask sztuki wzywa do zmiany życia („Du musst dein Leben ändern") – słowem, że to piękno widzi nas i nas ocenia, nie odwrotnie. To jeden z powodów, dlaczego tego, co piękne, nie można mylić z tym, co ładne. Piękno olśniewa i zachwyca, ale stawia pytania, budzi, często niepokoi,

jak mówi Norwid – zmusza do pracy i prowadzi do zmartwychwstania. Natomiast to, co ładne, ma się podobać, służy komfortowi, odpręża – musi być łatwe. Piękno mobilizuje, a ładne wprawdzie daje wytchnienie, ale zarazem usypia, rozleniwia. Kicz idzie jeszcze krok dalej. Schlebia temu, co w nas gorsze.

Piękno prowadzi nas do sacrum. Czy współczesny człowiek potrzebuje sacrum w sztuce?

Z pewnością, bo człowiek potrzebuje prawdy o tym, co najważniejsze. Zresztą doskonale widać to po zainteresowaniu kolejnymi wystawami z cyklu „Namalować katolicyzm od nowa". W dzisiejszej sztuce polskiej niełatwo wskazać zjawisko, o które toczyłyby się tak zażarte dyskusje, i to nie tylko w bańce art world. Na pierwszym wernisażu w podziemiach katedry warszawsko-praskiej, gdzie pokazywaliśmy 10 nowych obrazów Chrystusa Miłosiernego, pewien słynny artysta pytał mnie, co takiego zrobiliśmy, bo od lat na żadnym wernisażu nie widział takich tłumów. Odpowiedź wydaje mi się prosta. Interesują nas sprawy fundamentalne. Jeśli poważni artyści biorą się za malowanie najważniejszych tajemnic chrześcijaństwa, to sprawa zasługuje na uwagę. Chodzi więc nie tylko o ciekawość wobec prób ożywiania zachodniej tradycji europejskiego malarstwa sakralnego, lecz także o to, że malarstwo sakralne dotyczy spraw ostatecznych – jest próbą poznania, zrozumienia i przekazania prawdy.

Zaczęliśmy od piękna, a pan mówi o prawdzie?

Tak, bo jestem przekonany, że w sztuce sakralnej chodzi przede wszystkim o prawdę.

A więc nie o piękno?

O piękno też, ale sprawą kluczową jest prawda. W Katechizmie Kościoła katolickiego uwagi o sztuce sakralnej znalazły się w rozdziale o ósmym przykazaniu, a więc o fałszywym i prawdziwym świadectwie. Sztuka sakralna została tu określona właśnie mianem świadectwa. W chrześcijaństwie to bardzo dostojna kategoria. Jedna z najdostojniejszych.

Fot. Andrzej Wiktor

W grece, podobnie jak w polszczyźnie, „świadectwo", „świadek" to słowa o proweniencji sądowej. Świadek pomaga w ustaleniu stanu rzeczy. Zeznając przed sądem, mówi o tym, co widział, co wie. W tradycji chrześcijańskiej przedmiotem świadectwa jest życie, śmierć i zmartwychwstanie Chrystusa. Mogą o nim świadczyć nie tylko apostołowie i mistycy, lecz także wszyscy wierni, i to zarówno słowem, jak i – co dobrze rozumieli starożytni filozofowie – również czynem. Uważamy, że pewien sposób życia może świadczyć o Chrystusie, że świadek, stając się podobny do Boga, może ukazać Jezusa kolejnym pokoleniom chrześcijan. Takim świadectwem w jego najdoskonalszej postaci jest męczeństwo.

Jak w tym kontekście rozumieć to, że sztuka sakralna jest rodzajem świadectwa? Bo stanowi wyznanie?

Wyznanie prawdziwe lub fałszywe.

Ale jak to rozumieć w odniesieniu do dzieła sztuki?

Skoro sztuka sakralna stanowi utrwalony w postaci obrazu, rzeźby czy utworu muzycznego owoc poznania ostatecznej rzeczywistości, to jej przekaz powinien być zgodny z rzeczywistością, którą przedstawia. Jednym słowem, idzie przede wszystkim o prawdę. Sztuka sakralna powinna być prawdziwa. Jeśli jest piękna, to pięknem prawdy i dobra. Dlatego nie musi być ładna. Wystarczy spojrzeć na realizm gotyckich krucyfiksów.

Ta koncentracja na prawdzie upodabnia malarstwo sakralne do filozofii.

Tak, a też do teologii. We wspomnianym rozdziale autorzy Katechizmu zaczynają od fundamentów. Człowiek jest obdarzony naturalnym pragnieniem poznania Boga, a więc poznania źródła, celu i sensu. Wszystkie rodzaje świadectwa wyrastają z tego korzenia. Wydaje mi się to bardzo ciekawe, bo takie podejście ukazuje sztukę sakralną jako dzieło ufundowane w ludzkiej naturze. Nie jest to zatem, jak się dzisiaj czasem uważa, kwestia luksusu czy zachcianek garstki rozkapryszonych estetów, ale jedna z naturalnych dróg poszukiwania prawdy i sensu. Suma tych poszukiwań, a więc dorobek europejskiej sztuki sakralnej, to część chrześcijańskiej tradycji – suma miejsc teologicznych o wielkim znaczeniu. Oczywiście idzie tu o inne poznanie niż w przypadku filozofii i teologii. Jego przedmiot jest wprawdzie ten sam, ale, jak podkreśla autor tego rozdziału Katechizmu, dzieła sztuki ukazują ten aspekt Boga, którego nie można poznać za pośrednictwem rozumowania.

Czy głos chrześcijaństwa jest możliwy w naszej kulturze?

Wydaje mi się, że szkoda czasu na takie rozważania. Lepiej po prostu próbować. Zresztą nic nas nie zwolni z tych prób, nawet najbardziej uczone teksty o „zmierzchu" i „końcu" nie unieważniają naszych powinności. Takiej władzy nie miałby nawet zjazd najmądrzejszych badaczy świata, i to nawet gdyby przewodniczyła mu prof. Chantal Delsol. Próbować trzeba tym usilniej, im prognozy fatalistów są gorsze. Chrześcijaństwo i determinizm to antypody.

Nie ucieka pan od rzeczywistości?

Jedna sprawa to realistyczna ocena istniejącego stanu rzeczy. Druga to prorokowanie. Pierwsza jest ważna, bo bez niej trudno porządnie myśleć i działać z głową. Drugą się nie zajmuję. Nie wierzę ani we wróżby z gwiazd, ani ze społecznych trendów. Przeżyłem zbyt wiele spraw, które nie śniły się socjologom, by wierzyć w nieubłagane mody, historyczne prawa czy inne zaklęcia konieczności. Jak mówi mój przyjaciel Dariusz Gawin, „historia zawsze przychodzi z boku". I to zarówno ta wielka, jak i mała.

Czy projekt „Namalować katolicyzm od nowa" może służyć za przykład, że możliwe są rzeczy niemożliwe?

Wolałbym przykład pontyfikatu św. Jana Pawła II, powstania Solidarności, upadku ZSRR czy wstąpienia Polski do NATO.

A pański projekt nie?

Na bardzo małą skalę tak. Oczywiście, że tak. Przez lata czytałem, że sztuka

Fot. Fundacja Świętego Mikołaja/Teologia Polityczna

sakralna w Polsce jest niemożliwa. W prasie katolickiej był to prawie gatunek literacki. Czytałem całe elaboraty o tym, że artyści nie zechcą, sztuka dziś nie taka, wierni odrzucą, proboszczowie nie przyjmą do kościołów, pieniędzy się nie znajdzie, a biskupi – wiadomo, biskupi to już wszystko, co najgorsze. Z przyjemnością stwierdzam, że większość podobnych opinii to banialuki. Artyści, i to przecież nie jacyś nieudacznicy, ale malarskie znakomitości, nie tylko włączyli się w ten projekt z ogromnym zaangażowaniem i powagą, lecz także zgodzili się na udział w przedsięwzięciu planowanym na 21 lat. Biskupi diecezji warszawsko-praskiej, ordynariusz Romuald Kamiński i bp pomocniczy prof. Jacek Grzybowski są więcej niż życzliwi, a proboszczowie, odważni i z wyobraźnią – po prostu wspaniali. Pieniądze mamy zaś od polskich przedsiębiorców, wspaniałych, mądrych ludzi: Jolanty i Mirosława Gruszków, Danuty i Krzysztofa Domaredzkich. Wojciecha Piaseckiego, Doroty i Tomasza Zdziebkowskich. Tak jest zresztą z wieloma innymi rzeczami, które robimy w Fundacji Świętego Mikołaja i w Teologii Politycznej. Słyszymy, że się nie da, a potem okazuje się, że to bujda. Zresztą w trzecim sektorze to chyba norma.

Może pan podać więcej przykładów. Fundacja Świętego Mikołaja zainicjowała Orszak Trzech Króli, który dzisiaj idzie podobno w 900 miastach, prowadzicie działalność charytatywną w Polsce, Syrii i na Ukrainie, macie jedno z najambitniejszych wydawnictw filozoficzno-literackich, świetny tygodnik internetowy, rocznik filozoficzny, tworzycie duże środowisko. Czy wszystko wam się udaje?

Wręcz przeciwnie. Fundacja to cmentarzysko fantastycznych pomysłów. Tyle że jak się uprzeć, to w końcu czasem coś wychodzi.

A co się udało ostatnio?

Instytut Kultury św. Jana Pawła II, który cztery lata temu razem z Fundacją Futura Iuventa otworzyliśmy w Rzymie na Wydziale Filozofii Papieskiego Uniwersytetu św. Tomasza z Akwinu, znakomitej uczelni z tradycjami sięgającymi średniowiecza, najlepiej znanej pod nazwą Angelicum. Prowadzimy tam studia janopawłowe, robimy międzynarodowe konferencje, wystawy, spektakle, wydajemy książki. Z wykładami przyjeżdżają najciekawsi intelektualiści z całego świata chrześcijańskiego. Naszą misją nie są badania historyczne, ale myślenie wraz ze św. Janem Pawłem II. Również ten projekt stworzyliśmy bez finansowania Kościoła czy państwa, za pieniądze naszych sponsorów.

„Zwiastowanie", Jacek Dłużewski

No tak, w dobie „dewojtylizacji" to nie powinno się udać.

Oto przyjemności z płynięcia pod prąd.

Dlaczego współczesne malarstwo zniknęło z kościołów? To wyraz sekularyzacji, a może reform liturgicznych? Pan mówi o protestantyzacji wrażliwości katolickiej.

To bardzo ciekawy temat. Owszem, spontanicznie łączymy to zjawisko z sekularyzacją i pewnie w ogólnym planie coś jest na rzeczy, ale przecież sekularyzacja stanowi w Polsce zjawisko dość świeże, a współczesnej sztuki sakralnej brakuje u nas od dawna. Myślę, że mamy dziś do czynienia z nową postacią ikonoklazmu. Zupełnie zresztą inną od tego, który w VIII w. doprowadził do poważnego kryzysu w Kościele i cesarstwie. Wówczas – jak można sądzić – chodziło przede wszystkim o lęk przed źle pojętym kultem obrazów. Sądząc z zachowanych źródeł, obrazoburcy obawiali się m.in., że czci dostępują raczej wizerunki niż ci, którzy są na nich przedstawiani – słowem, że przyzwolenie na obrazy prowadzi do kultu idoli, a co za tym idzie, do faktycznego politeizmu.

To gdzie tkwi problem?

Chodzi o doketyzm – bodaj najstarszą herezję, która głosi, że Chrystus wcielił się tylko na pozór. Współczesne chrześcijaństwo ma poważny problem właśnie z tajemnicą wcielenia. Dziś ona dziwi, żenuje, gorszy. Wielu współczesnym chrześcijanom Bóg teistów wydaje się dużo bardziej pociągający intelektualnie od niepoważnej, ludowo-dziecinnej historii: „Słowo, które stało się ciałem". O ileż łatwiej by było, gdyby w katolicyzmie chodziło wyłącznie o piękne metafory i abstrakcyjne wartości, gdyby nie trzeba było brać dosłownie wszystkich tych żenujących opowieści o aniołach, cudach, rybakach itp. Tymczasem wcielenie – fundament naszej wiary – to również fundament malarstwa sakralnego. Jak orzekł sobór nicejski II, święte obrazy są możliwe właśnie ze względu na wcielenie. Malowanie niewidzialnego Boga jest wszak niemożliwe. Dlatego malarstwo, zwłaszcza zachodnie, z tak wielką mocą mówi o wcieleniu. To jego centralny temat. Wszystkie wielkie tajemnice chrześcijaństwa są przedstawiane jako wydarzenia rzeczywiste, pełno tu empirycznego konkretu, rodzajowości, faktów – od zwiastowania przez nauczanie, cuda, śmierć aż po zmartwychwstanie, zesłanie Ducha Świętego i cały dalszy ciąg. To drażni doketyczną wrażliwość dzisiejszych chrześcijan, ale również czyni starania o renesans malarstwa zachodniego tak ważnym.

Podczas debaty, która odbyła się w ramach wernisażu tajemnicy nawiedzenia, miała miejsce ciekawa dyskusja miedzy panem a biskupami na temat prawosławnej ikony. Gdy Kościół zachodni rezygnuje ze swojej sztuki, jej miejsce zajmują wątpliwe teologicznie malarstwo, architektura czy muzyka albo właśnie ikona. Pan miał tutaj duże wątpliwości, bp Grzybowski jeszcze większe. Dlaczego?

Jeśli dobrze pamiętam, to wątpliwości bp. Grzybowskiego dotyczyły przede wszystkim dwóch spraw: jakości artystycznej i stosowności. Trudno zaprzeczyć, że malarstwo inspirowane ikoną stało się ofiarą swojej własnej popularności. Z zalewu bardzo miernych dzieł coraz trudniej wyłowić rzeczy dobre. Warto też czasem zadać sobie pytanie o granice, stosowność. Kiedy rzymski katolik tworzy ikonę św. Tomasza z Akwinu, to przyzna pan, że coś skrzeczy.

A pańskie zastrzeżenia?

Moje wątpliwości dotyczą sposobu, w jaki odbierana jest ikona, a nie jej samej. Wydaje mi się, że wyrwana ze swego naturalnego kontekstu liturgicznego i teologicznego, wyjęta z ram swojej duchowej tradycji, może działać wbrew sobie. Dlaczego? Bo nabiera nowego i zupełnie nieoczekiwanego sensu. Wracam do kwestii współczesnego doketyzmu. To się ściśle ze sobą wiąże. Wydaje mi się, że jednym z powodów popularności sztuki inspirowanej tradycją Wschodu w Kościele zachodnim jest fakt, że pewna konwencjonalność języka ikony pozwala uciec od niepokojącej kwestii historyczności i empiryczności wcielenia. Przyzwyczajonym do realizmu zachodniej sztuki sakralnej malarska maniera ikony pomaga myśleć o wcieleniu w bezpiecznych kategoriach mitu, metafory czy pięknej bajki. To zaspokaja potrzebę odrealnienia Ewangelii. Dla doketyzującej duchowości współczesnego katolicyzmu, która pewnie najbardziej lubiłaby abstrakcję, ikona to swoisty azyl, który pozwala uniknąć problematycznej prawdy o Słowie, które „zamieszkało między nami". Tak pojęta ikona wydaje się zwalniać od pytań o konsekwencje faktu wcielenia, uspokaja, daje poczucie bezpieczeństwa. Powtarzam: to nie jest zarzut wobec ikony, ale tego, jak ludzie zachodu mogą czytać religijne i sakralne obrazy inspirowane sztuką prawosławną.

Dlaczego chce pan „namalować katolicyzm od nowa"?

O wartości malarstwa sakralnego mówiliśmy już sporo. Czy można się pogodzić z tym, że taka tradycja ma zniknąć? W cesarstwie wschodnim zamach na obrazy wywoływał rozruchy. Dziś malarstwo sakralne umiera w ciszy. Jeśli nie chcemy, by nasza wyobraźnia stała się zjawiskiem muzealnym, warto choć spróbować to zmienić. Ale ta sprawa jest znacznie szersza, nie dotyczy tylko malarstwa. Katolicka kultura pilnie potrzebuje renesansu. Dziś jest na OIOM-ie, więc wszystkie ręce na pokład.

Czy próbę namalowania obrazu Jezusa Miłosiernego uważa pan za udaną?

Tak i nie. Tak, bo zaczynając projekt sakralny zaplanowany na 21 lat, dobrze jest zacząć od Chrystusa, i to miłosiernego. Tak, bo obrazy okazały się bardzo dobre i głębokie. Tak, bo w zdecydowanej większości znalazły kupców i albo już wiszą, albo niedługo zawisną w kościołach. Tak, bo wywołaliśmy ogromną dyskusję, która świadczy o tym, że sprawa jest ważna. Nie, bo to nie może się udać. Ludzkie próby uchwycenia tego, co Boskie, w tym i poprzez to, co widzialne, są z konieczności skazane na porażkę. Św. s. Faustyna, która widziała Jezusa Miłosiernego, popłakała się, widząc jego obraz namalowany pod jej okiem przez bardzo dobrego malarza, jakim niewątpliwie był Eugeniusz Kazimirowski. Walczyć można o zmniejszenie skali tej porażki, nie o jej uniknięcie. O łzach s. Faustyny nie wolno zapominać.

Wyodrębniła się grupa malarzy, którzy uczestniczą w tym projekcie od początku. Inni doszli, inni się wycofali. Dlaczego?

Wybór był kwestią gustów artystycznych, wieloletnich przyjaźni, a czasem również przypadku. Z jednym wyjątkiem od początku jesteśmy w tym samym dziewięcioosobowym gronie. Co roku zapraszamy jednego młodego artystę. W tym roku jest to Ewa Czwartos, której piękne, kipiące energią obrazy można oglądać na wystawie w Centrum Sztuki Współczesnej w Warszawie.

Te obrazy tworzą malarze o bardzo różnych stylach i wyobraźni. Między ujęciami Beaty Stankiewicz, Jarosława Modzelewskiego, Ignacego Czwartosa, Grzegorza Wnęka, Wojciecha Głogowskiego, Bogny Podbielskiej, Jacka Dłużewskiego, Krzysztofa Klimka, o. Jacka Hajnosa jest duży rozstrzał. To rzeczywiście są obrazy służące do kultu?

W projekt zaangażowali się świetni malarze, niektórzy z olbrzymim dorobkiem. Fakt, że nie jest to decyzja koniunkturalna, rozumie każdy, kto wie, na jakim świecie żyjemy. Do każdego kolejnego kroku – a co roku planujemy malować kolejną tajemnicę różańca – przygotowujemy się bardzo starannie. W czasie kilkudniowych warsztatów wykłady

„Nawiedzenie", Krzysztof Klimek

wygłaszają bibliści, teologowie dogmatyczni, filozofowie, historycy sztuki i literatury chrześcijańskiej. Starannie badamy tradycję ikonograficzną i literacką. Na seminarium w Teologii Politycznej wspólnie czytamy teksty, zastanawiamy się nad tym, czym jest i czym powinno być malarstwo sakralne. Obrazy są malowane z myślą o kościołach i te, które już znalazły się w świątyniach, bardzo dobrze odgrywają swoją rolę. Teza, że będzie inaczej, okazała się kolejnym mitem. Zapraszam na wystawę.

Fot. Fundacja Świętego Mikołaja/Teologia Polityczna

Chwała i obłuda

Ponad pięć lat po niszczycielskim pożarze odbudowano słynną katedrę Notre Dame w Paryżu. Ogień raczej nie przebudził francuskich katolików, ale wywołał refleksję nad tożsamością Francji. Oczywiście nie u wszystkich, bowiem dla Emmanuela Macrona uroczystości ponownego otwarcia świątyni były głównie okazją do samoinscenizacji na tle poważnego kryzysu politycznego

Fot. Christophe Petit Tesson/POOL/AFP/East News

ALEKSANDRA RYBIŃSKA

„Bo choćby człowiek w nic nie wierzył, zdarzają się w życiu chwile, kiedy wyznaje się tę wiarę, której świątynia stoi najbliżej" – pisał Victor Hugo w „Dzwonniku z Notre Dame". Tak więc prezydent Francji Emmanuel Macron, a wraz z nim duma i energia świeckiej republiki znalazły schronienie w słynnej katedrze w chwili, gdy kolejny rząd byłego negocjatora brexitu Michela Barniera upadł po zaledwie trzech miesiącach od jego utworzenia. „Nie wiem, dokąd idę, ale idę" – to także słowa Hugo. Może także prezydent Francji nie wie już, którą ścieżką podążać. Katedra odnalazła za to swój splendor oraz iglicę.

Jej wielki pożar w kwietniu 2019 r. wywołał falę rozpaczy i ogromny szok nad Sekwaną. Stał się także symbolicznym zwiastunem destabilizacji na Starym Kontynencie. Wkrótce potem nastała pandemia i do Europy wróciła wojna. Gdy płonęła katedra, tysiące ludzi modliło się na ulicach i śpiewało hymny. Obraz płomieni pożerających iglicę Notre Dame trafił w samo serce Francji. Emocje zdawały się zresztą ogarniać cały świat.

> Wielki pożar katedry w kwietniu 2019 r. wywołał falę rozpaczy i ogromny szok nad Sekwaną. Stał się także symbolicznym zwiastunem destabilizacji na Starym Kontynencie. Wkrótce potem nastała pandemia i do Europy wróciła wojna

MUZYKA NADZIEI

Nagle wszyscy stali się katolikami, co najmniej w wymiarze kulturowym. Były prezydent Nicolas Sarkozy zadeklarował, że „Francja została dotknięta w swoim ciele, w swojej tożsamości, w swojej historii". Jego następca w Pałacu Elizejskim socjalista François Hollande mówił o „wspólnym dziedzictwie", a lider skrajnie lewicowej Niepokornej Francji Jean-Luc Mélenchon oznajmił, że „ten budynek jest członkiem naszej rodziny". Sam Macron obiecał zaś odbudowę katedry, „jeszcze piękniejszej niż wcześniej", w ciągu pięciu lat.

Tak więc pięć lat i osiem miesięcy później rzeczywiście nastąpiło zmartwychwstanie Notre Dame. Gdy polityczny pat nad Sekwaną wydawał się bez wyjścia i mnożyły się głosy wzywające prezydenta do dymisji, trwające dwa dni uroczystości ponownego otwarcia katedry okazały się wytchnieniem od politycznego kryzysu. Francja, a wraz z nią Macron, a może nawet w odwrotnej kolejności, znów mogła pławić się w blasku swojej wielkości. Ok. 50 głów państw z całego świata, w tym prezydent elekt USA Donald Trump oraz towarzyszący mu miliarder Elon Musk, uczestniczyło w oficjalnej państwowej uroczystości. Było to największe wydarzenie nad Sekwaną od chwili letnich igrzysk olimpijskich.

Bicie dzwonów katedry ogłosiło Paryżowi, Francji i światu, że słynna katolicka świątynia, symbol katolickiej Francji, wraca. „Notre Dame! Otwórz swoje drzwi ku wspólnej radości dzieci Bożych!" – wołał abp Paryża Laurent Ulrich. „Dzwony Notre Dame dzwonią znowu. To wspaniała muzyka nadziei. Nie tylko dla Francji, ale ludzi całego świata" – mówił zaś Macron. Swoje przemówienie zakończył słowami: „Niech żyje Francja!". Oczywiście była to dla niego okazja, by spróbować ponownie nawiązać nić porozumienia z przyszłym prezydentem USA, który był traktowany nad Sekwaną niemal jak gość honorowy.

KONTROWERSJE

Odbudowa Notre Dame kosztowała 703 mln euro. Pieniądze pochodziły głównie od darczyńców – za pośrednictwem m.in. Fundacji Notre Dame od ponad 340 tys. osób z całego świata zebrano 846 mln euro. Pokaźną kwotę przekazał choćby brytyjski pisarz thrillerów Ken Follet. To oznacza, że władze wciąż dysponują 140 mln euro na renowację części zewnętrznych, które jeszcze przed pożarem były w złym stanie.

Macron osobiście angażował się w prace, a nadzór nad nimi powierzył gen. Jeanowi-Louisowi Georgelinowi, gorliwemu katolikowi i byłemu szefowi sztabu sił zbrojnych (sprawował go do śmierci w 2023 r.). Montaż ramy iglicy, czyli 1 tys. kawałków litego drewna dębowego, był najpierw

wielokrotnie ćwiczony przed pracownią w Lotaryngii, gdzie drewno zostało docięte (w tym celu zużyto ponad 2 tys. drzew).

Zbudowana między XII a XIV w. i odrestaurowana w XIX w. Notre Dame nabrała XXI-wiecznego charakteru głównie dzięki wykorzystaniu technologii cyfrowej przy projekcie renowacji. Samych pomysłów odbudowy było zresztą wiele, niektóre zdecydowanie modernistyczne i utylitarystyczne – architekt krajobrazu Clément Willemin zaproponował choćby taras na dachu z wiszącym ogrodem. Ostatecznie zdecydowano się jednak odbudować katedrę, a szczególnie iglicę autorstwa architekta Eugène'a Violleta-le-Duca, zgodnie z jej oryginalną formą. Oczywiście nie obyło się bez kontrowersji. Nie wszystkim Francuzom spodobał się nowy, zdecydowanie modernistyczny i ważący ponad 1 t ołtarz z brązu artysty Guillaume'a Bardeta, a także ambona oraz reszta wyposażenia liturgicznego jego autorstwa. Ani „pstrokate" ornaty noszone podczas uroczystości otwarcia przez abp. Paryża, zaprojektowane przez Jeana-Charlesa de Castelbajaca. Białe szaty z zielonymi, żółtymi, niebieskimi i czerwonymi naszywkami jednym kojarzyły się z tęczą środowisk LGBT+, innym z „klaunem w cyrku". Arcybiskup bronił się, twierdząc, że kolorystyka miała nawiązywać do tradycji chrześcijańskiej. Krytycy jednak nie odpuszczali i zarzucali, że w tak wielkiej chwili „zabrakło mu powagi".

Fot. Christophe Petit Tesson/PAP/EPA; Eliot Blondet/abacapress.com/PAP/ABACA

MIT I TRADYCJA

Odkładając na bok kontrowersje, najważniejsze pytanie, a raczej pytania, brzmią: dlaczego francuski prezydent uznał za konieczne osobiste zaangażowanie się w odbudowę świątyni dawno już przecież porzuconej religii? I dlaczego pożar Notre Dame wydawał się Francuzom tragedią tak egzystencjalną? Nad Sekwaną już tylko 6,6 proc. katolików uczęszcza na mszę. Mniej niż 25 proc. noworodków zostaje ochrzczonych. Jak podkreślił francuski pisarz katolicki Michel De Jaeghere na łamach „Le Figaro", władze „uznały mszę katolicką podczas pandemii za »zajęcie nieistotne« wraz z uprawianiem sportów zespołowych i koncertami popowymi. [...] Odrzuciliśmy zasady moralności chrześcijańskiej do tego stopnia, że wpisaliśmy aborcję do konstytucji. Z tej okazji Macron wygłosił przemówienie pod świątynią Wielkiego Wschodu Francji na ulicy Cadet" – zauważył pisarz.

Dokonane 120 lat temu radykalne rozdzielenie Kościoła od państwa spowodowało, że dziś budynki kościelne należą do państwa i często niszczeją. Gdy podstawy kultury chrześcijańskiej i jej symbole odchodzą w zapomnienie, zbiorowe msze Francuzów to dziś koncerty i mecze piłki nożnej.

Skoro wiara jest coraz mniej potrzebna Francuzom, po co im Notre Dame? Niektórzy francuscy komentatorzy uważają, że pożar obudził sumienie katolików, a u Francuzów wywołał refleksję nad ich tożsamością. Może nawet rodzaj nostalgii za dawną świetnością kraju, za jego galerią królów, świadków długiego sojuszu Kościoła i państwa. „Rabelais, Hugo, Claudel umieszczali katedrę w swoich powieściach. W kraju tak literackim jak Francja uczynili z niej przedmiot wyobraźni. Quasimodo jest takim samym francuskim mitem jak Cyrano, d'Artagnan czy Gavroche" – uważa De Jaeghere. Architektoniczne arcydzieło górujące nad Paryżem, element mitu, kultury i tożsamości jest czymś więcej niż miejscem kultu. To coś, z czym ciężko się rozstać. Albo, jak zaznaczył De Jaeghere, „perspektywa upadku Notre Dame nagle stanęła przed naszymi oczami jako inscenizacja naszych zaprzeczeń, wizji świata dostosowanego do naszej obojętności,

4/1224/F

naszych wyrzeczeń". „I ten obraz nagle nas przeraził" – dodał.

SYMBOLICZNE MĘCZEŃSTWO

Jeśli chodzi o Macrona, sprawa jest o wiele bardziej prozaiczna. Odbudowa Notre Dame i uroczystość jej ponownego otwarcia dały mu okazję do samoinscenizacji. Poprawy wizerunku w chwili, gdy jest on już mocno nadszarpnięty. Według badań YouGov po uroczystościach wskaźnik popularności głowy państwa wzrósł o 4 pp., z 18 do 22 proc. pozytywnych ocen. Macron, dwukrotny prezydent i budowniczy katedr. Jak twierdzą złośliwcy, papież Franciszek nie przybył na uroczystości w Paryżu, bo nie chciał uczestniczyć w politycznej instrumentalizacji odrodzenia katedry.

Ale mimo całej obłudy francuskiej klasy politycznej należy się cieszyć z tego odrodzenia. Publicysta Étienne de Montety na łamach „Le Figaro" pisze o ziemskiej chwale katedry, która była wielka. „Brakowało jej tylko symbolicznego męczeństwa, jakiego doświadczyła poprzez płomienie. Jest teraz wizytówką na miarę Boga, dla którego została wzniesiona: umarłego i zmartwychwstałego" – podkreślił. A katedra powstała przecież w jednym celu: ku chwale Chrystusa. Podobnie jak inne słynne świątynie, choćby ta w Saint-Denis, główna nekropolia francuskich królów. W cieniu długiego procesu odbudowy Notre Dame doszło zresztą do osobliwego nawrócenia.

NAWRÓCENIE

Była działaczka organizacji FEMEN Marguerite Stern, która wraz z ośmioma towarzyszkami z odsłoniętymi piersiami wtargnęła do katedry w 2013 r., by lobbować za małżeństwami homoseksualnymi, przeprosiła katolików za swoje zachowanie. Jak twierdzi, dziś widzi świat zupełnie inaczej. „Atakując religię katolicką, zastanawiam się, czy ja również nie kierowałam się wtedy logiką zniszczenia i nienawiści do samej siebie" – wyznała w listopadzie br. Ta, która głośno i wulgarnie świętowała koniec papiestwa śp. Benedykta XVI, nazywając go homofobem i życząc mu, by „smażył się w piekle", płakała, gdy w 2019 r. płonęła katedra Notre Dame. Wymieniając „dzwonnice, które górują nad nami i zdobią nasze krajobrazy dźwiękowe, majestat budynków, zachwyt przy wejściu do kościoła i wiarę wierzących", była działaczka FEMEN, która twierdzi, że może nie stała się religijna, ale na pewno jest „patriotką" i „konserwatystką", dziś za wszelką cenę pragnie zachować to, co pozostało ze „społeczeństwa", z Francji. „Przepraszam, że to wcześniej deptałam" – mówiła w nagraniu udostępnionym na platformie X.

Dziś Stern wraz z innymi byłymi działaczkami LGBT+ walczy z ruchem trans, który uważa za „niszczący cywilizację". „Rytuały katolickie nas uspokajają, jednoczą, a czasem naprawiają. Katolicyzm jest częścią Francji" – szepcze na końcu nagrania.

REKLAMA

eprasa.pl 6db4984789

Obca cywilizacja

Rosjanie są inni. Wprawdzie mają jasną skórę, mówią językiem słowiańskim, formalnie mają chrześcijańskie korzenie, ale tak naprawdę to tylko pozory. Pod względem mentalnym są całkowicie inni nie tylko od zachodnich i środkowych Europejczyków. Nawet wschodniosłowiańscy Ukraińcy różnią się od nich zasadniczo. To efekt kilkusetletniej inżynierii społecznej prowadzonej przez carów, cesarzy i genseków kompartii

PIOTR GURSZTYN

Biała czy czerwona? Bez znaczenia. Zawsze inna od Europy. Nawet tej biednej i peryferyjnej jej części, jaką są wschodnie ziemie dawnej Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Kompletnie odmienna cywilizacja. „W sprawie morderstw Rosjanie nie mają głupich przesądów" – stwierdził James Bond w „Casino Royale".

Niby wiemy, że Rosjanie są inni. Zwłaszcza teraz, gdy docierają do nas informacje, że masowo popierają wojnę na Ukrainie, mimo że wiąże się z to z bezsensowną śmiercią tysięcy rosyjskich mężczyzn. Gdy docierają do nas informacje, że cieszą się ze zbrodni wojennych popełnionych w Buczy czy w Irpieniu, tłumaczymy je sobie tym, że są zindoktrynowani, poddani propagandzie albo że to brzemię komunizmu. Otóż nie! To najprawdziwsze przejawy rosyjskiej mentalności.

Jeszcze trzy lata temu mało kto odważyłby się postawić tezę, że Rosjanie są inni i że nie są częścią świata Zachodu. Powszechny był zachwyt nad rosyjską kulturą, a częsta też – moda na nią. Wzruszony Daniel Olbrychski odbierał Order Puszkina z rąk samego Władimira Putina, a Adam Michnik rozczulał się nad mądrością demokratycznej rosyjskiej inteligencji. Dominowało przekonanie, że Rosjanie nie dołączyli do szczęśliwego świata zachodniego liberalizmu tylko z powodu dyktatorskich metod Putina. Ale wiadomo – on kiedyś odejdzie, a wtedy Rosja wpisze się w wizje przyszłości wymarzone przez ludzi takich jak Michnik. Bo Rosjanie muszą pragnąć tego samego co Niemcy, Szwedzi, Francuzi, a nawet mieszkańcy miasteczka Wilanów.

24 lutego 2022 r. pokazał, że nie wiadomo, czy to się kiedykolwiek stanie. Rosyjska wielkomiejska inteligencja i tamtejsi postępowi aktywiści okazali się warstwą cienkiego pokostu. Tak samo nietrwałą, jak arystokracja carskiej Rosji i błyskotliwi intelektualiści z początku XX w. zmieceni przez bolszewików. Nie mogło być inaczej, skoro przez kilkaset lat – co najmniej od drugiej połowy XV w. – mieszkańcy Rosji byli poddawani brutalnej i systematycznej obróbce. Pozbawiani praw i jakiejkolwiek podmiotowości, żyjący w okrutnym systemie, w którym każdy kogoś gnębi. Gdzie okrucieństwo władzy przechodzi na bezwzględne relacje społeczne, a nawet rodzinne. Gdzie brutalna jest nie tylko władza – całe społeczeństwo pozostaje przesiąknięte wszechobecną przemocą.

KULTUROWY GENOTYP

Najpierw ciekawostka językowa. W każdym języku europejskim w podobny sposób sygnalizuje się fakt posiadania jakiegoś przedmiotu: „Ja mam",

Fot. ID1974/Shutterstock.com

„Ich habe", „I have". Także we wschodniosłowiańskim ukraińskim mówi się „Ja maju". A Rosjanin musi powiedzieć „U mienia jest". Czyli jakaś własność jest u niego, ale jutro może już jej nie być. W językach europejskich ludzie sami się nazywają lub mają imiona na własność – „Ich heisse", „je m'apelle", „my name is". Rosjanin nie jest właścicielem swojego imienia. Jego nazywają inni – „mienia zawut". A w takiej Polsce nawet pies sam się wabi. Tak samo w językach Europy ludzie sami z siebie coś muszą: „Ich muss", „I must", „ja muszu". A Rosjaninowi każe coś zewnętrznego –„mnie nada".

Dodajmy jeszcze jedną ciekawostkę semantyczną. Najpopularniejsze nazwisko w Rosji to Smirnow. Może ktoś się uśmiechnie, bo będzie miał skojarzenie z popularnym trunkiem. Ale nazwisko to pochodzi od przymiotnika „smiriennyj", czyli pokorny. Zaś słowo „smirienie", bardzo ważne dla rosyjskiej mentalności, oznacza pokorę, i to pełną rezygnacji oraz bierności. „Smirienie pacze gordosti", czyli pokora ponad dumę, to jedno z najważniejszych zaleceń wpajanych Rosjanom od dzieciństwa. Sprawa nazwisk nie jest błaha. Prawie wszystkie rosyjskie nazwiska mają charakter patronimiczny, czyli odojcowski. Nie ma tam nazwisk toponimicznych, czyli wszystkich Wiśniewskich czy Kwiatkowskich. To nie przypadek. Przez stulecia Rosja była krajem, gdzie jedyną pewną rzeczą, którą ludzie mieli, to pamięć o rodzicu, a nie posiadanie ziemi czy poczucie stabilizacji. Państwo stale odbierało im ziemię lub kazało przenosić się w nowe miejsca. Nawet rosyjska arystokracja nie miała nazwisk takich jak cała europejska szlachta, kończących się na „-ski" lub z „de" lub „von", dumna z posiadania swych rodowych włości dziedziczonych przez pokolenia.

Najpopularniejsze nazwisko w Rosji to Smirnow. Może ktoś się uśmiechnie, bo będzie miał skojarzenie z popularnym trunkiem. Ale nazwisko to pochodzi od przymiotnika „smiriennyj", czyli pokorny

Ta dygresja pokazuje, jak odmiennie niż w całej Europie kształtowało się życie w Rosji. W języku odbija się mentalność i jednocześnie język ją kształtuje. W państwie carów nie było żadnych samorządów miejskich ani prawa, które musiało być przestrzegane, także przez władzę. Bojarzy to nie rycerze, z którymi monarcha musiał się liczyć. Na rozkaz cara byli publicznie chłostani i upokarzani, przez co w Rosji nie przyjęło się pojęcie honoru. Nie mieli żadnej własności, bo carskie nadania były przekazywane tylko na jakiś czas. W związku z tym nie opłacało się dobrze gospodarować, lecz jedynie maksymalnie eksploatować oddanych w poddaństwo chłopów. Tym także nie opłacało się rzetelnie pracować, bo i tak im wszystko odbierano. A w XVIII i XIX w. władze carskie zezwoliły na masowy handel chłopami. Identyczny jak ten z opisów w „Chacie wuja Toma", czyli z rozdzielaniem rodzin, gdy osobno sprzedawano mężów, żony i dzieci. To też zasadnicza różnica z krajami takimi jak Polska, gdzie również istniało poddaństwo chłopów, ale nie było handlu nimi.

Na dodatek władze carskie jeszcze w XVI w. wpadły na pomysł wprowadzenia na wsi instytucji będącej zapowiedzią sowieckich kołchozów. Chodzi o tzw. mir, wiejską wspólnotę ściśle kontrolującą życie mieszkańców, gdzie cała ziemia była w jej dyspozycji, a chłopom przydzielano grunty tylko czasowo. To stanowiło główną przyczynę, dla której bolszewicy w ogóle wpadli na pomysł kolektywizacji. Żaden Marks czy Engels im tego nie podpowiedział. Po prostu wrócili do starej moskiewskiej tradycji. Na ziemiach etnicznie rosyjskich opór

wobec kolektywizacji był dużo słabszy niż na sąsiednich wsiach ukraińskich. Bo ukraiński chłop, tak jak polski czy w ogóle europejski, był przywiązany do swojej ojcowizny. I z tego powodu po 1990 r. kwestia reprywatyzacji ziemi nie stanowiła w Rosji żadnego zagadnienia. Społeczeństwo nie było tym zainteresowane.

Te opowieści o życiu chłopstwa nie są tylko folklorystyczną ciekawostką. Pamiętajmy, że przytłaczająca większość mieszkańców Rosji i Ukrainy ma wiejskie korzenie (właściwie wszędzie tak jest). Chłopskie nawyki i obyczaje stanowią, rzec można w przenośni, podstawę kulturowego genotypu. Także wtedy, gdy nie jest to uświadomione. Rosjanie i Ukraińcy niby mieszczą się w jednej wschodniosłowiańskiej kategorii, ale fakt, że ci drudzy przez kilkaset lat żyli w granicach Rzeczypospolitej, zdeterminował zasadniczą różnicę. Ukraiński chłop, nawet pańszczyźniany, gospodarował indywidualnie. Rosyjski mużyk musiał żyć w „mirze", który pozbawiał go samodzielności. I efekty tego widać nawet w XX w. Pisarz Wasilij Grossman w powieści „Wszystko płynie" zamieścił relację Rosjanki, komunistycznej aktywistki, która w 1928 r. trafiła na ukraińską wieś, aby wspomóc kolektywizację rolnictwa: „Jako aktywistkę posłano mnie na Ukrainę do wsparcia powstającego kołchozu. Tam u nich – tłumaczono nam – duch własności prywatnej jest silniejszy niż w Federacji Rosyjskiej. To prawda, u nich szło to jeszcze oporniej niż u nas. Wysłali mnie niedaleko – jesteśmy przecież na granicy z Ukrainą, nie było nawet trzech godzin jazdy od nas do tego miejsca. [...] Kułaków usunięto, ale duch kułacki pozostał. Chłopom na Ukrainie w głowie tylko własność prywatna". To jest jedna z odpowiedzi na pytanie, dlaczego zruszczeni językowo mieszkańcy wschodniej Ukrainy już prawie trzeci rok krwawią w obronie swojej odrębności.

SKĄD TA INNOŚĆ?

Rosjanie są świadomi nie tylko cywilizacyjnej odmienności, lecz także tego, że sami urządzili sobie bardziej okrutną historię, niż mają ją inne narody. „Tak, nasz wielki naród był hodowany jak zwierzę, doznawał męczarni od początku swego istnienia, przez cały ten tysiąc lat, takich, jakich żaden naród w świecie by nie zniósł, a nasz jeszcze tylko okrzepł i zespolił się wśród tych męczarni" – odnotował w swoich zapiskach zadowolony w sumie z tego Fiodor Dostojewski. Ale zdarzają się też głosy krytyczne. „Mimo różnic między stanami, pokoleniami, płciami i regionami Rosjanie są wspólnotą potomków bitych knutem i batogiem. Rosjanie są dziećmi tortur" – pisze współczesny pisarz Wiktor Jerofiejew.

> W tym systemie przemoc stała się główną metodą regulowania konfliktów politycznych i społecznych, od poziomu politycznego po życie codzienne

XIX-wieczny poeta Fiodor Tiutczew, skądinąd człowiek carskich elit i dyplomata dobrze znający Europę, choć jednocześnie jej nienawidzący, stworzył znany czterowiersz, który miał wytłumaczyć pogmatwaną historię Rosji:

„Rozumem Rosji nie da się pojąć
Arszynem nie zmierzysz:
U niej szczególna natura –
W Rosję można tylko wierzyć"

Wierszyk jest bardzo chętnie powtarzany niemal jak prawda objawiona. Ale trzeba jasno stwierdzić: słowa carskiego poety to bzdura (zresztą w innym wierszu Tiutczew nazwał Rosję „ojczyzną wiecznego cierpienia"). Słynny francuski znawca Rosji Alain Besançon skomentował to krótko: „Dla historyka Rosja nie stanowi większej zagadki niż Francja".

Dlaczego zatem jest inna? Istnieje bardzo popularne twierdzenie, że to wynik mongolskich najazdów i tatarskiej niewoli, przez co Rosja ma być częścią cywilizacji turańskiej. Inny słynny Francuz, XIX-wieczny podróżnik markiz de Custine, powiedział, że wystarczy nieco poskrobać Rosjanina i wyjdzie z niego Tatar. Figura sugestywna, ale nieprawdziwa. Owszem najazdy i niewola zniszczyły starą Ruś i zdemoralizowały jej elity, ucząc je służalczości, intryg i okrucieństwa wobec własnych poddanych. Ale przecież duża część Rusi też została najechana i podlegała władzy Tatarów, lecz potem przeszła pod władanie Litwy i Rzeczypospolitej. Rusini z tych ziem, przodkowie dzisiejszych Ukraińców i Białorusinów, nie nabyli tych cech. Co więcej, prawdziwi przedstawiciele cywilizacji turańskiej – Tatarzy krymscy i kazańscy – nie posiadali i nie posiadają negatywnych cech Rosjan. Nie ma porównania między życiem w dawnej Rosji a chanatach tatarskich. W tych drugich ludzie byli wolni, mieli własność, a chanowie musieli się liczyć ze swoimi poddanymi.

SŁABYCH SIĘ BIJE

To nie Tatarzy, ale samowola władców Moskwy stworzyła Rosję i jej narodowy charakter. Historycy wskazują kilku rządzących, od których to się zaczęło, ale najczęściej mówi się o Iwanie III zwanym Srogim. To żyjący w końcu XV w. dziadek Iwana Groźnego, dziś mniej od niego znany, ale tak samo okrutny. To on stworzył państwo, w którym wszyscy byli niewolnikami władcy. *De facto* nie istniała własność prywatna, bo „gosudar" tylko czasowo nadawał ją swym sługom i bez żadnego trybu później odbierał. Iwan zniszczył kupiecką republikę Nowogrodu Wielkiego, gdzie kiełkował jedyny w dziejach Rosji autentyczny miejski samorząd. Zamknął granice państwa, tak że aż do czasów Piotra I prawie żaden Rosjanin nie wyjeżdżał do innych krajów, a i cudzoziemcy byli ekstremalnie rzadkim widokiem. Rozpoczął proces całkowitego uzależnienia Cerkwi od władzy, niszczenia wszystkich przejawów jej niezależności i spychania jej do roli jednego z pionów administracji państwowej. Przy okazji mocno skorumpowanej, zdemoralizowanej i ciemnej. „W Rosji metodycznie trzebiono

wszystkich najlepszych. Wytrzebiono najlepszą arystokrację, najlepszych popów i mnichów, najlepszych przedsiębiorców, najlepszych mieńszewików i bolszewików, najlepszą inteligencję, najlepszych wojskowych i chłopów. Pozostali najgorsi. Najpokorniejsi, najtchórzliwsi, sami nijacy" – pisał Jerofiejew.

Jak napisał rosyjski historyk Wasilij Kluczewski, dziełem Iwana III jest stale odtwarzający się system, w którym każdorazowa poprawa dobrobytu ogółu ludności automatycznie wiązała się z osłabieniem państwa, a wzmocnienie jego struktur natychmiast prowadziło do ubożenia mieszkańców Rosji. W tym systemie przemoc stała się główną metodą regulowania konfliktów politycznych i społecznych w kraju. Od poziomu politycznego, gdzie zmiana władzy następuje w wyniku krwawych rewolucji, przewrotów i skrytobójstw, po życie codzienne, które było i jest brutalne w skali niepojętej dla mieszkańców krajów takich jak Polska. Powszechne okrucieństwo wobec dzieci i kobiet to częsty motyw literatury rosyjskiej, coś, czego nie ma w literaturach innych krajów. O stałym znęcaniu się nad słabszymi pisali Dostojewski, noblista Iwan Bunin, Maksym Gorki (który w dzieciństwie i młodości sam był ofiarą takich okrucieństw). To zostało do dzisiaj. Dmitrij Gubin, rosyjska gwiazda telewizyjna, obecnie na emigracji na Zachodzie, stwierdził: „Rosja to nie Europa. [...] Nasza kultura to »słabych się bije«. Zachodnia kultura to »słabych biją tylko łajdacy«". Z powodu obawy przed agresją relacje w Rosji są nacechowane daleko posuniętą nieufnością, obcesowością, która z zewnątrz jest odbierana jako nieuprzejmość, a nawet chamstwo.

Skoro ludzie sami się tak traktują, uważają, że tym bardziej władza ma prawo do brutalności. A nawet obowiązek. Antropolog Władimir Boczarow pisał, że władza w Rosji ma obowiązek być surowa wobec swych poddanych. „Władza nie tylko może, ale musi odwoływać się w tej tradycji do przemocy, jeśli ma utrzymywać swój autorytet". A gdy jest uznana za słabą, to kończy tak jak dynastia Romanowów w 1917 r. Łatwiej zrozumieć postępowanie obecnego władcy Rosji, gdy zna się prawidła jej dziejów. A Putin z pewnością je zna.

Rosjanie, którzy sami łatwiej znoszą cierpienie, mają większą łatwość w zadawaniu bólu innym ludziom. Ta łatwość w popełnianiu okrucieństw łączy się też z rosyjskim maksymalizmem – albo wszystko, albo nic. Niewiary, że można być dobrym choćby częściowo. A skoro nie da się być maksymalnie dobrym, można być okrutnym – „Nie sogrieszysz, nie pokajoszsia. Nie pokajoszsia, nie spassioszsia" („Jeśli nie zgrzeszysz, to się nie pokajasz. A jeśli się nie pokajasz, to nie zostaniesz zbawiony"). Cerkiew moskiewska przez wieki ich nauczała, że świat doczesny jest całkowicie grzeszny i zupełnie niedoskonały, nie ma zatem sensu go naprawiać, bo szczęście jest możliwe tylko po śmierci. W tym kontekście należy też patrzeć na rosyjskie uwielbienie dla tyranów. Iwan Groźny, Piotr I, Lenin i Stalin – to postaci z rankingów najbardziej szanowanych postaci historycznych.

> Rosjanie, którzy sami łatwiej znoszą cierpienie, mają większą łatwość w zadawaniu bólu innym ludziom. Ta łatwość w popełnianiu okrucieństw łączy się też z rosyjskim maksymalizmem – wszystko albo nic

IMPERIALNA ŻARŁOCZNOŚĆ

Rosjanie wychodzą z założenia, że skoro im żyje się ciężko, to inne narody nie powinny mieć lepiej niż oni. Zwłaszcza że wszystkie rosyjskie próby modernizacji i dogonienia Zachodu spełzły na niczym. Dlatego autentyczną obsesją Rosjan od elit po margines społeczny jest „rozszerzanie granic". Wybaczą swoim władcom wszystko, największe poniesione ofiary, z wyjątkiem utraty terytoriów.

„Siedem mórz wewnętrznych i siedem wielkich rzek,
Od Nilu do Newy, od Łaby do Chin,
Od Wołgi po Eufrat, od Gangesu do Dunaju [...],
To jest carstwo rosyjskie [...] i nigdy nie przeminie".

To słowa Tiutczewa z bardzo popularnego wiersza o nieprzypadkowym tytule „Rosyjska geografia". I dzisiaj poważni politycy i profesorowie potrafią publicznie mówić, że Alaska jeszcze wróci do „macierzy". Upadek Nikity Chruszczowa był spowodowany tym, że ustąpił Amerykanom w czasie kryzysu kubańskiego. Ale wcześniej popełnił inny „straszny" błąd – oddał Chinom miasto Port Artur, zdobyte na Japończykach w 1945 r. „Rosyjscy żołnierze poszli na wojnę z Japonią, aby odzyskać ziemie stracone przez carską Rosję podczas wojny rosyjsko-japońskiej. A teraz je znowu oddajemy" – krytykował go sowiecki marszałek Klimient Woroszyłow. A pamiętajmy, że Chruszczow oddał to czysto chińskie miasto „bratnim" komunistycznym Chinom. Nie zdziwmy się zatem kiedyś, gdy tamtejsza propaganda „przypomni sobie", że Warszawa przez 100 lat także była „rosyjskim" miastem. W Rosji trafi to na podatny grunt.

„Co nie rośnie, to gnije" – mawiał kanclerz Biezborodko, bliski współpracownik carycy Katarzyny, tak tłumacząc imperialną żarłoczność swojego kraju. A wysłannik władczyni w Warszawie Nikołaj Repnin zasłynął z innego bon motu: „Z kim sąsiaduje Rosja? Z kim chce. A z kim chce? Z nikim!".

Także dzisiejszym Rosjanom podoba się ten sposób myślenia. Bo taka ich mentalność. „Matuszka Rossija nie bieriot nasilno, a wsio dobrowolno, nastupaja na gorło" – mają powiedzenie, które znaczy, że „mateczka Rosja nie bierze siłą, ale wszystko dobrowolnie, depcząc po gardle". Jest w nim sarkazm, ale jeszcze więcej pogardy dla wszystkich ofiar wielowiekowej rosyjskiej imperialnej bulimii.

Wyścig na Księżyc

W księżycowym wyścigu wygrywa dzisiaj Elon Musk. Ale depczą mu po piętach Chińczycy, Rosjanie, a także wieczny rywal Jeff Bezos. Stawką są nie tylko wielki prestiż i pieniądze, lecz także bezpieczeństwo nas wszystkich

KONRAD KOŁODZIEJSKI

Na początku listopada amerykańska agencja kosmiczna NASA wyznaczyła rejon na Księżycu, w którym wyląduje pierwsza od ponad półwiecza misja załogowa. Na obszarze położonym w pobliżu księżycowego bieguna południowego wskazano dziewięć potencjalnych lokalizacji do lądowania.

Jeśli wszystko przebiegnie zgodnie z planem, być może właśnie tam już za niecałe trzy lata przybędą uczestnicy misji Artemis III, aby przeprowadzić badania i przygotować miejsce do budowy stałej bazy księżycowej. Ambicje Amerykanów są jednak znacznie większe, bo kolejnym etapem podboju kosmosu ma być załogowa misja na Marsa. To jednak bardziej odległa przyszłość.

AMBITNE PLANY

Plany powrotu ludzi na Księżyc wyraźnie przyspieszyły w ciągu ostatnich kilku lat. W lipcu 2019 r. Donald Trump ogłosił, że w trakcie jego drugiej kadencji amerykańscy astronauci ponownie wylądują na Srebrnym Globie. I choć nie mógł wówczas przewidzieć, że ta druga kadencja odsunie się o cztery lata, teraz ma szansę zrealizować swój plan.

Loty na Księżyc odbędą się w ramach nowego programu Artemis. Imię greckiej bogini wybrano nieprzypadkowo, była ona siostrą bliźniaczką Apollina, a to właśnie on patronował pierwszemu amerykańskiemu programowi księżycowemu. W ramach programu Artemis ma powstać stała baza księżycowa o nazwie Gateway, której załoga, złożona głównie z naukowców, ma dokonać badań Księżyca oraz opracować technologie eksploatacji jego bogactw niezbędnych podczas późniejszej misji na Marsa. Chodzi przede wszystkim o pozyskiwanie wody oraz metali koniecznych do długiego funkcjonowania misji załogowych na Księżycu i innych planetach.

W pierwszej połowie 2026 r. do swojego historycznego lotu ma wystartować misja Artemis II. Załoga będzie się składać z trójki Amerykanów (w tym jednej kobiety) oraz Kanadyjczyka. Podczas 10-dniowej podróży, w trakcie której astronauci okrążą Księżyc, zostaną przetestowane systemy podtrzymywania życia oraz działanie statku kosmicznego Orion. To druga wyprawa w ramach programu Artemis. Orion okrążył już Księżyc dwa lata temu, jednak na jego pokładzie znajdowały się wyłącznie dwa manekiny. Teraz przyszedł czas na astronautów.

Kluczowym etapem ma być misja Artemis III, której celem jest lądowanie na powierzchni Księżyca, co przewidziano na połowę 2027 r. W dalszej kolejności w ramach misji Artemis IV, wstępnie zaplanowanej na 2028 r., zostaną przetransportowane na Księżyc elementy mającej tam powstać bazy załogowej Gateway.

W 2021 r. kontrakt na realizację tych zadań zdobył Elon Musk. Należąca do niego firma SpaceX od wielu miesięcy

przeprowadza intensywne próby ciężkich rakiet z rodziny Starship, które posłużą do wyniesienia w kosmos obu misji Artemis. Symulowano m.in. tankowanie w przestrzeni kosmicznej, a w październiku przetestowano bardzo widowiskowe przechwytywanie rakiety powracającej na Ziemię, tak aby można jej było użyć jeszcze raz. Powstaje również lądownik księżycowy Starship HLS.

KOSMICZNE ELDORADO

Trudno nie dostrzec, że kosmiczny wyścig jest napędzany rywalizacją na Ziemi: im bardziej rośnie napięcie w relacjach międzynarodowych, tym silniejsza jest presja na pokonanie przeciwnika również w przestrzeni kosmicznej. Przy czym nie jest to zwykła powtórka z czasów zimnej wojny, gdy Stany Zjednoczone i Związek Radziecki prężyły muskuły na orbicie. Chodzi nie tylko o aspekt polityczny i militarny, lecz także o gospodarczy. Liczy się bowiem to, kto pierwszy dostanie się do złóż rzadkich metali, które naukowcy spodziewają się znaleźć na Księżycu.

Właśnie dlatego amerykańscy astronauci mają wylądować w okolicy księżycowego bieguna południowego. Znajduje się tam lód, z którego można pozyskać tlen i wodór. Oba pierwiastki są niezbędne do zasilania systemów podtrzymywania życia oraz produkcji paliwa, a bez tego nie ma mowy o budowie stałej bazy załogowej. W okolicy znajdują się prawdopodobnie także inne surowce i właśnie ich poszukiwania – oprócz innych badań naukowych – mają być celem misji księżycowych.

W 2020 r. wyścig do księżycowego eldorado wywołał zgrzyty między Amerykanami i Rosjanami. Prezydent Trump podpisał wtedy rozporządzenie, które daje Amerykanom prawo do prowadzenia komercyjnej eksploatacji kosmosu, a także wydobywania i wykorzystywania znajdujących się w nim zasobów. „Przestrzeń kosmiczna, zarówno w sensie prawnym, jak i w fizycznym, jest wyjątkową przestrzenią dla działalności człowieka, a Stany Zjednoczone nie uważają jej za domenę publiczną" – głosi dokument. Donald Trump dobrze wiedział, że Ameryce trudno będzie wygrać kosmiczny wyścig bez wsparcia finansowego ze strony biznesu. A ten nie będzie przecież podbijał kosmosu za darmo i chce mieć udział w zyskach.

Amerykanie skorzystali z furtki, jaką dają niejasne przepisy traktatu o przestrzeni kosmicznej z 1967 r., który wprawdzie zabrania państwom ustanawiania swojej suwerenności nad jakąkolwiek częścią Księżyca i zakazuje im rozmieszczania tam broni masowego rażenia, ale nie reguluje precyzyjnie kwestii wykorzystania występujących tam surowców, zaznaczając tylko, że eksploracja kosmosu powinna służyć dobru wszystkich państw. Amerykanie nie podpisali też tzw. porozumienia księżycowego z 1979 r., mającego wprowadzić zasady eksploatacji Księżyca.

Moskwa nazwała rozporządzenie Trumpa „agresywnym planem przejęcia terytoriów innych planet". „Były już przykłady w historii, gdy jeden kraj postanowił zająć terytoria w swoich interesach i wszyscy pamiętają, co z tego wynikło" – ostrzegł Siergiej Sawieljew, zastępca dyrektora generalnego Roskosmosu ds. Współpracy Międzynarodowej. A rzecznik Kremla Dmitrij Pieskow dodał, że podjęte przez Amerykanów „próby prywatyzacji kosmosu są niedopuszczalne".

Rosjanie mają powody do frustracji. Do niedawna ich pozycja wydawała się niezagrożona. Choć dysponowali technologią kosmiczną sprzed półwiecza, działała ona bez większych problemów. Ich czujność została także uśpiona przez amerykańską przerwę w lotach załogowych, która nie mobilizowała do nowych inwestycji. Zresztą te, które podjęto, ugrzęzły z powodu korupcji i problemów technicznych. Planowano budowę nowej stacji kosmicznej oraz statku załogowego Federacja, który mógłby dotrzeć na orbitę Księżyca. Jednak byłoby to możliwe tylko pod warunkiem, że Rosjanie opracują ciężką rakietę o kryptonimie Jenisej. Po wybuchu wojny na Ukrainie i nałożeniu na Moskwę sankcji jest to bardzo mało prawdopodobne.

> W kosmicznym wyścigu liczą się nie tylko aspekty polityczny i militarny, lecz także to, kto pierwszy dostanie się do złóż rzadkich metali, które naukowcy spodziewają się znaleźć na Księżycu

GŁÓWNY RYWAL

Nie oznacza to jednak, że Amerykanie będą na Księżycu sami. Z dokładnie tych samych powodów, co oni, bazę chcą zbudować Chińczycy, którzy w 2021 r. połączyli siły z Rosjanami w ramach inicjatywy pod nazwą Międzynarodowa Stacja Badań Księżycowych (znana pod angielskim skrótem ILRS). Do programu udało się wciągnąć kilka innych państw m.in. Kazachstan, Egipt, Tajlandię i RPA, a ostatnio dołączyły do niego Serbia i Węgry. Celem ILRS jest ustanowienie stałej, wspólnej bazy na Księżycu, a koordynacją projektu mają się zająć Chińczycy. Do programu nie przystąpiły Indie, które mają własne ambicje kosmiczne i do 2040 r. zamierzają zbudować stację na orbicie Księżyca.

Główną rolą Rosjan miało być wsparcie naukowe, techniczne i finansowe. Jednak po spektakularnej porażce, jaką była katastrofa sondy kosmicznej Łuna-25, która w sierpniu 2023 r. rozbiła się o powierzchnię Księżyca, pozycja Moskwy w kosmicznym wyścigu wyraźnie spadła. Wysłana na Księżyc sonda była pierwszą taką misją przeprowadzoną przez Rosję od 1976 r. i jej sukces, jak napisał portal Politico, miał być sygnałem dla Chin, że Moskwa „wciąż ma coś do zaoferowania, jeśli chodzi o najnowocześniejszą technologię". Skończyło się jednak prestiżową klapą, co oznacza, że pałeczkę w zmaganiach z Amerykanami ostatecznie przejęli dziś Chińczycy.

Według Organizacji Współpracy Gospodarczej i Rozwoju wydatki Chin na loty kosmiczne ustępują dziś wyłącznie amerykańskim. Kosmiczne ambicje Pekinu liczą już sobie

Fot. Shutterstock

ponad pół wieku i sięgają wiosny 1970 r., gdy rakieta Długi Marsz 1 umieściła na orbicie pierwszego chińskiego satelitę. Od 2003 r. Chiny regularnie wysyłają w kosmos misje załogowe, a w 2022 r. ukończyli na orbicie montaż pełnowymiarowej stacji orbitalnej Tiangong, która od tej pory może przyjmować na pokład stałe załogi. W przyszłości stacja ma być ważnym przystankiem w drodze na Księżyc.

Chiny, które bardzo intensywnie rozwijają swój program kosmiczny, zamierzają pojawić się na Księżycu ok. 2030 r. i w ciągu następnych pięciu lat zbudować tam z Rosjanami stałą bazę. 30 listopada z kosmodromu Wenchang na wyspie Hajnan została wystrzelona na orbitę najnowsza chińska rakieta Długi Marsz 12, która wprawdzie nie doleci do Księżyca, ale przetestowano na niej silniki nowej generacji. W przyszłości posłużą one do napędu rakiety księżycowej Długi Marsz 10, która nie tylko będzie miała większy zasięg, lecz także – podobnie jak w przypadku swoich amerykańskich odpowiedników – będzie rakietą wielokrotnego użytku.

Na razie Chińczycy wysyłają na Księżyc sondy. W grudniu 2018 r. odnieśli prestiżowy sukces, gdy sonda Chang'e 4 po raz pierwszy w dziejach wypraw kosmicznych wylądowała po ciemnej stronie Księżyca. Zdaniem Amerykanów jej głównym zadaniem było zbadanie gruntu księżycowego pod kątem możliwej eksploatacji surowców. Dwa lata później na Księżyc dotarła sonda Chang'e 5, która zebrała i dostarczyła na Ziemię próbki gruntu oraz pozostawiła na jego powierzchni chińską flagę.

Chińczycy myślą również o Marsie. W 2020 r. wystrzelili statek kosmiczny Tianwen-1, który w maju następnego roku umieścił na powierzchni planety łazika badającego grunt oraz marsjańską atmosferę. Kryptonim Tianwen (co po chińsku oznacza: „Pytanie do niebios") mają otrzymywać wszystkie chińskie misje międzyplanetarne. Liczba 1 wskazuje, że to dopiero początek ekspansji, a kolejna misja, której celem jest badanie komet i asteroidów, zaplanowana jest w 2025 r.

Chiny, które bardzo intensywnie rozwijają swój program kosmiczny, zamierzają pojawić się na Księżycu ok. 2030 r. i w ciągu następnych pięciu lat zbudować tam z Rosjanami stałą bazę

TYLKO WOJNA W GŁOWIE

Odsunięcie Rosji na dalszy plan w księżycowym wyścigu nie oznacza jednak, że Moskwa całkiem się poddała. Rozgrzana wojną na Ukrainie zamierza przenieść swoją aktywność militarną w przestrzeń kosmiczną.

To, że Rosjanie od dawna pracują nad bronią antysatelitarną, nie jest tajemnicą. Jeszcze w czasach radzieckich prężono muskuły mimo traktatów o pokojowym wykorzystaniu przestrzeni kosmicznej: w 1974 r. radziecka stacja orbitalna Salut 3 przeznaczona do szpiegowania instalacji wojskowych NATO była na wszelki wypadek uzbrojona w działko. Rozważano nawet użycie specjalnych satelitów uzbrojonych w głowicę jądrową, które eksplodowałyby w pobliżu wrogich obiektów.

Szacuje się, że w ostatnich latach Rosjanie wydali na rozwój broni kosmicznej ponad 5 mld dol. Do niedawna testowali głównie rakiety antysatelitarne odpalane z Ziemi oraz z samolotów, a w 2020 r. zrobili krok do przodu i przeprowadzili na orbicie udany test pocisku wystrzeliwanego z satelity. Dzięki temu mogą zyskać zdolności do niszczenia obcych satelitów zwiadowczych, telekomunikacyjnych oraz tych, które tworzą system pozycjonowania GPS wykorzystywany – o czym warto przypomnieć – przez nowoczesne

33/1124/F

systemy precyzyjnego uzbrojenia. Bez nich w obliczu konfliktu państwa Zachodu stałyby się ślepe i bezbronne. Według informacji amerykańskiego wywiadu Rosjanie przygotowują się także do umieszczenia w kosmosie jądrowej broni antysatelitarnej.

Własne projekty militarne mają również Chińczycy, którzy pracują nad konstrukcją działa elektromagnetycznego, uzbrojenia mikrofalowego dużej mocy oraz laserów zdolnych do niszczenia satelitów na najniższych orbitach. Celom militarnym – oślepianiu i niszczeniu obcych obiektów kosmicznych – ma służyć również wspomniana stacja orbitalna Tiangong.

Amerykanie mają świadomość tych zagrożeń i od kilku lat pracują nad własnymi systemami militarnymi. Wzmocnieniu zdolności obronnych ma także służyć inicjatywa amerykańskiego dowództwa sił kosmicznych o nazwie „Operation Olympic Defender", do której przyłączyły się m.in. Wielka Brytania, Australia, Niemcy, Francja oraz Kanada.

BEZOS KONTRA MUSK

Zaostrzająca się rywalizacja w kosmosie ma jednak nie tylko międzynarodowy wymiar. Zmagania trwają także w samej Ameryce, gdzie walkę o kontrakty z NASA i spodziewane zyski z przyszłej eksploracji Księżyca toczą między sobą Elon Musk oraz Jeff Bezos.

Założyciel firmy Amazon jest właścicielem przedsiębiorstwa kosmicznego Blue Origin, która podobnie jak SpaceX Elona Muska buduje nowoczesne rakiety wielokrotnego użytku. Najpierw opracowano i wysłano w kosmos mniejszą rakietę New Shepard, a teraz zbudowano i niedawno umieszczono w wyrzutni znacznie cięższą New Glenn, która pozwala na dotarcie do Księżyca. Jej pierwszy start zaplanowano na najbliższe miesiące. Firma Bezosa zaprojektowała również lądownik księżycowy Blue Moon, można zatem przypuszczać, że jest gotowa do rywalizacji z Muskiem.

Fot. Shutterstock

Problem w tym, że Musk był szybszy od Bezosa, i to nie tylko w wyścigu technologicznym. Właściciel SpaceX w porę zaprzyjaźnił się z Donaldem Trumpem, który wkrótce powróci do Białego Domu. Bezos próbował ratować sytuację, zakazując należącej do niego gazecie „The Washington Post" aktywnego uczestnictwa w propagandzie wyborczej przeciwko Trumpowi, jednak to Musk wykazał się lepszym refleksem politycznym.

„Wszyscy w branży kosmicznej martwią się teraz o wpływy Elona. Wszyscy" – cytuje byłego pracownika NASA portal Politico. Branża ma być szczególnie zaniepokojona tym, że Musk może skłonić Trumpa do mianowania swojej podwładnej Kathryn Lueders na stanowisko szefowej NASA. Gdyby do tego doszło, Musk zyskałby kontrolę nad amerykańskim programem kosmicznym.

W 2021 r. Bezos przegrał z Muskiem pierwszą batalię o udział w programie Artemis. Ostatecznie jednak udało mu się otrzymać kontrakt na misję Artemis V, którą zaplanowano na 2030 r. Dzięki temu mógł kontynuować prace nad rakietą New Glenn i lądownikiem księżycowym. Jednak założyciel Amazona nadal próbuje rzucać Muskowi kłody pod nogi. Gdy SpaceX ubiegało się o zgodę na wystrzelenie rakiety Starship z przylądka Canaveral na Florydzie, Blue Origin starało się to zablokować, tłumacząc, że starty rakiet Muska mogą mieć zły wpływ na środowisko oraz bezpieczeństwo okolicznych obiektów. Bezos buntuje również inne firmy z branży kosmicznej, rysując przed nimi ponurą wizję monopolu Muska.

W wyścigu na Księżyc na razie wygrywa Musk. I choć konkurencja z Bezosem pcha dziś amerykański program kosmiczny do przodu, to po przekroczeniu pewnej granicy może stać się destrukcyjna. Bo przecież nie chodzi tu tylko o wielkie ambicje, pieniądze i prestiż. To również element geopolitycznej gry, w której przyjdzie się zmagać z Chinami i Rosją. Przekonamy się, czy obaj miliarderzy zdołają udźwignąć taką odpowiedzialność.

REKLAMA

eprasa.pl 6db4984789

Uśmiechnięty liberał walczący

DARIUSZ MATUSZAK

Jednym z największych mitów współczesnej polityki jest pogląd, jakoby dzisiejsi liberałowie byli liberalni. Nic bardziej mylnego

Samo pojęcie liberalizmu dawno oderwało się od swego pierwotnego znaczenia i nie ma nic wspólnego z wolnością, zapewnianiem swobód i praw ludziom, oddaniem obywatelom wielkich przestrzeni życia publicznego. Doskonale widać to w Kanadzie, kraju uśmiechniętej tyranii, czy coraz wyraźniej w Polsce z jej demokracją walczącą, która siłowo przejmuje instytucje państwa, nasyła służby na obywateli za niepochlebne opinie o władzy jak w czasie powodzi w Kotlinie Kłodzkiej i odrzuca osiągnięcia dotychczasowej kultury oraz cywilizacji, by na ich miejsce zaprowadzić reżim tzw. liberalnej demokracji. Tym jest w istocie np. projekt inżynierii kulturowej, który w Polsce wbrew woli milionów rodziców przeprowadza funkcjonariuszka od edukacji narodowej Barbara Nowacka. Z jej szkoły ma wyjść tępak, który myśli, że wolność polega na tym, że można sobie zrobić dziary, kopulować z kim popadnie, byle jak, byle gdzie, zabić nienarodzone dziecko i wejść do knajpy z psem.

Przytoczymy pewne przykłady, by pokazać, że projekty liberalnej demokracji, a właściwie przepoczwarzonego socjalizmu/komunizmu, są w swej istocie antyludzkie, antyhumanitarne, co ma konsekwencje w postawie wyznawców uśmiechniętej demokracji walczącej. Np. trzeba unicestwić w sobie instynkt macierzyński, instynkt rozmnażania, zachowania gatunku, który mamy nawet na poziomie zwierzęcym, by zaprowadzać zabijanie nienarodzonych dzieci. By z tragicznych wyborów, oddaniu się słabości, zrobić usankcjonowaną przez państwo zimną procedurę zabijania, trzeba wejść na szczególny poziom wyzucia się z ludzkich uczuć czy nawet zwierzęcych odruchów, popaść w szczególny rodzaj fanatyzmu. Inaczej mówiąc, nie można być liberalnym i mieć tolerancję, by zaprowadzać antyludzkie porządki i niszczyć te, które przyniosły tysiące lat cywilizacji i doświadczenia setek pokoleń. Trzeba mieć specjalny rodzaj umysłowości, by uznawać, że ośmioletnia dziewczynka ma w szkole pomiędzy polskim a matematyką w gronie 20 innych dzieci dowiadywać się od jakiejś seksinstruktorki czy typa pokroju posła Józefaciuka o masturbacji. Musisz odrzucić racjonalność i moralność, odrzeć się z poczucia dyskrecji, intymności, by propagować i zaprowadzać stan, w którym facet, niby w ramach manifestowania swej tożsamości, a w istocie patologii LGBT+, udaje, że jest kobietą, włazi im do szatni i pod natryski, samą swą obecnością niszcząc poczucie intymności czy bezpieczeństwa tych, którzy są przymuszeni do znoszenia jego zachowań. Trzeba nie mieć instynktu rodzicielskiego, zdolności do głębokiego oddania i szanowania, by tolerować coś takiego w stosunku do własnej córki, żony czy mamy.

Takie projekty albo patologie np. zmiany płci, napotykają na naturalny opór i można je pokonywać tylko siłą, zastraszaniem, odwoływaniem się do niskich pobudek, np. chęci zysku. W istocie owi uśmiechnięci liberalni demokraci muszą być mniej tolerancyjni, bardziej agresywni, sfanatyzowani, nienawidzący odmienności, nieczuli na moralność i racje rozumu, niż ludzie, którzy konserwatywnie przyjmują sprawdzone i utrwalone porządki.

Tyranię oświeconego umysłu doskonale pojmował już Fiodor Dostojewski, który w dzienniku „Wriemia" (Czas) pisał: „Dajcie wszystkim tym wzniosłym współczesnym nauczycielom realną szansę na zniszczenie starego społeczeństwa i zbudowanie go na nowo, a rezultatem będzie taka ciemność, taki chaos, coś tak prymitywnego, ślepego i nieludzkiego, że cała budowla rozpadnie się pod klątwą całej ludzkości".

OŚWIECONY LIBERAŁ KONTRA SZYMPANS

Tezę o bardziej „przemocowych" postawach liberałów potwierdzają badania socjologiczne i psychologiczne na całym świecie. W Polsce głośno było o tych, które w 2023 r., jeszcze przed wyborami, przeprowadzili Sławomir Sierakowski i prof. Przemysław Sadura. Panowie badali elektoraty i wyszło im, że ten od PO karmi się głównie negatywnymi emocjami. Sierakowski i Sadura wymieniali: gniew, zdenerwowanie, przygnębienie i zniechęcenie. Po części to zrozumiałe, wszak rządził wtedy wróg – PiS, ale pokazuje też znaną prawdę, iż polityka ma większy wpływ na życie, stany emocjonalne i psychiczne lewicy i liberałów niż częściej zajętych swymi sprawami konserwatystów.

Najbardziej uderzającą konkluzją z badań Pauliny Górskiej z 2019 r. „Polaryzacja polityczna w Polsce. Jak bardzo jesteśmy podzieleni" była ta, iż zwolennicy PO dużo bardziej nienawidzą zwolenników PiS i mają większe skłonności do odhumanizowana ich niż zachodzi to w drugą stronę. Ankietowanym dano do rozważenia następującą kwestię: „Czasem ludzie wydają się innym bardziej bądź mniej ludzcy. Niektórzy wydają się bardzo rozwinięci, inni zaś zdają się znajdować na wcześniejszym etapie ewolucji. Posługując się zamieszczonym obrazkiem, proszę określić, na jakim stadium ewolucji umieścilibyście zwolenników partii opozycyjnych i rządzącej". Na obrazku było pięć sylwetek – od szympansa przez *Homo erectus* po *Homo sapiens*. Zwolennicy PO zostali wskazani jako pitekantropy – prymitywni, ale jednak ludzie, a sympatycy PiS między szympansem a nieco wyprostowaną małpą. Nadzorujący ową pracę szef Centrum Badań nad Uprzedzeniami prof. Michał Bilewicz tłumaczył, że zwolennicy PO i ówczesnej opozycji tak postrzegają sympatyków PiS, bo są przygnębieni tym, że nie rządzą i w związku z tym czują się dyskryminowani. Sformułował też wniosek godny liberalnego psychopaty: „Coś jest nie tak z nami, z ludźmi identyfikującymi się z opozycją demokratyczną, że nienawiść, zamiast być skierowana przeciw rządzącym, obraca się przeciw współobywatelom". Inaczej mówiąc, wedle tolerancyjnego i oświeconego Bilewicza, jeśli to nie są „nasi", w demokratycznym państwie nienawiść jest całkiem naturalną emocją wobec tych, którzy wygrali wybory i w związku z tym sprawują władzę.

Nie będziemy więcej omawiać badań z Polski, by stan wojny miedzy PO a PiS nie zaciemniał nam obrazu, tylko pokażemy, jak bardzo oświecony, tolerancyjny i otwarty jest liberalizm w szerokim świecie.

FRUSTRACJA KOBIET

Złe nastroje u lewicy i liberałów potwierdzają badania przeprowadzone w 2022 r. w Stanach Zjednoczonych przez YouGov i Desert News. Wynika z nich, że wśród tzw. liberałów jest średnio aż o 18 pp. mniej osób zadowolonych ze swego życia niż wśród konserwatystów. A przecież nie rządził wtedy znienawidzony Donald Trump, tylko Joe Biden. Swym życiem i zdrowiem psychicznym całkowicie usatysfakcjonowanych było 36 proc. konserwatywnych kobiet i mężczyzn, zaś wśród osób o liberalnych poglądach odpowiednio 21 proc. i ledwie 15 proc.

„Wyzwolone" panie są nieszczęśliwe. Badania wskazują, że na tę nieszczęsną dolę duży wpływ ma stan cywilny – brak zamążpójścia i brak satysfakcji z życia rodzinnego. Potwierdzają one intuicyjną obserwację, że stare panny feministki są nieszczęśliwe. I nie zmienią tego żadne zaklęcia mediów o samorealizacji i satysfakcji z kursów salsy oraz garncarstwa ani celebracja życia w pojedynkę. Wśród wielu czynników wpływających na ocenę własnego stanu i życia największe różnice wśród kobiet dotyczą relacji rodzinnych. Zadowolonych jest z nich 61 proc. konserwatystek i tylko 36 proc. kobiet o poglądach liberalnych. Emocje, nastroje przenosimy na otoczenie, stąd u liberałów czy wielce postępowej lewicy widoczna jest większa agresja, zapiekłość.

Mogłoby się wydawać, że zgodnie z deklarowanymi poglądami, to właśnie lewica ma większą skłonność dzielenia się z bliźnimi dobrami doczesnymi. Nic z tych rzeczy. Badania prowadzone w Niemczech, Holandii, USA, a także przez 15 lat na różnych rocznikach w Finlandii nijak nie potwierdzają takiego mniemania. Wymieniamy różne kraje, by pokazać, że opisujemy zjawiska o charterze globalnym, a nie lokalne, właściwe tylko pewnym nacjom i grupom. Z różnych gier i symulacji psychologicznych niby wynika, że osoby o lewicowych poglądach mają większą skłonność do altruistycznych zachowań, dzielenia się z potrzebującymi. Problem polega na tym, że ta hojność jest tylko deklaratywna i gdy przychodzi do praktycznych działań, tzw. liberałowie i lewica (na Zachodzie, zwłaszcza w USA, powszechne jest utożsamianie liberalizmu z lewicą) owszem chętnie podzielą się i rozdadzą, tyle że cudze, a nie własne. Kiedy rzeczywiście przychodzi do wspierania potrzebujących własnymi pieniędzmi czy darami, nie ma różnicy między konserwatystami a lewicą. Było to bardzo widoczne w badaniach Duńczyków opublikowanych przez „Sage Journals". Jedna jest tylko charakterystyczna różnica. Otóż lewica i liberałowie chętniej wspierają organizacje charytatywne o dużym, globalnym zasięgu, konserwatyści zaś te bliskie, lokalne.

TOLERANCYJNA NIENAWIŚĆ

Badania pokazujące, jak światopogląd, identyfikacja z określoną polityką wpływają na uprzedzenia wobec różnych grup, prowadzi m.in. amerykański psycholog Mark Brandt. Jak deklaruje, od lat próbuje znaleźć odpowiedź na pytanie, czy liberałowie są mniej uprzedzeni, bardziej otwarci na świat niż prawicowcy. W wywiadzie dla „Politico" mówi, że zawsze odnajduje sprzeczność. Ci, którzy deklarują się jako tolerancyjni i otwarci, są bardziej niechętni wobec innych i ich przekonań niż konserwatyści. Po badaniach przeprowadzonych m.in. z holenderskim Uniwersytetem w Tilburgu doszedł do wniosku, że wbrew dominującemu mniemaniu to konserwatyści są bardziej różnorodni, mniej zuniformizowani, bardziej cenią sobie samodzielność i swobodę robienia, co się chce niż tzw. liberałowie. Ci, a także lewica, są bardziej podatni na wpływy własnego środowiska, działają zgodnie z wymaganiami kolektywu, zamiast dokonywać indywidualnych wyborów. Tożsamość grupy jest u nich silniejsza niż potrzeba wolności. Ta obserwacja stoi w zgodzie z powszechną historią totalitarnych reżimów.

> Wbrew dominującemu mniemaniu to konserwatyści są bardziej różnorodni, mniej zuniformizowani, bardziej cenią sobie samodzielność i swobodę robienia, co się chce niż liberałowie. Ci, a także lewica, są bardziej podatni na wpływy własnego środowiska, działają zgodnie z wymaganiami kolektywu, zamiast dokonywać indywidualnych wyborów

Konserwatyści są nieraz uprzedzeni, i to bardzo. Wiele jednak zależy od tego, z kim przeciwko komu, a wzajemne relacje można rozpisać w tysiącach kombinacji. I tak Filip Uzarevic z prestiżowego Katolickiego Uniwersytetu Leuven w Belgii przedstawił badania, z których wynika, że np. chrześcijanie są bardziej niechętni Chińczykom, buddystom, muzułmanom niż niewierzący liberałowie. Ale z tych samych badań wynika, że postępowi, tolerancyjni, otwarci ateiści są jeszcze bardziej uprzedzeni w stosunku do chrześcijan, a zwłaszcza katolików, a także do działaczy pro-life czy sprzeciwiających się ideologii LGBT+. Najwięcej niechęci, często na poziomie nienawiści, budzą biali mężczyźni chrześcijanie. Nie trzeba rozwodzić się nad tym, że ową niechęć i nienawiść najżarliwiej napędzają liberałowie i postępowa lewica. Oni nie znoszą katolików bardziej niż muzułmanie.

Wiele badań, w tym Brandta i wspomniane już przekrojowe fińskie, pokazuje, że nie ma też korelacji pomiędzy inteligencją, wykształceniem a poziomem uprzedzenia do osób o odmiennych od naszych przekonaniach politycznych. „Nasze badania wskazuje, że samo podnoszenie poziomu edukacji lub zapewnianie szkoleń poznawczych nie jest skuteczniejszym sposobem na zmniejszenie nietolerancji społecznej w krajach zachodnich, takich jak Finlandia" – piszą autorzy analizy w magazynie „Brain and Behavior".

Brytyjska filozof Nina Power wskazuje, że chrześcijaństwo, a także inne religie, znajdują sposoby na radzenie sobie z konfliktami, naturalnymi różnicami i nieporozumieniami wśród ludzi. Uczą, że każdy jest niedoskonały i popełnia grzechy, ale że możemy odpokutować i doznać wybaczenia. Tymczasem współczesny świecki moralizm jest inny. „Magazynierzy oburzenia nie zapominają i nie wybaczają" – pisze Power. Liberałowie uważają, że np. ich przyjaźnie, status, praca zależą od pozostawania po właściwej stronie historii i poglądów politycznych. Posiadanie prawidłowych opinii jest najważniejsze i każdy żyje na krawędzi odstępstwa od tego, co jedynie słuszne. I nie ma znaczenia, że jeszcze kilka tygodni temu to, co głosisz dziś, było dozwolone. Jeśli przekroczysz krawędź akceptacji kolektywu, spadasz w otchłań.

Lewica i liberałowie muszą być w nieustannej awangardzie, a to oznacza, że ich poglądy zawsze są zmienne, nie mają więc fundamentów, z założenia nie mogą opierać się na stałej prawdzie. Już starożytni Grecy rozumieli, że jeśli uznaje się tylko doksa – powszechne przekonanie, opinię i poświęca się dla niego prawdę albo nie szuka się jej, to pozostają nam tylko miałkie idee i nieustanna walka o władzę.

Autopromocja

„Człowiek rodzi się nie sobie, lecz dla swojej ojczyzny”

Andrzej Frycz Modrzewski

Wesprzyj patriotyczne media

wPolsce24

Dane do wpłat:
Fratria Sp. z o.o.

Konto do wpłat z Polski:
69 1020 4900 0000 8202 3036 2577

Konto do wpłat zagranicznych:
BIC (SWIFT): BPKOPLPW
PL69 1020 4900 0000 8202 3036 2577

w tytule: **DAROWIZNA**

Twoje dane osobowe będą przetwarzane zgodnie z polityką RODO

eprasa.pl 6db4984789

Święto w Wenecji

Wenecki patriarchat doprowadził do skrajności pewną współczesną katastrofalną tendencję w Kościele. Po prostu uznał, że nie ma już wiernych wchodzących do świątyń po to, by się modlić. Dziś kościoły w Wenecji są tak naprawdę „obiektami usługowo-komercyjnymi”

JAN ROKITA

Do Wenecji prawie zawsze przyjeżdżałem na dłużej jesienią albo zimą, prawie nigdy latem. Z oczywistego powodu – zgiełkliwych, półnagich tłumów, przewalających się latem przez miasto. Ale raz zrobiłem wyjątek od tej zasady i zamieszkałem w Wenecji na miesiąc – od połowy lipca do połowy sierpnia, czyli w okresie nasilenia masowej jednodniowej turystyki. Prawdę mówiąc, potem tego żałowałem, bo, jak się zaraz okaże, miasto było w tym czasie prawie nie do zniesienia, a jedyny ratunek stanowiło to, iż mieszkałem (jak zwykle) w położonej trochę na uboczu ulubionej dzielnicy Bragora, tuż przy murach potężnego Arsenału Republiki Weneckiej. Powodem tamtego letniego

Fot. Shutterstock

przyjazdu było pragnienie uczestnictwa w sławnym religijnym święcie Il Redentore, które wenecjanie od wieków obchodzą w trzecią niedzielę lipca.

JAK Z „PIEKŁA" DANTEGO

W drugiej połowie XVI w. miasto zaatakowała zaraza, niszcząca i długotrwała, w trakcie której umarł m.in. najlepszy spośród weneckich artystów – stary Tycjan, w swoim bogatym domu położonym przy Fondamente Nove, nad samą laguną. Kiedy zaraza minęła, genialny architekt Andrea Palladio w podzięce Odkupicielowi wystawił biały kościół, przyjemny przez swą geometryczną prostotę. A trzeba pamiętać, że na przekór sławnej kolorystycznej metaforze z wiersza Aleksandra Błoka, Wenecja wcale nie jest „czarno-zielonkawa", lecz jej dominującymi kolorami są ceglastość i biel. I ta dwubarwność uderza zwłaszcza każdego, kto wpływa statkiem do miasta od strony laguny. Widziane z morza ceglaste elewacje domów zlewają się z różem Pałacu Dożów i ową ciepłą, przyjazną oku bielą Biblioteki Marcjańskiej oraz kościelnych fasad wykutych w charakterystycznym kamieniu wydobywanym w niegdyś weneckiej Istrii.

Tak więc biały kościół Il Redentore (czyli Odkupiciela) Palladia stoi wysoko na wybrzeżu wyspy Giudecca, vis-à-vis starego centrum, oddzielony jednak odeń wodami laguny. A od czasu tamtej zarazy podczas obchodów święta Odkupiciela miasto każdego roku wznosi długi, stojący na łodziach most, który wiedzie z dzielnicy Dorsoduro przez morze aż po same stopnie kościoła. Jest świetny klasyczny obraz (nie pamiętam już, Guardiego albo Canaletta), na którym widać, jak na lagunę wpływają setki świątecznie przyozdobionych gondoli, a mostem postępuje uroczysta procesja do Il Redentore.

Pierwszą procesję poprowadził doża Sebastiano Venier, bohater całej Europy spod Lepanto. Jego poważny wizerunek, odmalowany w jaskrawych i świetlistych barwach, przedstawiający go w trakcie hołdu, jaki w imieniu Republiki Weneckiej składa Odkupicielowi, stworzył Veronese. Obraz wisi nad ławami Collegium, chyba najładniejszej sali w Pałacu Dożów. Naczytałem się w książkach, iż ponoć świętowanie, celebracja i zabawa mają budować istotę weneckiego ducha, byłem więc ciekaw, jak wygląda współczesna celebracja święta Il Redentore.

W sobotę, w wigilię święta, wpadłem jednak w rozgoryczenie. Po południu na lagunie zebrało się parę setek jachtów, łodzi i stateczków, na ich pokładach tłoczyli się ludzie podskakujący w ścisku w rytm muzyki. Rzecz w tym, że ambicją każdego takiego stateczku jest zagłuszenie sąsiada. A w repertuarze nie ma, jak ktoś mógłby pomyśleć, piosenek neapolitańskich czy arii Pucciniego, ale współczesny wulgarny międzynarodowy łoskot. Nietrudno więc wyobrazić sobie przeraźliwy jazgot, jaki zapanował nad laguną. Ale to nic wobec obrazu, który ujrzałem tamtej soboty wieczorem. Wyszedłem z domu przed północą, aby popatrzeć, jak wygląda świętujące miasto i dotrzeć przez dopiero co otwarty most do kościoła Il Redentore na zapowiedzianą nocną mszę. Z mojej ciasnej uliczki wychynąłem na szerokie nabrzeże Schiavoni i... cofnąłem się pod wpływem tego, co ujrzałem.

Na wszystkich brzegach laguny w strasznym ścisku stało pewnie 100 tys. ludzi albo i więcej. Ale nie było widać ich głów, tylko wyciągnięty w stronę nieba niezliczony las błyskających światłem ludzkich rąk, które w pierwszej chwili wyglądały tak, jakby spodziewały się jakiegoś niebiańskiego sądu albo apokaliptycznej egzekucji. Dopiero po paru sekundach zorientowałem się, że wzniesione ręce trzymają smartfony i próbują robić zdjęcia ponad głowami. Czego? Banalnych ogni sztucznych puszczanych przed północą nad laguną.

A teraz zamknij oczy, drogi czytelniku, i wyobraź to sobie: przed tobą laguna z setkami jazgocących jachtów i stateczków oraz fajerwerkami, a wokół niepoliczalna liczba rąk z błyskającymi smartfonami, uniesionymi tak wysoko, jak to możliwe, i dopiero za tym wszystkim z tyłu, w trzecim kręgu, wieże i kopuły Wenecji. Przez chwilę miałem wrażenie, że oglądam scenę z ilustracji do „Piekła" Dantego. A potem czmychnąłem.

Dopiero kiedy znalazłem się na opustoszałym teraz pl. San Marco przez moment zobaczyłem nad Nowymi Prokuratoriami księżyc w pełni na bezchmurnym niebie. Gdy fajerwerki nad laguną strzelały szczególnie wysoko, wyglądało, jakby miał czerwono-liliowe warkocze, opadające na renesansowe dachy Prokuratorii. Przypomniał mi się ów fragment z Błoka zainspirowany mozaiką z bazyliki św. Marka, dający ów nie całkiem prawdziwy obraz kolorów Wenecji: „W tym mieście czarno-zielonkawym / Pełnym różowych kościotrupów / Dzwony wzlatują hymnem łzawym / Jak ptaki nad stosami łupów. / Nikt nie wszedł dziś na plac z marmuru. / Pałace, kolumnady, domy / I pośród czarnych głębin chóru / Ta sama błąka się Salome".

NIEDOGOLONY BURMISTRZ I BANALNA HOMILIA

Na drugi dzień, w niedzielę, czyli we właściwe święto, było już lepiej, choć i tak smutno. O godz. 19.00 zgodnie z tradycją patriarcha odprawił mszę w Il Redentore, po czym ze schodów Palladia błogosławił miasto Najświętszym Sakramentem. W pierwszej ławce pojawił się nawet il sindaco (burmistrz), wprowadzany do kościoła przez trzech śmiesznie umundurowanych pajaców (jak to we Włoszech), przysadzisty, niedogolony, ze świńskimi oczkami, otyły i w niedopinającej się na brzuchu marynarce. Na jego wejście powstały trzy pierwsze rzędy podobnych do niego, często także dziwacznie umundurowanych gości, a ponieważ nie wiedzieli oni, kiedy i na czyją komendę znowu mogliby zgodnie usiąść, stali tak dłuższy czas, aż od tego nonsensownego stania wybawił ich dzwonek na wejście mszy, który ponownie nadał sens ich czynności.

Żadnej miejscowej elity, żadnej lepszej twarzy ani wytwornego ubrania! Dwa miesiące wcześniej byłem na procesji Bożego Ciała w prowincjonalnym Orvieto i tam aż miło było popatrzeć na nieliczne, ale dobrze ubrane tamtejsze mieszczaństwo. Tu nic. Co się stało z potomkami weneckiego patrycjatu? Gdzie są ci ludzie zamieszkujący te wszystkie pałace dzielnicy San Marco? Milsza hipoteza to ta, że zwyczajem dawnych wenecjan opuścili miasto na czas kanikuły, której współcześnie towarzyszy jeszcze inwazja turystycznej „stonki".

Za dobrych czasów Serenissimy (Republiki Weneckiej) w letnim czasie życie przenosiło się na wenecką terraferme, czyli do tych wszystkich willi budowanych przez Palladia w okolicach pobliskiej Padwy, a centrami życia towarzyskiego stawały się lądowe kurorty. Hipoteza druga, bardziej pesymistyczna – że wenecjanie są jednak w mieście (przynajmniej niektórzy), ale nie uczestniczą już w starodawnych świętach religijnych.

Patriarcha – wysoki, sztywny, przybrany ornatem ze złota i mitrą, w której doliczyłem się co najmniej 25 dużych pereł, skrzekliwym i monotonnym głosem odczytał banalną, słabo pasującą do okoliczności homilię o tym, że religia nie jest przeciwna państwu (jakby jeszcze ktokolwiek w zateizowanej Europie na serio miał taką obawę). Wystąpienie na poziomie kiepskiego wykładu dla studentów pierwszego roku. A kiedy religijna celebra sięgnęła zenitu podczas pięknego obrzędu błogosławieństwa miasta, przed fasadą Palladia zostało może najwyżej 200 osób, natomiast świątecznym mostem, w stronę którego patriarcha unosił monstrancję, przechadzały się... w odwrotną stronę znudzone baby z dziećmi i faceci w różnym wieku, zazwyczaj w majtkach wywodzących się od murzyńskich robotników z Jamajki. Ot, dwie odsłony wielkiego religijnego święta we współczesnej Wenecji.

> Nawet tam, gdzie, jak w mojej parafii San Giovanni Bragora, ogłoszona jest codzienna msza o godz. 18.30, ksiądz odprawia ją tylko wtedy, kiedy mu się chce. Kiedy to nastąpi, wiedzą tylko cztery zakumplowane z nim stare kobiety

ZDROWAŚKA ZA 90 EURO

Weneckie kościoły są zresztą powodem mojej nieustannej religijnej frustracji. Od lat jestem przyzwyczajony do śmiesznej cechy, jaką jest lenistwo włoskich księży. Z jej powodu najczęściej dokładnie o godz. 12.00 jakiś klecha myślący tylko o sutym obiedzie i drzemce nerwowo i arogancko wygania mnie z kościoła. Włochy pewnie zawsze takie były. Ale w Wenecji jest coś gorszego: zorganizowany przez patriarchat profesjonalny system zeświecczenia kościołów. Za każde wejście płaci się od 3 do 5 euro, można też kupić kościelną kartę za 14 euro na ileś tam kościołów, ale na niej odkreśla się ten, do którego już się weszło i nie wolno wejść do niego ponownie. Jeśli chce się więc np. wpaść do swojego kościoła parafialnego tylko raz dziennie na jedną zdrowaśkę, to taka przyjemność kosztuje 90 euro na miesiąc.

Czasem bez biletu wpuszczają na jakieś msze, ale w tygodniu to rzecz bardziej teoretyczna. Bo nawet tam, gdzie, jak w mojej parafii San Giovanni Bragora, ogłoszona jest codzienna msza o godz. 18.30, ksiądz odprawia ją tylko wtedy, kiedy mu się chce. Kiedy to nastąpi, wiedzą tylko cztery zakumplowane z nim stare kobiety, które zawsze przychodzą. Co więcej, gdy duchowny zaczyna mszę, zamyka drzwi kościoła od środka, raz się spóźniłem i już mi się nie udało dostać do wnętrza. W większości kościołów nabożeństwo jest raz w niedzielę albo nie ma go w ogóle. Jeszcze nigdy i nigdzie nie spotkały mnie tak dziwaczne przypadki w katolickich świątyniach, jak tutaj.

W San Polo (gdzie wisi mistyczny obraz Tintoretta „Ostatnia wieczerza", na którym Chrystus zawisł nad stołem w ciemności jak jakiś nocny ptak i dramatycznym gestem rąk rozłożonych szeroko jak na krzyżu daje chleb do ust Janowi i Piotrowi), jakaś postawiona tam na straży zgaga pozwoliła wejść na modlitwę mojej żonie, ale mnie już nie, po czym na cały kościół krzyczała na Nelli, żeby klęczała na posadzce, a nie na klęczniku i nie rozglądała się w czasie modlitwy. W końcu tak się wkurzyła o to, że dalej stoję przy drzwiach i nie wychodzę, że wypchnęła mnie drzwiami z kościoła, zatrzaskując je za mną. W San Sebastiano, ślicznie i radośnie obmalowanym przez pochowanego tu zresztą Veronesego, sympatyczna tym razem niewiasta pozwoliła mi klęczeć i modlić się... ale tylko przed kontuarem kasy znajdującej się tuż przy wejściu.

W renesansowym San Stae nad kanałem inna kościelna funkcjonariuszka również mnie nie wyrzuciła, pozwalając uklęknąć i pomodlić się przed ladą kasy, ale przejęta swoją rolą przez cały ten czas głośno narzekała, że moja modlitwa jest bez sensu, ponieważ w ołtarzu nie świeci się świeczka, tylko czerwona lampka, a to znaczy, że w tabernakulum na pewno nie ma hostii. Moja żona wdała się z nią nawet w dłuższy spór o znaczenie owej czerwonej lampki i obecności Najświętszego Sakramentu, więc ta, zi-

rytowana, wprowadziła Nelli bez biletu do kościoła, aby jej szczegółowo pokazać, która świeczka musiałaby się świecić, gdyby była tutaj hostia. To tylko niektóre z moich przygód, te bardziej zabawne, ale przecież w gruncie rzeczy smutne.

Nie odnoszę tego wszystkiego do bazyliki św. Marka, bo to oczywiście inna historia. Tysiące ludzi ustawiają się tu od rana w skwarze, żeby tylko wejść do środka, więc też (może słusznie?) są traktowani jak stado baranów. Wolno im przejść pół prawej nawy, skręcić do lewej i tą szybko wyjść. Koniec zwiedzania! Efekt jest taki, że mozaiki w San Marco są praktycznie niedostępne – nie tylko nie można ich kontemplować, lecz także po prostu się im przyjrzeć. Szczęście, że bazylika to jedyny tutaj kościół, w którym msze odprawia się codziennie, a jak się przyjdzie na nabożeństwo o godz. 7.00, to kościelni ochroniarze są jeszcze na tyle śpiący, że można cichcem im umknąć z oczu i wedrzeć się do niedostępnego baptysterium, gdzie od wieków w upiornym pląsie trwa owa czerwona Salome z obciętą głową św. Jana i sukni przyozdobionej lisimi (?) puszystymi ogonkami.

To właśnie ta Salome, która kiedyś zrobiła takie wrażenie na Błoku, że napisał o niej ów niezwykły wiersz. A obok chrzest w Jordanie – jedna z najbardziej „poetyckich" mozaik, jakie widziałem. Jezusa ogarniają tu delikatne, biało-niebieskie pasma symbolizujące wody Jordanu, z nich utkana jest także suknia Jana Chrzciciela; pochyleni trzej aniołowie aż zwinęli skrzydła, w tak wielkiej pokorze służą tym dwóm mężczyznom. W zamkniętym baptysterium udało mi się spędzić mniej więcej pół godziny w samotności, dopóki nie pojawił się przypadkowy cieć, który zanosił tu miotłę, odkrył mnie, sprowadził swoich dowódców... Przyzwyczaiłem się do wyrzucania z kościołów, ale gdzieś w głębszej warstwie mojej religijności zawsze jednak cierpię z tego powodu.

> W kościele San Sebastiano pozwolono mi klęczeć i modlić się... ale tylko przed kontuarem kasy znajdującej się tuż przy wejściu

SAMOZAGŁADA KOŚCIOŁA

Wenecki patriarchat doprowadził do skrajności pewną współczesną katastrofalną tendencję w Kościele. Po prostu uznał, że nie ma już wiernych wchodzących do świątyń po to, by się modlić. Owszem żyją jeszcze nieliczne stare kobiety, które pozostają w komitywie z księdzem i wiedzą, kiedy można przyjść do świątyni. Ale to całe imponujące piękno, które wenecjanie w ciągu tysiąca lat włożyli w swoje kościoły, nie jest dla nich. Jest za to dla turystycznych „baranów", którzy z założenia muszą być ateistami, więc od nich patriarchat chce tylko umiejętnie wyciągnąć kasę, jak najszybciej ich przepędzając. Zauważyłem, że gdy już nawet wpuszczają ludzi za darmo na niedzielną mszę, to cała zgraja kościelnych ochroniarzy pilnuje, żeby zasłonić największe dzieła sztuki, zamknąć kaplice, wygasić światła, tak by nikt z wiernych nie spostrzegł czasem unikalnego piękna świątyni. To bowiem nie jest już dla tych, którzy chcą się w nich modlić.

Trudno nie odnieść wrażenia, że dysponentów kościołów ogarnął jakiś obłęd. Nikt już nie myśli o żadnym nawracaniu kogokolwiek, ba, tym wszystkim patriarchom, biskupom i klechom nie przychodzi nawet do głowy, że komuś może być potrzebne do życia samo wejście do kościoła i chwila kontemplacji. A jeśli nawet, to niech zapłaci jak za zimne piwo w upał. Dziś weneckie kościoły są tak naprawdę „obiektami usługowo-komercyjnymi". A ludzie o zwyczajnych nawykach i potrzebach religijnych, tacy choćby jak piszący te słowa, z perspektywy weneckiego eminencji po prostu nie istnieją.

Tyle tylko, że w ten sposób Kościół własnymi rękami dokonuje samozagłady, gdyż sam wyrzeka się sakralności. Jeśli patriarcha Wenecji wychodzi z założenia, że wiernych nie ma, a sztuka religijna nie ma apostolskiego sensu, to znaczy, że wiernych rzeczywiście już nie będzie, a kościoły niczym nie będą się różnić od muzeów. Niestety to tacy biskupi są prawdziwymi zabójcami religii bardziej niż obojętny na religię świecki świat. Czasem się zastanawiam, jak to wszystko ma się do nauczania papieża Franciszka o obowiązku otwarcia Kościoła i marszu „na peryferie", do jego sarkastycznych dowcipów o księżach, którzy zamienili się w fryzjerów, chcących strzyc ludzkie dusze i portfele. Boję się, że papież okazuje się tutaj szlachetnym, ale pozbawionym wpływu gadułą, a rzeczy w Kościele inercyjnie podążają bardziej „weneckim" niźli „papieskim" tropem.

Fot. Uta Scholl/Shutterstock.com

Za kulisami POLITYKI NA DESER

„Polityka na deser" to program, w którym publicyści, łącząc się z widzami, komentują (najczęściej na wesoło, choć nie zawsze) bieżące wydarzenia polityczne. Znają nas państwo z telewizji wPolsce24. A co dzieje się, gdy nas nie widać? Dziś zdradzę państwu kilka sekretów

Niemal rok temu, 19 grudnia 2023 r., poprowadziłam z Krzysztofem Feusettem ostatnie wydanie programu „W tyle wizji" w starym TVP Info. Tego dnia Sejm w nowym składzie przyjął uchwałę o mediach publicznych, która stała się dla nowej władzy podkładką do siłowego przejęcia Telewizji Polskiej. Idąc do studia, wiedzieliśmy już, że za chwilę przy ul. Woronicza, gdzie mieści się główna siedziba TVP (my byliśmy na pl. Powstańców), zgromadzą się politycy, którzy będą próbowali zatrzymać „przejęcie". Wówczas przerwano nam audycję, przenosząc się z relacją do Sejmu, który właśnie przegłosował dokument. Nie wróciliśmy już na antenę, a następnego dnia wyłączono sygnał TVP. Nie zdążyliśmy pożegnać się z widzami, którzy latami mogli śledzić czasem uszczypliwe, czasem żartobliwe, a niekiedy całkiem poważne komentarze zespołu, który skompletował Marcin Wolski.

Jednak już 10 stycznia Krzysztof Feusette napisał na platformie X: „BREAKING NEWS!!!! Ostatni odcinek »W tyle wizji« ukazał się 19 grudnia. Prowadziliśmy go wspólnie z Dorotą Łosiewicz. Nie zdążyliśmy się pożegnać z naszymi Widzami, ale dziś nie będziemy się żegnać, witamy Państwa w nowym programie telewizji http: wPolsce.pl". Co się stało między 19 grudnia a 10 stycznia?

Tuż po świętach Michał Karnowski zapytał mnie, czy chcemy dalej rozmawiać o polityce, ale już na antenie telewizji wPolsce.pl Odpowiedziałam twierdząco, a on zapytał, czego potrzebujemy. Odrzekłam, że dwóch foteli, kamery i dobrego wydawcy, który byłby w stanie sam przygotować to, co niegdyś robił spory zespół. I tak zasiedliśmy na żółtych fotelach, niemal w domowym zaciszu, bez wielkiego rozmachu, który towarzyszy dużym stacjom. Jed-

Fot. wPolsce24

nak widzowie zaczęli nas odnajdywać, jeśli nie na żywo, to w internecie. Pierwszy odcinek „Polityki na deser" obejrzało na kanale YouTube prawie 160 tys. osób. Ponieważ telewizja wPolsce.pl nie dysponowała dużym budżetem, musieliśmy ograniczyć skład komentujących do grona publicystów związanych z tygodnikiem „Sieci". Wystartowaliśmy więc we trójkę: ja, Krzysztof Feusette i Stanisław Janecki. Z czasem dołączył do nas Andrzej Potocki, a gdy telewizja wPolsce24 uzyskała koncesję, dołączyli, a może lepiej powiedzieć, wrócili: Magdalena Ogórek i Jacek Łęski. Zupełnie nowym nabytkiem jest zaś Rafał Porzeziński, który wcześniej znany był widzom m.in. z cyklu: „Ocaleni" w TVP.

ZESPÓŁ OSOBOWOŚCI

Oddajmy więc głos temu, który dołączył najpóźniej. – „Polityka na deser", to super zgrana paczka mądrych, doświadczonych, a ciągle pełnych energii i młodości ludzi, którzy kochają Polskę, ale także kochają swoją pracę i mają z niej niesamowitą radość. Każdy daje z siebie 100 proc. Wielkim walorem tego programu jest kontakt z widzem, który często reaguje żywiołowo, dzwoniąc do nas. Widzowie, oglądając ten program, czują się u siebie. Ten zespół to same osobowości, ubogacają mnie wiedzą i czarem osobistym. Dobrze mi z nimi. Latami byłem widzem, a teraz jestem jego częścią i mam nadzieję, że nie zwiodę, choć to dla mnie nowy format – mówi Porzeziński. I nie ma wątpliwości, że Rafał odnalazł się znakomicie.

– „Polityka na deser" to jeden z najmilszych programów, jakie mam przyjemność prowadzić, nie ujmując żadnemu innemu – zdradza Magdalena Ogórek. – Kocham twardą publicystykę i to jest mój żywioł, jednak „Deser" jest jedyny w swoim rodzaju. Wytwarza się tam bardzo szczególna atmosfera pomiędzy prowadzącymi. Do naszego zespołu całkiem niedawno dołączył Rafał Porzeziński. Był taki odcinek, że tak się zagadaliśmy, wpadliśmy w tak wesołą dyskusję, iż zupełnie zapomnieliśmy, że jesteśmy na żywo. Ale to pomaga atmosferze programu. Jeśli dyskusja jest żywiołowa i się klei, jest chemia i radość, a do polityki można podejść z dystansem, udziela się to także widzom. Śledzimy też komentarze na YouTube, bo program można oglądać nie tylko w telewizji naziemnej wPolsce24, lecz także w internecie. Bardzo cieszą te komentarze, bo okazuje się, że w tych trudnych czasach widzowie mogą dostać od nas taką porcję kontentu, że robi im się weselej, a często śmieją się w głos. Ten luz i poczucie humoru sprawiają, że łatwiej znieść trudne życiowe sytuacje. Najczęściej, gdy widzowie zaczepiają mnie na ulicy czy w sklepie, komentują właśnie to, co widzieli w „Polityce na deser". Mocą tego programu jest też to, że każdy prowadzący jest zupełnie inny, z każdym rozmawia się inaczej, każdy tworzy swój klimat. A jak się to połączy, nigdy nie wiadomo, jak to się skończy. Sama wielokrotnie na żywo ugotowałam się ze śmiechu – relacjonuje Magda.

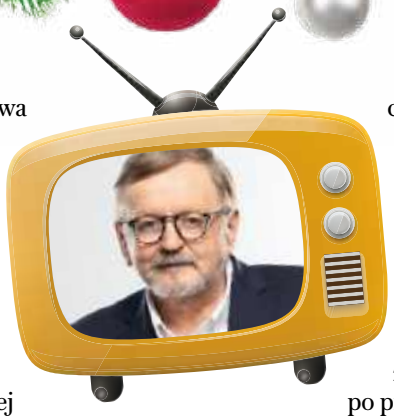

ŚCIĄGA I TUPECIK

To zupełnie jak ja. Szczególny dar do gotowania mnie na wizji ma Krzysztof Feusette. Wielokrotnie rozbawił mnie tak, że nie byłam w stanie mówić. Gorzej, że w przerwie nie przestaję, dalej komentuje po swojemu, a ja płaczę. Charakteryzatorki, które mają kilka chwil na poprawienie makeupu i zmycie czarnych łez z mojej twarzy, załamują wtedy ręce. Pewnego pięknego dnia Krzysztof tak nawijał, że charakteryzatorka nie była w stanie doprowadzić mnie do porządku, bo cały czas leciały mi łzy. I wtedy ona zwróciła się do Krzysztofa: „Czy możesz być cicho chociaż przez 30 sek., bo inaczej ona zacznie program z czarną twarzą".

– Widzowie często się zastanawiają, czy na podkładkach, które mamy podczas programu, napisano jakieś instrukcje, co mamy mówić. Nic z tych rzeczy. Mamy tam po prostu zapisaną kolejność materiałów, które emitujemy – relacjonuje Stanisław Janecki.

O ile ja i Staszek mamy wyłącznie kolejność materiałów, o tyle coś zupełnie innego ma Krzysztof. – Spisuję sobie przed programem dawne cytaty z naszych bohaterów, czasem jakieś daty czy mało znane fakty, których bym nie zapamiętał. To moja baza danych do każdego odcinka – śmieje się.

Ale z notatek trzeba umieć korzystać. Przekonał się o tym Andrzej Potocki. – W tym programie trzeba być sobą i mówić, co się myśli. Na początku, gdy dołączyłem do zespołu, notowałem, co chcę powiedzieć i uporczywie zaglądałem w kartki, żeby odczytać swoje myśli. Spadła za to na mnie fala krytyki, więc już teraz staram się słuchać rozmówcy i po prostu reagować – bije się w piersi Andrzej.

Co jeszcze intryguje widzów poza podkładkami? – Jest jedna historia związana z tym programem, która mnie szczerze bawi – opowiada Stanisław Janecki. – Otóż w mediach społecznościowych często pojawiają się dyskusje, czy mam na głowie perukę, czy tupecik. I często wybuchają na ten temat żywiołowe dyskusje. A ja po prostu mam swoje włosy, które od zawsze były dość gęste i mocne. Kiedyś dla zabawy zaproponowałem jednemu z tych, co sugerowali, bym mocniej przykleił tupecik, żeby przyjechał w umówione miejsce, sporządzimy notarialną umowę i dostanie ode mnie 100 tys. zł, jeśli znajdzie ten tupecik, a jak nie, to wpłaci połowę tej kwoty na cel charytatywny. Jakoś nikt nie podjął wyzwania. W charakteryzacji często sobie żartuję, żeby panie sprawdziły, czy tupecik się trzyma – opowiada Staszek.

A skoro jesteśmy przy włosach, to teraz moja historyjka. W programie raz mam proste, a raz kręcone. Widzowie często więc pytają, jak jest naprawdę. A naprawdę mam burzę loków, które są trudne do ujarzmienia. Ich wyprostowanie zajmuje nieraz prawie godzinę. Kiedyś będąc na działce, poszłam do pobliskiego sklepiku z tym moim bałaganem loków na głowie, bez makijażu, w za dużych kaloszach, bo było podeszczowe błoto, i w dresie, licząc na pełną anonimowość. Gdy odezwałam się przy kasie, usłyszałam zza pleców: „Ten głos wszędzie poznam!".

Każdy z nas ma też swoje rytuały. – Nigdy nie miałem marzeń czy nawet myśli o pracy w telewizji. Dlatego od początku, by opanować tremę i tradycyjną, telewizyjną „gorączkę", ułożyłem sobie, a w zasadzie to sam się ułożył, pewien rytuał. Zawsze na czarno, zawsze z notatkami pisanymi odręcznie (lepiej wchodzą do głowy) i zawsze z poluzowaniem paska od spodni tuż przed powitaniem. To ostatnie poprawia oddech, a tlen przydaje się nawet w programie satyrycznym – opowiada Krzysztof. Gdy go kiedyś zapytałam, dlaczego zawsze ubiera się na czarno, odpowiedział: „Żeby nie mieć dylematu, co założyć".

WSZYSTKO SIĘ MOŻE ZDARZYĆ

„Polityka na deser" to program na żywo, więc często przydarzają się nam różne niezapowiedziane historie. – Całkiem niedawno miałem jedną mało przyjemną przygodę. Program trwa w sumie półtorej godziny, a podczas audycji pijemy wodę, żeby nie zaschło nam w gardle. Dlatego jest bardzo ważne, żeby przed programem udać się w ustronne miejsce. Raz nie poszedłem, bo się zagadaliśmy i już ok. 10 minuty programu poczułem, że pęcherz domaga się swoich praw. Zacząłem kombinować, jak by tu przerwać i szybko pobiec do łazienki. Uniemożliwiały to mikroporty. W efekcie w ostatniej części programu siedziałem jak na szpilkach, a to, co napierało od pęcherza, uderzyło mi do głowy i nie mogłem myśleć. Wierciłem się jak na rozżarzonych węglach, ty pękałaś ze śmiechu, a ja walczyłem o przetrwanie. Gdy ten dramat się skończył, wypadłem ze studia z drugą prędkością kosmiczną – wspomina Staszek.

Skoro o piciu mowa, to przypomina mi się, jak niedawno zakrztusiłam się wodą, po którą sięgnęłam. Też prowadziliśmy wtedy ze Staszkiem. Zaczęłam się regularnie dusić i daję mu sygnał ręką, żeby wypuścił materiał, żebym mogła się uspokoić, a on się tak rozgadał, że nie mógł przestać. Pomyślałam, że jeszcze sekunda i uduszę się na wizji. Wtedy wydawca się zorientował i wypuścił materiał filmowy, a ja doszłam do siebie i mówię: „Staszek, prawie mnie zabiłeś, czemu nie wypuściłeś materiału?". A on na to: „Myślałem, że pokazujesz, że mam mówić". Pomyślałam, że to zemsta za to, że tak mnie rozbawił dramat, który Staszek przeżył kilka dni wcześniej.

– Jest mnóstwo przezabawnych sytuacji, czasem ich autorem jest sprzęt, czasem ludzie. Kilka dni temu stałem już ze Staszkiem Janeckim pod studiem, za chwilę mieliśmy wejść, usiąść i rozpocząć kolejny odcinek „Deseru". Nagle słyszę w słuchawce: „Krzysztof, wchodzicie...". Po chwili: „Krzysztof, czekamy na was...". Wreszcie: „No wchodźcie, na co czekacie?!". Więc wszedłem. A w studiu Damian Stanisławski prowadzi serwis. Odskoczyłem z powrotem za drzwi jak oparzony. Okazało się, że wydawca wołał do reportera „Strefy starcia", też Krzysztofa – wspomina Feusette.

– Był taki dzień, kiedy wszystkie siły techniczne sprzysięgły się przeciwko nam. Doszło do zwarcia, padła cała technika. Do tego stopnia, że mieliśmy około godzinną przerwę w nadawaniu. Padły wtedy też tzw. walle, czyli monitory, które mamy za plecami. Były po prostu czarne. Po kilkudziesięciu minutach walki techników z materią okazało się, że możemy wznowić nadawanie w innej części studia, w której jest szyba. Jedyny program, który można było pokazać w ten sposób, to właśnie „Polityka na deser". Problem w tym, że było to znacznie przed naszą zwykłą godziną nadawania i nie zdążyliśmy jeszcze obejrzeć przygotowanych materiałów. A to jedyny sposób, w jaki się przygotowujemy, bo nigdy nie ustalamy, co kto powie. To zawsze jest niespodzianka. Poszliśmy kompletnie na żywioł. I tak przez dwie godziny komentowaliśmy to, co nam akurat podrzucił bęben maszyny losującej. To akurat było z tobą, a nam się zawsze bardzo dobrze rozmawiało, więc daliśmy radę – wspomina Jacek Łęski.

– Tu nie ma rutyny, każdy program jest zaskoczeniem dla samych prowadzących, żadne z nas nie przygotowuje sobie point i bon motów, tylko reagujemy na bieżąco na to, co się dzieje, by w rozmowie była świeżość. Te dyskusje sprawiają nam dużą frajdę, mam nadzieję, że równie dużą, jak widzom oglądanie – dorzuca Rafał Porzeziński.

– Najważniejsze, że wielu widzów zostało z nami. Od początku oglądalność „Polityki na deser" rośnie. Mieszkam w centrum Warszawy, więc mogłoby się wydawać, że to nie jest nasz „target", a jednak często ktoś podchodzi, zagaduje, prosi, by powiedzieć w programie o tym czy o tamtym. To jest nasza największa siła – ludzie, którzy chcą, żebyśmy co wieczór gościli w ich domach. Jak odpowiedzieć na takie zaproszenie inaczej niż jeszcze większym zaangażowaniem? To dla widzów, nie polityków, codziennie pichcimy nasz deser, a kiedy oni piszą: „Było super", każdy kucharz czuje dumę i radość – kończy Krzysztof Feusette.

Dorota Łosiewicz

Fot. Andrzej Wiktor (7x), Shutterstock

Na polskim tronie zachodzą zmiany. Schedę po Władysławie Jagielle przejmują jego synowie. Ich losy będziemy mogli śledzić w serialu „Królowie", który od 18 grudnia zastąpi „Koronę królów. Jagiellonowie". Tytułowe role grają: Krzysztof Świłpa jako Władysław Warneńczyk i Michał Kaszyński jako Kazimierz Jagiellończyk. Nim przedstawią się widzom, namówiliśmy ich na opowiedzenie o bohaterach, roli i o sobie

Królewscy bracia

Fot. TVP

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Jacy są tytułowi „Królowie”? Ci, których znamy z kart historii i ci, z którymi spotkamy się dzięki serialowej produkcji? Krzysztofa Świłpę, który wcielił się we Władysława Warneńczyka, i Michała Kaszyńskiego, ekranowego Kazimierza Jagiellończyka, poprosiliśmy o rozwinięcie tytułu produkcji. Oto, co według nich mieści się w kolejnych królewskich literach.

Krzysztof Świłpa

Władysław Warneńczyk – najstarszy syn Władysława Jagiełły i Zofii Holszańskiej. Urodził się 31 października 1424 r. Po śmierci ojca, mając raptem dziesięć lat, objął tron, choć faktycznie w jego imieniu rządzili bp krakowski Zbigniew Oleśnicki oraz królowa Zofia. Zginął w bitwie pod Warną 10 listopada 1444 r.

K jak król

Król jest tylko jeden. Ale też: „Umarł król, niech żyje król!”. Zwłaszcza to drugie zawołanie bardzo pasuje do historii Władysława Warneńczyka, któremu miałem przyjemność użyczyć swojej twarzy, wrażliwości i, jak się okazało, także serca.

R jak rola

Gdy przyjechałem do Warszawy na casting do serialu „Królowie”, starałem się o rolę Kazimierza, młodszego brata Władysława. Miałem zagrać prostą scenę rozstania, gdzie zapewniałem ukochaną, że do niej wrócę. Gdy oderwałem się od partnerki i wróciłem do wszystkiego, co mnie wtedy otaczało, zobaczyłem, że wydarzyło się coś dziwnego. Reżyser Krzysztof Łukasiewicz (który przeprowadzał casting), zamiast patrzeć w podgląd z kamery, wychylił się zza swojego panelu dowodzenia, by obserwować naszą scenę na żywo, jak w teatrze. Gdy zastanawiałem się, co to może znaczyć, wyciągnął kartkę ze scenariusza. Był na niej zapisany monolog Władysława Warneńczyka, który dziękuje wojskom węgierskim i polskim za osiągnięty sukces bitewny. Dał mi czas na nauczenie się tekstu i powiedział, że mam przyjść, kiedy będę gotowy. W taki sposób Warneńczyk i ja spletliśmy swoje losy!

Ó jak ówczesny

Od pierwszego dnia na planie byłem bardzo podekscytowany tym, że wcielam się w króla Polski. Przeczytałem wszystkie kroniki i artykuły związane z Warneńczykiem – jaki był, co osiągnął – i napotkałem sporo niejasności. Historycy sami nie wiedzą i spierają się, jak wyglądał koniec Władysława. Jego zgon nie był jednoznaczny. Doszukałem się nawet sugestii, że po klęsce pod Warną Władysław uciekł i ukrył się na portugalskiej wyspie Madera, gdzie spłodził odkrywcę Ameryki Krzysztofa Kolumba. Na planie często z tego żartowaliśmy. Choć wydaje się to bardzo mało prawdopodobne, gdyż król raczej lubił mężczyzn, na co wskazuje kilka kronik.

L jak lekcja

Warneńczyk nauczył mnie dyscypliny. To było trudne pół roku mojego życia – z jednej strony studia aktorskie (PWSFTviT w Łodzi), które są bardzo angażujące, z drugiej – plan zdjęciowy w innym mieście. Przez nieobecności związane z pracą bałem się, że nie zostanę dopuszczony do sesji. Ostatecznie wszystko się poukładało, a egzaminy poszły mojej grupie bardzo dobrze!

O jak otoczenie, to najbliższe

Oczywiście gdy przychodzi zwątpienie, na pomoc przybiegają bliscy, rodzina, którzy mimo dzielącej nas odległości zawsze są obok mnie i wspierają. Dlatego jestem pewien, że na premierze serialu wszyscy razem usiądą przed ekranem i będą mi kibicować. A przed świętami, gdy wrócę do Szczecina, mojego rodzinnego miasta, przyłączę się i razem z nimi będę oglądał.

W jak wyzwania

Najbardziej nie mogę się doczekać scen konnych. Nagrywaliśmy je w pełnym uzbrojeniu. Miałem na sobie dodatkowo 60 kg, a słońce prażyło niemiłosiernie. Mimo wszystko zdjęcia wyszły świetne! I bardzo się z tego cieszę, bo to było moje marzenie – galopować przed kamerami na planie filmowym.

I jak inspiracje

Podczas zdjęć, w pięknych kostiumach i otaczającej nas scenografii, czułem się jak w „Grze o tron”. Mam nadzieję, że gdy rozpocznie się emisja serialu, to wrażenie pozostanie!

E jak nowy etap

Wszystkim czytelnikom chciałbym złożyć najserdeczniejsze życzenia bożonarodzeniowe. Bądźmy blisko, rozmawiajmy i kochajmy się. To radosny czas. Wykorzystajmy go jak najlepiej!

Michał Kaszyński

Kazimierz Jagiellończyk, najmłodszy syn Jagiełły, królem Polski został jako dwudziestolatek, 25 czerwca 1447 r. Był to początek 45 lat jego panowania w Koronie oraz 52 na Litwie. Urodzony w Krakowie, zmarł 7 czerwca 1492 r. w Starym Zamku w Grodnie (dzisiej-

sza Białoruś). Za jego rządów po wojnie trzynastoletniej Polska odzyskała Pomorze Gdańskie.

K jak korona

Moja pierwsza refleksja związana z koroną nie jest zbyt kolorowa. Ten przedmiot kojarzy mi się z ciężarem, cierpieniem, strachem i władzą jednostki. Przychodzi mi też na myśl abstrakcyjna odpowiedzialność, przerastająca ludzkie możliwości.

R jak rola

Pamiętam dzień, kiedy poszedłem na casting do „Królów". Obecny był na nim Krzysztof Łukaszewicz, czyli jeden z reżyserów, i miałem wrażenie, że dość szybko się zrozumieliśmy. Wyszedłem przekonany o swoim angażu. Jednak telefon miesiąc później mnie zaskoczył, ponieważ starałem się o rolę Władysława, a obsadzono mnie w roli Kazimierza. Tak czy siak, ucieszyłem się, że jestem w projekcie i że przede mną duża postać historyczna. Kazimierz IV Jagiellończyk był jednym z najdłużej panujących królów Polski. Człowiekiem charakternym i autorytarnym jako władca. Zdaje się, że często bardziej zdecydowanym od ojca, idącym pod włos, z różnymi skutkami.

Ó jak ówczesny

Kiedy tylko się dowiedziałem, że dostałem rolę Kazimierza, poszedłem do biblioteki przy ul. Koszykowej w Warszawie. Zacząłem wypożyczać wszystkie książki, w których znalazłby się chociaż rozdział na temat okresu jego panowania. Przede wszystkim poszukiwałem chociaż cienia informacji, jakim był człowiekiem, jak postrzegało go społeczeństwo. Czasu było niewiele. To, co udało mi się wyszperać, starałem się powoli wdrażać w rolę.

L jak lekcja...

Przede wszystkim cierpliwości do funkcjonowania w ciężkim, wieloczęściowym stroju. Kostium od początku był czymś, z czym bardzo chciałem się zmierzyć. Kiedy czasem po 12 godzinach zrzucałem z siebie szaty króla, czułem się lekki jak piórko. Mimo ciężaru zakochałem się w swoich strojach, których było tak wiele, że aż wzruszające, ile pracy poświęcił cały zespół na udekorowanie postaci, w którą mogłem się wcielić.

O jak oglądanie

Podczas emisji serialu zdecydowanie najbardziej będzie mi kibicowała moja babcia – kiedy się dowiedziała, że zagram tę rolę, w jeden dzień przeczytała książkę „Kazimierz Jagiellończyk i jego czasy" Marii Boguckiej. To ważny tytuł podczas moich przygotowań, pomocny w poukładaniu wiedzy faktograficznej na temat panowania Kazimierza.

W jak wizerunek

W moim przypadku aspekt wizerunkowy był dość prosty. Utrzymać długie, zadbane loki podczas całej produkcji. Easier said than done („łatwiej powiedzieć, niż zrobić"). Taka fryzura wymaga dużo cierpliwości i starannej pielęgnacji, jest kapryśna na zmiany pogody. Wymagała dużo pracy ode mnie oraz cudownej ekipy charakteryzatorek, które dopieszczały ją przed każdym ujęciem. Pierwsze, co zrobiłem po zakończeniu zdjęć, to obciąłem się na krótko, żeby na jakiś czas odpocząć od tych cudnych loków.

I jak intensywnie

Wyzwaniem, które przyniosło mi dużo satysfakcji, była nauka jazdy konnej – w trybie dość ekspresowym i skondensowanym. Plan wymagał też ode mnie szybkiej adaptacji do grania na koniu. Pamiętam strach przed pierwszym galopem w trakcie ujęcia. Jest to dużo bardziej wymagające niż zwyczajny galop w ujeżdżalni. Po paru chwilach wahania w końcu się przełamałem i od tamtego momentu galopowałem w większości scen.

E jak exit, czyli wyjście z roli. Czas na parę słów o sobie

Pochodzę z Olsztyna. Wychowywałem się w otoczeniu lasów i jezior, więc dobrze rozumiem, skąd w Kazimierzu miłość do dzikiej Litwy, dużo bliższej natury, gęsto zalesionej. Łatwiej złapać oddech w zagajniku niż w otoczeniu krakowskich murów. Wybrałem drogę aktorską na początku liceum. Kiedy powiedziałem o tym rodzinie, była zaskoczona oraz sceptyczna. Wcześniej mówiłem o stomatologii i nanotechnologii, więc dla bardzo praktycznie wtedy myślących rodziców był to obrót o 180 st., wręcz przewrót. Teraz, kiedy kończę Warszawską Akademię Teatralną i piszę magisterkę, moja rodzina zdążyła zaakceptować mój wybór i wspiera mnie. Cieszę się, że mogłem obserwować w nich tę zmianę w ciągu ostatnich lat.

Czekając na święta Bożego Narodzenia i Nowy Rok

Wigilię spędzę z najbliższą rodziną. To dobry czas na wyrwanie się z codziennego kołowrotka i zwyczajną rozmowę przy obiedzie.

Wszystkim czytelniczkom i czytelnikom na te święta i Nowy Rok życzę czułości i wyrozumiałości. Mam wrażenie, że im więcej mamy ich wobec siebie, tym łatwiej o nie wobec innych.

STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

Polskie agentki wierne do końca

Przez polskie podziemie niepodległościowe przewinęło się wiele wybitnych osób, często do dzisiaj nieznanych. Do tego grona zaliczają się Irena Iłłakowicz i Felicja Wolff, agentki dwóch nurtów podziemia – narodowego i piłsudczykowskiego. Walczyły o ten sam cel: wolną Polskę

Irena Iłłakowicz

Irena Iłłakowicz z domu Morzycka urodziła się 26 lipca 1906 r. w Berlinie w rodzinie ziemiańskiej pochodzącej z Kujaw. Jej ojciec Bolesław Morzycki pracował przy rozbudowie kolei w Rosji. Po wybuchu rewolucji rodzina mieszkała w Finlandii, dlatego Irena potrafiła płynnie rozmawiać po fińsku. Oprócz tego biegle mówiła po francusku, niemiecku, angielsku, rosyjsku, a później także po persku.

ŻONA PERSKIEGO KSIĘCIA

W czasie studiów w Grenoble Irena zakochała się w perskim dyplomacie. Był to syn księcia Kurdystanu Aziz Zangenah. Para szybko wzięła ślub w Paryżu w obrządku muzułmańskim i wyjechała do Persji. Bliski Wschód okazał się jednak niezbyt przyjazny dla kobiety z Europy. Irenie coraz bardziej dawał się także we znaki brak kontaktów rodzinnych i towarzyskich.

Po dwóch latach za zgodą męża opuściła Kurdystan i na motocyklu dotarła przez góry do Teheranu. Skontaktowała się z polskim poselstwem, które obiecało pomóc. Irena została przemycona przez granicę w bagażu dyplomatycznym i szczęśliwie wróciła do Polski. Po pobycie w kraju wyjechała do Paryża. Tam poznała o dwa lata młodszego Jerzego Olgierda Iłłakowicza, działacza narodowego, z którym wzięła ślub 23 października 1934 r. w Warszawie. 25 czerwca 1936 r. urodziła się ich jedyna córka Ligia.

Irena i Jerzy Iłłakowiczowie należeli do tajnej organizacji w ramach Obozu Narodowo Radykalnego-Organizacji Polskiej. Już w październiku 1939 r. oboje rozpoczęli działalność konspiracyjną w ramach Organizacji Wojskowej Związku Jaszczurczego. Jerzy został szefem Komisariatu Cywilnego, a Irena

Fot. NAC

trafiła do wywiadu ZJ w centrali w Warszawie. Przyjęła wówczas konspiracyjne nazwisko Barbara Zawisza. Ze względu na świetne przygotowanie i wyjątkową urodę powierzano jej szczególnie niebezpieczne akcje. Działała w podcentrali Zachód, zajmującej się rozpoznaniem wojskowym, gospodarczym i komunikacyjnym Niemiec. Ze względu na zagrożenie aresztowaniem przez gestapo Irena i jej mąż musieli ukrywać się pod różnymi adresami. Po utworzeniu Narodowych Sił Zbrojnych we wrześniu 1942 r. Jerzy został szefem wydziału finansowego Dowództwa NSZ, a Irena współorganizowała wywiad.

UCIECZKA Z MAJDANKA

7 października 1942 r. Irena Iłłakowicz została aresztowana w Warszawie i trafiła na Pawiak. Posiadała ogromną wiedzę, dlatego była cennym więźniem. Miała możliwość zażycia trucizny, jednak zrezygnowała. Była pewna, że mimo brutalnych przesłuchań nikogo nie wyda. W tym czasie było już organizowane jej uwolnienie. Przekupiony strażnik umieścił Irenę w transporcie do Majdanka. Dwa miesiące później, w marcu 1943 r., miała miejsce brawurowa akcja podziemia. Kilku chłopców z NSZ z Pomorza, biegle mówiących po niemiecku i przebranych w mundury gestapo, podjechało skradzionym samochodem pod bramę obozu. Pokazali sfałszowany dokument, według którego Irena znalazła się na Majdanku przez pomyłkę. Po zruganiu zdezorientowanego personelu zabrali więźniarkę i odjechali.

Po kilku tygodniach odpoczynku i rekonwalescencji Irena wróciła do Warszawy i wznowiła działalność wywiadowczą pod nowym nazwiskiem. Została jednak przesunięta z działalności na odcinku zachodnim na rzecz wschodniego. Działała odtąd przeciwko sowieckiej agenturze i rozpracowywała komórki PPR.

TAJEMNICZA ŚMIERĆ

Irena Iłłakowicz miała zostać przerzucona na Zachód do Londynu jako kurierka NSZ. Miała nawet spakowaną walizkę, a wyjazd zaplanowano na połowę października 1943 r. W międzyczasie kontynuowała pracę w wywiadzie. „Powiedziała mi, że pracuje nad zniszczeniem komunistycznej radiostacji, która znajduje się w pobliżu Warszawy i że liczy na pomoc pewnego Niemca, oficera Abwehry (wywiadu wojskowego) o mocno antyhitlerowskich poglądach" – napisał w swoich wspomnieniach Jerzy Iłłakowicz. Radiostacja mieściła się w Otwocku i służyła do kontaktów z Moskwą przy przejmowaniu sowieckich spadochroniarzy zrzucanych na teren Polski.

Wieczorem 4 października 1943 r. otrzymała telefon, po którym wyszła z mieszkania. Zadzwoniła jeszcze do męża, żeby dać mu do zrozumienia, że jest na tropie radiostacji. Gdy nie wróciła do domu, Jerzy natychmiast rozpoczął poszukiwania. Jej ciało zostało odnalezione w kostnicy szpitala przy ul. Oczki w Warszawie. Irena Iłłakowicz została zamordowana strzałem w tył głowy w okolicy Pola Mokotowskiego. Do dziś nie wiadomo, kto stoi za zabójstwem. Według jednej wersji, agentki pozbyli się Niemcy, najbardziej prawdopodobna wydaje się jednak zemsta komórki wywiadowczej PPR. Za spust miał pociągnąć członek jednej z bojówek GL, a telefon, który Irena Iłłakowicz odebrała przed wyjściem z domu, miał być prowokacją mającą na celu wywabienie jej.

9 października 1943 r. pochowano ją na cmentarzu Powązkowskim w Warszawie pod przybranym nazwiskiem Barbara Zawisza. Żeby być na pogrzebie żony, Jerzy musiał przebrać się za grabarza, matka Ireny udawała zaś kobietę z obsługi cmentarnej. Dopiero w 1948 r. na tabliczce nagrobnej pojawiło się prawdziwe nazwisko.

ZAWODOWA KURIERKA

Felicja Wolff urodziła się 5 listopada 1895 r. w Smogorzowie na Kielecczyźnie. Ukończyła szkołę powszechną i seminarium nauczycielskie we Lwowie. Już w latach szkolnych zaangażowała się w działalność niepodległościową. Była drużynową harcerek, a w latach 1912–1914 także kurierką Skonfederowanych Polskich Organizacji Niepodległościowych. Podczas I wojny światowej pełniła tę funkcję w ramach I Brygady Legionów i POW jako „Magda" i „Ela". Wielokrotnie przekraczała linię frontu. We Lwowie brała także udział w wykradaniu legionistów z niewoli rosyjskiej i kolportażu niepodległościowej prasy. Równocześnie pracowała jako nauczycielka na Lubelszczyźnie.

Felicja Wolff

W listopadzie 1918 r. przedostała się przez ukraińskie pozycje do Lwowa i wzięła udział w jego obronie. Została wtedy kurierką Michała Tokarzewskiego-Karaszewicza, który 8 grudnia 1918 r. wysłał ją do Krakowa z raportem dla naczelnego wodza. W latach 1918–1921 pracowała w szpitalach polowych jako siostra PCK. Uczestniczyła także w akcji plebiscytowej na Śląsku Cieszyńskim w 1919 r., w wojnie polsko-bolszewickiej jako dowódca polowego plutonu sanitarnego i walczyła z epidemiami wśród ludności cywilnej na Kresach Wschodnich. Po zakończeniu walk wróciła do zawodu nauczycielki.

MIĘDZY DWIEMA OKUPACJAMI

Od marca 1939 r. Felicja Wolff pracowała w Pogotowiu Harcerek, a w trakcie kampanii wrześniowej w szpitalach wojskowych. Od początku października 1939 r.

Fot. IPN

była kurierką w Służbie Zwycięstwu Polski. Zorganizowała szlak przerzutowy na teren okupacji sowieckiej na linii Warszawa–Małkinia–Białystok. Kursowała też do Lwowa, skąd w listopadzie 1939 r. została wysłana do będącego pod władzą litewską Wilna. Ustaliła z tamtejszymi strukturami konspiracyjnymi granice obszarów i zasady łączności. Pod koniec roku, gdy przez Białystok wracała do Warszawy z Edwardem Zürnem „Jackiem", emisariuszem Głównej Kwatery Harcerzy, wpadła w ręce sowieckich pograniczników. Po kilku dniach przesłuchań oboje zostali zwolnieni.

Na początku 1940 r. Felicja Wolff badała okoliczności aresztowania przez Sowietów gen. Tokarzewskiego-Karaszewicza. W kwietniu 1940 r. pilotowała przeprowadzenie do Lwowa ppłk. Stanisława Pstrokońskiego „Łozińskiego", który miał uporządkować sprawy tamtejszej konspiracji. „Ela" niestrudzenie transportowała ważne materiały podziemne, mimo że była intensywnie poszukiwana przez NKWD. 15 maja 1940 r. została aresztowana po przekroczeniu granicy w okolicy Rawy Ruskiej. Zdążyła zniszczyć przewożone dokumenty konspiracyjne, dzięki czemu jej nie rozpoznano. 25 stycznia 1941 r. została skazana w Kijowie na osiem lat łagrów jako Maria Zawadzka.

W SŁUŻBIE U ANDERSA

Pod koniec października 1941 r. opuściła obóz w Kazachstanie na mocy umowy Sikorski–Majski. Wstąpiła do tworzącej się armii gen. Władysława Andersa. Była komendantką plutonu sanitarnego w 6. Lwowskiej Dywizji Piechoty, organizowała opiekę nad wycieńczonymi niewolą żołnierzami i cywilami. Kierowała także referatem Pomocniczej Służby Kobiet. Przeszła cały szlak bojowy 2. Korpusu Polskiego, uczestnicząc m.in. w bitwie o Monte Cassino. Bardzo wielu rannych żołnierzy zapamiętało pełną poświęcenia „ciocię Elę", która oddawała swoim podopiecznym, co tylko miała.

Po wojnie podjęła się kolejnej służby kurierskiej, tym razem z ramienia sieci wywiadowczej 2. Korpusu działającej pod nazwą Biuro Planowania i kierowanej przez płk. Franciszka Demela. Felicja Wolff wielokrotnie przekradała się do kraju przez tzw. zieloną granicę. Po każdym powrocie na Zachód składała obszerne relacje z sytuacji w Polsce. Przez długi czas dzięki niej wywiad 2. Korpusu był w stanie utrzymywać łączność ze strukturami krajowymi organizowanymi przez rtm. Witolda Pileckiego. Sama była zaangażowana w pozyskiwanie kolejnych wywiadowców i kurierów. Przewoziła fundusze dla rodzin aresztowanych AK-owców i pomagała zagrożonym uciec na Zachód.

Nieznane są wszystkie misje Felicji Wolff. Prawdopodobnie pierwszy raz przybyła do kraju latem 1945 r. przez Węgry. Później częściej korzystała ze szlaku przez Wiedeń i Bratysławę do granicy czechosłowacko-polskiej, którą przekraczała koło Trzyńca. Do Polski udała się na pewno w drugiej połowie grudnia 1945 r. i wróciła do Włoch w maju 1946 r. Jej kolejna misja trwała od października 1946 r. do kwietnia 1947 r. Wówczas dotarła do Polski drogą morską z transportem repatriacyjnym. Na początku listopada 1947 r. jechała przez Bawarię i Czechy. W drodze powrotnej prowadzona przez przemytników przez sowiecką strefę okupacyjną w Niemczech doszła do Monachium. W marcu 1948 r. znów była w Polsce, a w nocy z 1 na 2 maja przekradła się do francuskiej strefy okupacyjnej w Berlinie.

ANNA NEUMAN

Podczas kolejnego przejścia na początku 1949 r. musiała zrezygnować z trasy przez Niemcy i ruszyć przez Czechosłowację. W lutym 1949 r. została aresztowana razem z czeskim przewodnikiem, a w lipcu przekazana UB. Resortowi nie udało się ustalić prawdziwej tożsamości Felicji Wolff. Pod koniec października 1949 r. została wypuszczona na wolność. Posiadała wówczas dokumenty na nazwisko Anna Neuman i taką tożsamość podawała do końca życia. Zamieszkała jako służąca u wdowy katyńskiej Marii Bauer w Warszawie i od razu wznowiła pracę konspiracyjną. Nawiązała kontakt z ukrywającym się w Polsce wybitnym piłsudczykiem Henrykiem Józewskim i krajowym środowiskiem teozofów.

Pod koniec listopada 1949 r. MBP otrzymało szczegółowe informacje o Felicji Wolff od aresztowanych kurierów Biura Planowania. Ustalili m.in. jej przeszłość wojenną i aktualnie używane nazwisko. Jesienią 1950 r. bezpieka znała już jej miejsce zamieszkania, a w styczniu i lutym 1951 r. poddawała ją intensywnej obserwacji. Wolff została zatrzymana w nocy z 6 na 7 czerwca 1951 r. podczas próby przekroczenia zielonej granicy z Haliną Budną, byłą pracowniczką Komórki Łączności z Zagranicą Komendy Głównej WiN. Śledczym ponownie nie udało się jej złamać. Nie przyznawała się do swojej prawdziwej tożsamości i odrzucała każde, nawet najbardziej oczywiste dowody przedstawiane jej w areszcie.

3 marca 1953 r. Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie pod przewodnictwem Stefana Michnika skazał Felicję Wolff na karę śmierci. 18 sierpnia Rada Państwa zamieniła wyrok na dożywotnie pozbawienie wolności. Nawet wówczas kurierka odmówiła podpisania protokołu przedstawionego jej dokumentu, stwierdzając, że nie nazywa się Wolff.

Wyrok odsiadywała w więzieniach w Warszawie, Inowrocławiu i Bydgoszczy. Opiekowała się innymi więźniarkami i była wzorem godnego zachowania. 22 lutego 1957 r. została zwolniona na roczną przerwę. Do więzienia już nie wróciła. Po rewizji prezesa NSW i amnestii w lutym 1958 r. została warunkowo zwolniona z odbywania reszty kary.

W SŁUŻBIE DO KOŃCA

Pozbawiona zarobku i mieszkania otrzymała pomoc od dawnych koleżanek z więzienia. Następnie podjęła pracę w Państwowym Liceum Sztuk Plastycznych w Warszawie i zaczęła uczyć na kursach dla dorosłych. Oprócz tego opiekowała się chorymi w warszawskich szpitalach. Wspierała także Polaków rozrzuconych po świecie, przede wszystkim w Kazachstanie, przesyłając im m.in. polskie książki i prasę. Podczas stanu wojennego ponad 80-letnia Felicja Wolff udostępniała swoje mieszkanie jako schronienie dla ukrywających się, punkt kontaktowy i magazyn podziemnych wydawnictw. Zmarła 2 października 1988 r. w Warszawie.

Irena Iłłakowicz i Felicja Wolff działały w różnych organizacjach, a ich losy potoczyły się zupełnie inaczej. Obie jednak poświęciły swoje życie w służbie Polsce.

Autopromocja

Nowy portal informacyjny telewizji

wPolsce 24

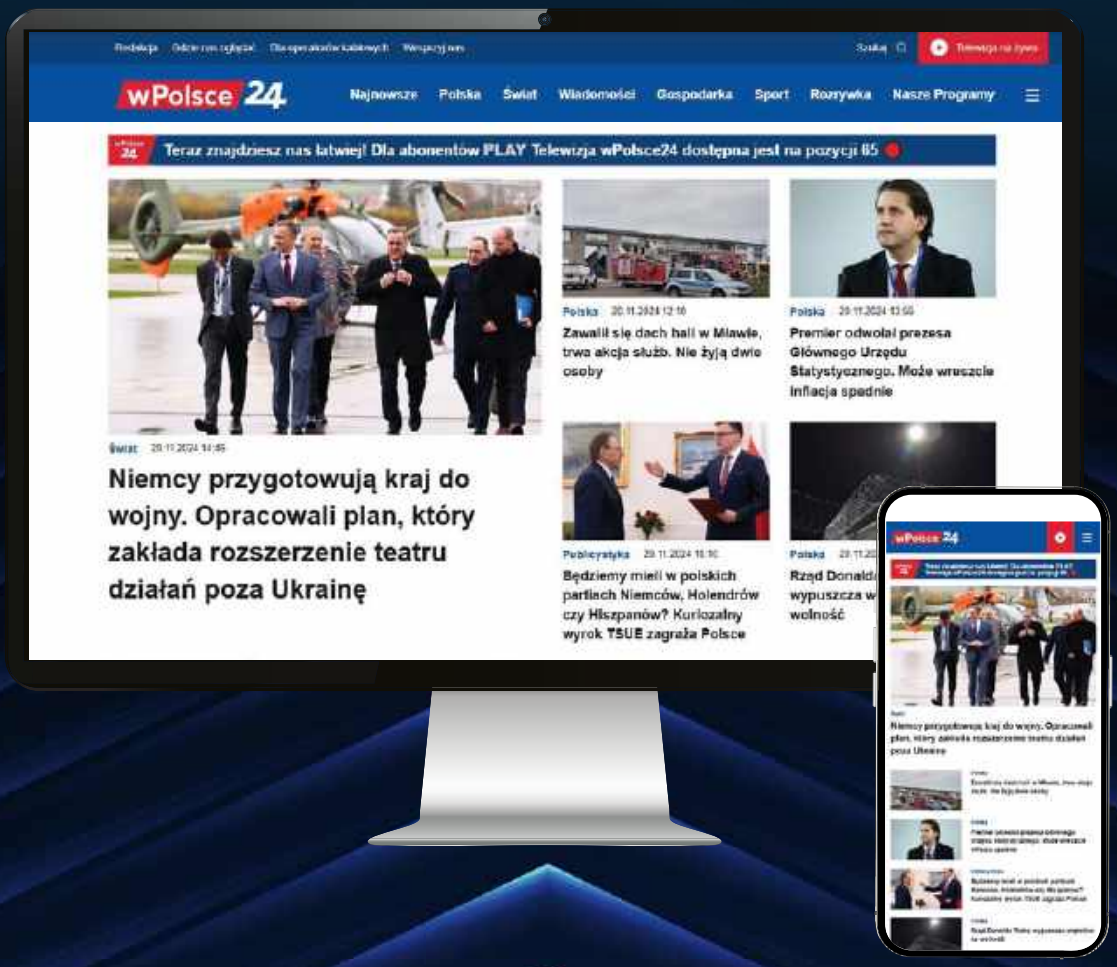

Najnowsze wiadomości z kraju i ze świata >> gospodarka >> sport >> rozrywka >> publicystyka >> **treści video**

www.wpolsce24.tv

eprasa.pl 6db4984789

Te zwierzęta jako pierwsze ujrzały Jezusa

Dlaczego warto dobrze przyjrzeć się owcom w stajence? Bo to jedyne zwierzęta wymienione przez ewangelistów w opisie sceny narodzenia

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Wół i osioł, tak kojarzące się z Bożym Narodzeniem za sprawą obrazów dawnych mistrzów, są figurami starotestamentowymi. Pisze o nich m.in. Izajasz: „Poznał wół pana swego" (Iz 1,3), antycypując okoliczności przyjścia Zbawiciela na świat. W Nowym Testamencie nie ma natomiast ani słowa o wołu ani ośle. Jest mowa o owcach, choć nie do końca wprost: „W tej samej okolicy przebywali w polu pasterze i trzymali straż nocną nad swoją trzodą" (Łk 2,8).

Greckie słowo ποίμνη („poimne") występuje w Nowym Testamencie zaledwie kilka razy. Jest różnie tłumaczone. U Jana w przypowieści o Dobrym Pasterzu jako „owczarnia", u Mateusza jako „stado" („rozproszą się owce stada"), a w liście do Koryntian jako „trzoda": „czy pasie ktoś trzodę, a nie posila się jej mlekiem".

Łukasz, gdy opisuje okoliczności narodzin Jezusa, też używa greckiego słowa ποίμνην. Zostało ono przetłumaczone jako „trzoda" („trzymali straż nocną nad swoją trzodą"). W języku polskim brakuje jednoznaczności co do gatunku zwierząt tworzących trzodę. Mogą to być krowy, owce lub kozy. U ewangelisty mamy więc informację, że w najważniejszym momencie historii zbawienia były obecne zwierzęta. Poprzez analogię do przytoczonych fragmentów, w których użyto tego rzeczownika w kontekście „owczym", można się domyślić, że chodzi o te właśnie przeżuwacze.

Ten językoznawczy wstęp jest ważny dla ustaleń zoologicznych. Wraz z pasterzami do stajenki podążyły nie kozy czy bydło, lecz owce domowe (*Ovis aries*). Tak zresztą jest to zinterpretowane w europejskiej ikonografii: sztafażem dla sceny Bożego Narodzenia, jak zaznaczono powyżej, często są owce.

Dlaczego w Ziemi Świętej hodowano właśnie owce? Od kiedy dzicy przedstawiciele podrodziny antylop zaczęli współegzystować z *Homo sapiens*? Czy ta współpraca od początku była łatwa? Jak przebiegała domestykacja (udomowienie) owiec i dlaczego właśnie te zwierzęta jako pierwsze ujrzały Jezusa?

UDOMOWIONE MUFLONY

Z zoologicznego punktu widzenia owca domowa to udomowiony muflon. Nie jest pewne, od którego konkretnie gatunku muflona pochodzi, ponieważ, jak bywa w sięgającej wiele tysięcy lat wstecz historii zwierząt domowych, hipotez jest więcej.

Na świecie jest kilka gatunków dzikich muflonów. W naszym rejonie żyje muflon europejski (*Ovis aries musimon*), nazywany też śródziemnomorskim, często uważany za gatunek rodzimy dla Korsyki i Sardynii. Z tych wysp muflon został przeniesiony w różne części Europy. Również u nas żyje niewielka populacja tych zwierząt (zaznaczmy, jak zawsze, że introdukcje gatunków są ryzykowne, w wielu przypadkach groźne dla ekosystemu, a ewentualne podejmowanie takich działań wymaga wielkiej rozwagi i co najmniej dziesięciokrotnego przemyślenia).

Fot. Shutterstock

Zgłębiając nieco temat muflona europejskiego, trzeba zaznaczyć, że niektórzy zoolodzy uważają, iż na Korsyce i Sardynii pojawił się on dawno temu za sprawą człowieka. Nie byłby wówczas dzikim, odrębnym gatunkiem, lecz wtórnie zdziczałą owcą domową.

W każdym razie raczej to nie muflony europejskie są pierwotnymi przodkami owiec domowych, lecz kilka różnych gatunków muflonów azjatyckich. Geny muflona europejskiego obecne u niektórych owiec domowych mogły się pojawić podczas późniejszego krzyżowania, ich obecność nie dziwi też w świetle hipotezy, że muflon ten mógłby być zdziczałą owcą.

Do udomowienia mogło dojść ok. 10 tys. lat p.n.e. w obszarze bliskowschodniego Żyznego Półksiężyca, miejsca narodzin dawnych cywilizacji i rolnictwa. Drugim, równoległym czasowo lub późniejszym rejonem udomowienia mogła być także centralna Azja.

Obecnie na podstawie analiz DNA wyróżnia się trzy linie owiec domowych. Każda pochodzi zapewne od innego dzikiego, azjatyckiego gatunku muflona.

Typ A to owce azjatyckie, typ B – europejskie, a typ C – współczesne owce tureckie i chińskie (co ciekawe, najdawniejsze owce chińskie należały do linii europejskiej i trafiły do Chin 5 tys. lat p.n.e., a następnie zostały zastąpione przez udomowienie innego gatunku).

Badania najdawniejszej historii udomowienia są tym trudniejsze, że kości owiec są bardzo podobne do kości kóz i niejednokrotnie nie można stwierdzić, czy mamy do czynienia z owcą, czy kozą. Zresztą również i dziś wśród dzikich gatunków systematyka niekiedy ma problem, czy dany gatunek należy do owiec, czy do kóz.

SKĄD OWCE W STAJENCE?

Jeżeli spojrzy się na historię owiec, ich obecność w Ziemi Świętej jest oczywista, ponieważ właśnie w tym rejonie doszło do ich udomowienia. Owce mają większą zdolność radzenia sobie w suchym i gorącym klimacie oraz mają znacznie mniejsze wymagania odnośnie do pożywienia i wody niż bydło, stąd są odpowiednimi zwierzętami do hodowli na Bliskim Wschodzie.

Pośród różnych odmian z czasem pojawiły się owce, którym odpowiada chłodniejszy, wilgotny klimat Wysp Brytyjskich, a także takie, które pasą się na górskich halach albo na kserotermicznych murawach bardziej na północ położonych części Europy – do tych ostatnich należy np. wyhodowana w Polsce owca olkuska, która bywa wypasana właśnie na takich łąkach, przyczyniając się do utrzymania ich bogactwa florystycznego znacznie skuteczniej i bardziej naturalnie niż koszenie przez człowieka.

Owce są mało wymagające, a przy tym dostarczają mleko, wełnę, skóry, tłuszcz i mięso. Zastosowanie, niekiedy oryginalne, mają również owcze rogi. Dowiadujemy się o tym, czytając opis zdobycia Jerycha: „Siedmiu kapłanów niech niesie przed arką siedem trąb z rogów baranich. Siódmego dnia okrążycie miasto siedmiokrotnie, a kapłani zagrają na trąbach. Gdy więc zabrzmi przeciągle róg barani i usłyszycie głos trąby, niech cały lud wzniesie gromki okrzyk wojenny, a mur miasta rozpadnie się na miejscu i lud wkroczy, każdy przed siebie" (Joz 6, 4–5).

Do tego wszystkiego dochodzą względy religijne klasyfikujące owce jako zwierzęta czyste, mogące być pożywieniem dla ludzi, co dodatkowo ugruntowało ich pozycję pośród inwentarza bliskowschodniego rejonu świata.

Ewangelie nie poruszają tematu, które zwierzęta gospodarskie znajdowały się w stajence, w której przyszedł na świat Jezus. Wiemy, że Maryja „porodziła swego pierworodnego syna, owinęła go w pieluszki i położyła w żłobie, gdyż nie było dla nich miejsca w gospodzie" (Łk 2,7). Wiemy też, że nieopodal znajdowała grupa

pasterzy. Analiza tekstów biblijnych pod kątem gatunków zwierząt towarzyszących bożonarodzeniowym scenom przynosi zaskakujące rezultaty. Negatywnie weryfikuje bowiem tezę ugruntowaną przez obyczaj, że Jezus urodził się w zimie. To nie mogła być ta pora roku, gdyż wówczas pasterze nie wychodzili na pole ze swymi owcami, lecz trzymali je przy domach, w owczarniach, i tam zapewniali im paszę. Informacja, że „przebywali w polu pasterze i trzymali straż nocną nad swoją trzodą" wskazuje na wszystkie pory roku, z wyjątkiem zimy.

Wędrowanie ze stadami po okolicy w poszukiwaniu najlepszych pastwisk, pilnowanie owiec nocą przed dzikimi zwierzętami, odnajdywanie zbłąkanych sztuk czy prowadzenie stada nad strumienie to zajęcia odbywające się od wczesnej wiosny do późnej jesieni. W zimie owce przebywały w stałych owczarniach, niewysokich, kamiennych budynkach okolonych ciernistymi płotami. O takiej zabudowie mówił Jezus: „Kto nie wchodzi do owczarni przez bramę, ale wdziera się inną drogą, ten jest złodziejem i rozbójnikiem. Kto jednak wchodzi przez bramę, jest pasterzem owiec" (J 10,1–2).

Pasterzom i owcom ukazały się owej nocy anioły, zastępy niebieskie, chwała Pańska i jasność. Anioł przekonywał ich, aby się jednak nie bali i obwieścił im nowinę o narodzinach Zbawiciela. Po krótkiej naradzie, gdy zakończył się już fenomen na niebie, pasterze zdecydowali się wybrać do miejsca określonego w obwieszczeniu anioła jako „miasto Dawida". Dobrze wiedzieli, że chodzi o Betlejem. Z pewnością nie czekali do rana, mowa bowiem o tym, że „udali się też z pośpiechem" (Łk 2, 16).

Ewangelia nie informuje nas, czy idąc do stajenki, aby spotkać Maryję, Józefa i niemowlę leżące w żłobie, zabrali ze sobą owce. Mało jednak możliwe, aby zostawili je same na łąkach porastających wzgórza wokół Betlejem. Umiejętność kierowania stadem, pewnego rodzaju mobilność i sprawność w przemieszczaniu się z dużą grupą zwierząt to cecha charakteryzująca bliskowschodnich pasterzy. Byli oni mistrzami w opiece nad stadem. Zebranie owiec i wyruszenie z nimi w niedługi marsz do znajdującej się nieopodal stajenki nie stanowiło dla nich problemu. Lepiej było zrobić tak, niż zostawić łagodnych trawożerców na pastwę dzikich zwierząt: szakali, wilków i lampartów. W ten sposób, pozornie przypadkowo, pierwsze ziemskie akty wcielenia odbywały się w asyście owiec.

Pozostaje odpowiedzieć na pytanie, dlaczego właśnie te zwierzęta jako pierwsze ujrzały Jezusa. W społeczeństwie agrarnym starożytnego Izraela tak samo jak w całym świecie grecko-rzymskim pasterstwo było powszechnym i istotnym aspektem codziennego życia. Tak pisze o tym zjawisku Fred Wight, autor książki „Obyczaje krajów biblijnych": „Od czasów Abrahama w Ziemi Świętej masowo hoduje się owce. Przez wieki ta gałąź hodowli była głównym źródłem utrzymania Arabów palestyńskich. Izraelici czasów biblijnych najpierw parali się wyłącznie pasterstwem, a potem także rolnictwem, jednak nigdy całkowicie nie porzucili hodowli. Liczbę owiec w tym kraju można sobie uświadomić, zważywszy, iż o Hiobie mówi się, że miał czternaście tysięcy owiec (Hi 42,12), a król Salomon podczas poświęcenia świątyni miał złożyć w ofierze sto dwadzieścia tysięcy owiec (1 Krl 8,63)".

Pasterze byli odpowiedzialni za opiekę, przewodnictwo i ochronę swoich stad. Ten obraz był głęboko zakorzeniony w świadomości kulturowej i religijnej ludzi, co czyni go potężną metaforą duchowego przywództwa i wspólnoty. Koncepcja Boga jako pasterza i jego ludu jako jego owczarni jest tematem powracającym w całej Biblii, odzwierciedlającym opiekuńczą relację między Bogiem a jego wyznawcami. W tym kontekście wydaje się oczywiste, że to owce stanowiły asystę przy nowo narodzonym.

> Analiza tekstów biblijnych pod kątem gatunków zwierząt towarzyszących bożonarodzeniowym scenom przynosi zaskakujące rezultaty. Negatywnie weryfikuje bowiem tezę ugruntowaną przez obyczaj, że Jezus urodził się w zimie. To nie mogła być ta pora roku

ZBAWIENNY INSTYNKT

Owce mają również inne bardzo istotne cechy umożliwiające współegzystencję z ludźmi w charakterze użytecznych zwierząt gospodarskich. Ich instynkt stadny jest wyjątkowo silny. Widać to podczas pasienia: jeżeli jedna owca zaczyna skubać trawę, obok niej od razu pojawiają się inne, wyskubując sobie źdźbła spod pyska, nawet jeżeli dookoła jest w bród pożywienia. Chętnie podążają zdyscyplinowaną grupą za pasterzem – przywódcą, który dzięki temu łatwo może sam, ewentualnie z pomocą psów, prowadzić stado liczące nawet 1 tys. zwierząt. Samotnie czują się źle, stresują się i nawołują, żeby odnaleźć towarzyszki – to m.in. dzięki temu pasterz może odnaleźć zagubione owce. Tak naprawdę nie chcą one bowiem uciekać, lecz zgodnie ze swoją naturą powrócić do stada.

A w czasie Bożego Narodzenia, pamiętając przede wszystkim o metaforycznej roli owiec, słuchajmy słów psalmu, bo są skierowane właśnie do nas:

„Wejdźcie, padnijmy na twarze,
uwielbiajmy,
zegnijmy kolana przed Panem,
który nas stworzył.
Albowiem On jest naszym Bogiem,
a my ludem z Jego pastwiska
i owcami w jego ręku" (Ps 95, 6–9).

Rybna wieczerza

Nie barszcz, nie grzybowa – tylko zupa rybna! I nie tylko karp czy śledź. Dawniej wybór zależał od wyobraźni gospodarza

Boże Narodzenie to jedyny czas w roku, kiedy na stołach królują ryby. Zwykle są to śledzie i karpie, czasem na stole ląduje łosoś. Wyrabiamy wtedy mniej więcej połowę normy, bo rocznie zjadamy zaledwie ok. 12 ryb, w ostatnich latach 14 kg. Bardzo mało, zupełnie jakbyśmy zapomnieli o naszej tradycji.

W dawnych czasach polska kuchnia słynęła z ryb. Dania były wymyślne, żeby zaspokoić gusta nieustannie poszczących obywateli. Przy czym zakaz nie dotyczył tylko mięsa, lecz także jaj, masła, mleka czy sera. W nadrzecznych miastach istniały bractwa rybackie zwane konfraterniami. Członkowie cechu warszawskiego zawsze spotykali się w dniu św. Barbary w kościele Panny Marii na Nowym Mieście, a potem bracia rozdawali ubogim ryby.

Ślady tej rybnej obfitości widać w najstarszej polskiej XVII-wiecznej książce kucharskiej „Compendium Ferculorum albo zebranie potraw", której autorem jest Stanisław Czerniecki, żołnierz, sekretarz królewski i nadworny kuchmistrz wojewody Aleksandra Michała Lubomirskiego. Rybne dania zajmują jedną trzecią dzieła. Podawano „łososie gdańskie i dunajeckie, jesiotry, pstrągi, czeczugi, brzany, śliże, lipienie, certy, głowacze, węgorze, rzeczne ryby różne, wyzina, śledzie, kawior wenecki, kawior turecki, śledzie dunajskie, perki, flądry, platajki, szczuki, karpie dunajskie, karpie ćwiki, karpie półmiskowe, okonie, karasie, leszcze, liny, sztokfisz, dorsz, pomuchle, amernice, ostrygi, żółwie, ślimaki i raki". Wszystko to przyprawione na ówczesną modłę, czyli skąpane w soku z limonek, słodkie

od rodzynek, daktyli i innych bakalii i oczywiście na ostro, w pieprzu, imbirze, cynamonie, szafranie, gałce muszkatołowej. Dziś trudno byłoby zjeść takie sarmackie frykasy, ale w czasach gdy zamorskie przyprawy świadczyły o zamożności gospodarzy, takie smaki były modne, a do XIX w. księga doczekała się 20 wydań.

Niezwykle cenione były zwłaszcza szczuki, czyli szczupaki. Przyrządzane oczywiście po polsku, czyli tak, że trudno było wyczuć smak samej ryby. Nie mogło też zabraknąć sandacza, często serwowanego z rakami albo gotowanego w wywarze z jarzyn i podawanego z siekanymi jajami na twardo oraz nacią pietruszki. Na stół wjeżdżały liny – pieczone w śmietanie lub smażone na maśle z kapustą i grzybami na kwaśno lub tartym chrzanem. Z węgorza gotowano bulion – wybitnie pyszną, pachnącą zupę.

Historyk Jarosław Dumanowski pisze, że dzisiejsze tradycyjne wigilie są jedną z niewielu pozostałości po staropolskiej kuchni. Daleko im jednak do Wigilii króla Jana III z 1695 r., kiedy na stole pojawiły się m.in.: misa łososi, dwie misy i dodatkowo siedem półmisków karpi, dziewięć półmisków szczupaków. Do tego podano misę okoni, dwie misy leszczy, pięć mis szczególnie smacznych linów, dwie misy „słonych ryb", misę sztokfiszu (suszonego dorsza), trzy misy czeczug i dwie misy śledzi.

I chociaż w wigilijnej konkurencji raczej nie wygramy z przodkami, przynajmniej tymi bardziej majętnymi, postarajmy się przygotować jak najwięcej różnych ryb, nie tylko karpi. Gdy brakuje mi pomysłów, zawsze sięgam po „Polskie tradycje świąteczne" Hanny Szymanderskiej, a ostatnio także wpadła mi w ręce genialna książka „Kuchnia Biblijna". 110 przepisów z czasów Jezusa zebrali René Husson oraz Nathalie i Philippe Galmiche. Znajdziecie tu także kilka ciekawych pomysłów – co prawda kupienie piotrosza czy paszczaka graniczy u nas z cudem, ale prosty przepis na pieczone sardynki z tymiankiem czy doradę z czarnymi oliwkami jak najbardziej warto wypróbować.

Anna Monicka

Fot. Shutterstock, Freepik

Gęsta zupa rybna

Ugotuj bulion warzywny z dużego pora, selera, 2–3 pietruszek, cebuli, 3 ząbków czosnku, listka bobkowego, ziela angielskiego oraz kilku kulek pieprzu. Weź po pół kilograma różnych gatunków ryb, np. zestaw z miruny, sandacza i łososia, ale mogą być inne, jak dorsz, morszczuk, okonie, i pokrój na kawałki, usuwając ości. Usmaż je na klarowanym maśle i przełóż na talerz, a na tłuszcz wrzuć startą marchewkę, pietruszkę, pokrojony cieniutko por, poszatkowane żółtą i czerwoną paprykę. Podsmaż wszystko kilka minut. Wyjmij gotowane warzywa z wywaru i zmiksuj, a do garnka przełóż usmażoną rybę i podsmażone warzywa. Zapraw przecierem pomidorowym, dorzuć garść kaparów, 2–3 pokrojone w plasterki nieduże i twarde ogórki kwaszone, wlej zmiksowane na mus warzywa. Na koniec posól i ewentualnie dopraw pieprzem. Podawaj z dużą ilością kopru lub natki pietruszki i kilkoma kroplami głęboko pachnącego oleju sezamowego.

Rosół z węgorza

Ugotuj wywar z przesmażonych wcześniej na maśle klarowanym białych warzyw startych na grubej tarce, najwięcej powinno być pietruszki. Gdy dobrze naciągnie, ostrożnie włóż do wrzątku pokrojonego w plastry grubości palca węgorza bez skóry i skręć gaz, żeby zupa gotowała się delikatnie, a nie bałwaniła, bo ryba się rozpadnie. Gdy minie 30 min, delikatnie wyjmij rybę na talerz, a rosół przecedź. Jeśli nie chcesz, żeby był tłusty, wystudź go, wstaw do lodówki, a potem zbierz z wierzchu skrzepnięte oczka. Dopraw solą i pieprzem, na każdym talerzu ułóż po kawałku węgorza i zalej bulionem. Zupę można jeść z kluseczkami albo z kostkami kaszy krakowskiej (trzeba ją ugotować na gęsto, wylać do płaskiego naczynia i odstawić na noc w chłodne miejsce, a potem pokroić). Koniecznie dodaj dużo koperku.

Klopsiki rybne

Kup filety z dorsza lub mintaja i przekręć dwa razy przez maszynkę razem z surową cebulą. Dopraw solą, pieprzem, odrobiną cukru, wbij 2–3 jajka na kilogram masy rybnej oraz dołóż wymoczoną w mleku odciśniętą kajzerkę. Dobrze wymieszaj. Możesz gotować na dwa sposoby – albo uformować klopsiki wielkości mandarynek, albo utoczyć z farszu wałek, owinąć go gazą i ułożyć w płaskim, podłużnym garnku (ten wariant jest bardziej skomplikowany, my zazwyczaj kręcimy kulki). Gotuj w osolonej i ocukrzonej wodzie na małym ogniu, żeby danie się nie rozleciało. Klopsiki wyłów i ostudź. Przekrój na połówki, ułóż je na półmisku, udekoruj groszkiem, marchewką pokrojoną w talarki i zalej galaretą. Zrób ją według przepisu na opakowaniu z żelatyny, używając smaku, w którym gotowały się klopsiki, tylko dokładnie go przecedź przez gęste sito wyłożone gazą. Podawaj z chrzanem.

Marynowany szczupak, węgorz, okoń

Dobra będzie ryba, która ma zwięzłe mięso. Spraw ją, pokroj i ugotuj w dużej ilości włoszczyzny (z przewagą pietruszki i cebuli) z listkiem i zielem bobkowym. Zrób to ostrożnie, żeby się nie rozleciała, wyjmij, odcedź i przełóż do słoja. Przelej smak przez sito, dopraw solą, odrobiną cukru oraz octem (proporcje zależą od indywidualnego gustu, u nas w domu jest to szklanka octu na 3 szklanki wywaru). Zalej, zakręć słoiki i zapasteryzuj, jeśli mają trochę postać. U mnie w domu robiło się takie zapasy w czasie wakacji; tata łowił ryby, mama je marynowała, a na Wigilię była uczta.

Bratheringi

Kawałki filetów (nadają się różne ryby: może być dorsz, mintaj, śledź) posól, zamocz w rozkłóconym jajku i obtocz w tartej bułce, a potem usmaż na oleju i przełóż do słoja. Zrób zalewę – szklanka octu na 3 szklanki wody, dodaj dużo poszatkowanej cebuli (cieszy się nie mniejszym powodzeniem niż rybki), ziele i listek do smaku, zagotuj, przestudź i zalej rybę. Po kilku dniach, gdy się przegryzie, można jeść. Najlepiej zrobić tydzień przed świętami. Można podawać z pieczywem albo z ziemniakami jako danie obiadowe.

Słodki śledzik

Kup kilogram (lub więcej, bo słodki śledzik jest bardzo smaczny i delikatny) porządnych filetów śledziowych z beczki, wymocz je w zimnej wodzie przez trzy godziny. W międzyczasie zrób zalewę – 2 szklanki cukru rozpuść w litrze wody, dodaj 4–5 listków bobkowych, po kilka kulek ziela angielskiego i białego pieprzu. Zagotuj i zdejmij z ognia. Wsyp poszatkowane na cienkie plasterki 4 średniej wielkości marchewki i 2 cukrowe cebule, ostudź. Dopiero teraz dodaj ocet – ¼ litra. Jeśli dodasz więcej marchewki i cebuli (a warto), możesz też dolać jeszcze odrobinę octu. Wymoczone i osuszone filety śledziowe przełóż do marynaty. Odstaw na dwie doby. Podawaj pokrojone, ozdobione cebulą i marchewką z marynaty.

Pieczone sardynki z tymiankiem

Potrzebujesz świeżych, sprawionych rybek, łyżki tymianku, octu winnego, oliwy i gruboziarnistej soli. Do każdej umytej i osuszonej rybki wlej po kilka kropli octu, skrop je z wierzchu oliwą, natrzyj tymiankiem oraz solą i upiecz na grillu lub w dobrze nagrzanym piekarniku, najlepiej z funkcją grilla – 10 min z jednej strony i 5 min z drugiej. Powinny mieć dobrze spieczoną, chrupką skórkę.

Dorada z oliwkami

Zeszklij na oliwie w garnku do zapiekania 2 poszatkowane cukrowe cebule, wlej ½ szklanki ciepłej wody i dodaj ½ szklanki cienko pokrojonych, wydrylowanych oliwek, posól i popieprz. Ułóż 2 kawałki ryby skórą do dołu (albo więcej, ale wtedy dodaj też więcej cebuli i oliwek), przykryj je cebulą i oliwkami, nakryj naczynie i wstaw do nagrzanego do piekarnika 200 st. C. Piecz przez 30 min i od razu podawaj.

Wykorzystałam „Historia polskiego smaku”, Maja i Jan Łozińscy, Wydawnictwo Naukowe PWN
„Kuchnia Biblijna. 110 przepisów z czasów Jezusa”, Nathalie Galimiche, René Husson, Philippe Galmiche, Pustelnia.pl

Cztery lizaki – ballada świąteczna

KRZYSZTOF LOGAN TOMASZEWSKI

Czy to był cud? Tak, coś w tym rodzaju. W tych podłych latach zdarzały się one częściej niż obecnie

Poszedł rano do pracy. W tej samej znoszonej koszuli w prążki, ale wypranej po tysiąckroć i wyprasowanej starannie przez żonę Polę, w szarych spodniach, w tych samych brązowych butach, sznurowadła zawiązał byle jak. Miał na imię Henryk, nosił na karku 37 lat, był tokarzem w zakładach mechanicznych przy Czerniakowskiej. Apolonia wołała na niego Henio. Miała z nim cztery dorodne córki: Rozalię, Marię, Jadwigę i Elżbietę. Matka była pracowita, cierpliwa i wielce pokorna. Świetnie gotowała, zajmowała się domem i małymi dziećmi. Zawsze tyrała na pełnych obrotach. Jak naoliwiona frezarka albo silnik wojskowego myśliwca. Henryk uchodził za mistrza toczenia tulejek do samolotów. Był w tym najlepszy. Mówili o nim, że miał dryg, lecz to było coś więcej – miał talent. Są ludzie, którzy nie posiadają zdolności do niczego. To zwykli wyrobnicy. Istoty, które nie potrafią wznieść się ponad przeciętność. Nie znają się na muzyce czy malarstwie, choć to nie ich wina. Powtarzam do znudzenia: nie każdy rodzi się poetą. I jeszcze drobiazg o Henryku. Kochał motocykl, którym jeździł po okolicznych łąkach i lasach Wołomina. Do domu przynosił część pieniędzy. Jedną trzecią przepijał.

* * *

Czasy, w których żyła ta rodzina, były szczególne. Ruscy jak pijawki wysysali z Polski wszystko, co miało wartość. Wywozili pociągami ze śląskich kopalni węgiel, z hut stal, z PGR-ów kartofle, wołowinę, jabłka, zboże, rzepak – wszystko, co nadawało się do jedzenia i rozwoju gospodarki. Także pościel, opony samochodowe, cement, meble. Za to sprytnie tępili to, co wartościowe. Tożsamość narodu, rdzenną, polską

kulturę. Literaturę, poezję, muzykę, kino. Te mimo cenzury po cichutku się rozwijały, a nawet kwitły. Ale cóż o tym mogli wiedzieć zwyczajni ludzie? Ci żyli, schylając karki niczym ślepcy. Za psi grosz. Byle jak, bez sensu i nadziei.

Jak wiadomo, najłatwiej sterować społeczeństwem, gdy jest zamroczone wódką. A Polacy zawsze pili nałogowo. Lud był niewykształcony, nie znał własnej historii, nie czytał mądrych książek, nie miał ambicji, nie miał pojęcia, czym jest kreacja życia.

Po pracy Henryk szedł z kumplami do knajpy. Tu robotnicy mogli odstresować skołatane serca i pogięte dusze. Tego dnia tęgo popili. To był polski rytuał. Upić się pod kostkę posolonego chleba, wieprzowe nóżki albo małosolny ogórek. Czasem kupowali na spółkę sałatkę śledziową. Po dwóch godzinach, zaprawieni wódką i piwem, rozgrzani alkoholem, z przepalonymi gardłami nikotyną, powracali tramwajem do domu. Ten dzwonił, fałszując przed każdym zakrętem, a robotnicy grzecznie stali gęsiego, ledwo trzymając się na nogach, potulni jak dobrze ułożone psy. Spodziewali się najgorszego. Ich samczy instynkt się sprawdzał. Żony otwierały drzwi, natychmiast odwracając wzrok, dreptały do kuchni. Za pięć minut na stół wjeżdżała pomidorówka z ryżem posypana świeżutkim koprem.

– Nic nie powinieneś dostać – mruczała pod nosem Apolonia, ale stawiała dymiącą pomidorówkę przed Henrykiem, do tego dwie grube pajdy chleba z masłem, bo margaryny, podobnie jak vegety do rosołu, nie uznawała. W jej jadłospisie wszystko musiało być wyborne, świeżutkie. Oddawała swej rodzinie całą duszę. Wszystko, co miała w niej najlepszego.

Minął jeszcze jeden dzień, kolejny tydzień, następny miesiąc. Czas mijał Apolonii na prasowaniu dziewczynkom fartuszków do szkoły, przyrządzaniu kanapek, śniadania dla Henryka, gotowaniu obiadów, sprzątaniu, praniu. Koszule męża zawsze równiutko wieszała na wieszakach w orzechowej szafie. Jego skarpetki układała w szufladzie. Własne dwie sukienczyny na krzyż za koszulami i marynarkami Henia, właśnie w takiej kolejności. On był najważniejszy. Tak jak dziewczynki. Sama już dawno pozbyła się naiwnych marzeń. To, co kiedyś wydawało jej się romantyczne i piękne, wyrzuciła daleko precz. Jak brudny dywan na trzepak. Jak szarą szmatę od podłogi, gdzieś w najodleglejszy ciemny kąt.

Tego dnia, a był to poniedziałek tuż po wypłacie, Henryk znów zapił. Apolonia czekała w oknie. Nadpłynął zimowy zmierzch, zrobiło się jej smętnie na duszy, nawet gorzej – po prostu ogarnęła ją potężna chandra. Gdzieś toczył swe cielsko obcy, daleki świat. Ucichły zabawy dzieciarni przed szkołą przy Słonecznej. Auto jakiegoś partyjnego aparatczyka parkowało w zakolu pomiędzy blokami. Zrobiło się jej cicho, swojsko, melancholijnie na sercu, na pobliskich łąkach skrzeczały żaby.

Około godz. 21.00 usłyszała na schodach kroki męża. Znała tę melodię. Wtedy, gdy zbiegał w dół, dźwięki były radosne, energiczne. Tym razem, gdy mocno pijany co chwila zwalniał na półpiętrach, dobiegały do niej jego ciężkie, ospałe kroki, jakby mąż ciągnął wóz z węglem, jakby za chwilę miał skonać.

* * *

Ostatnimi czasy całkiem posiwiała. Chyba nikt z rodziny tego nie zauważył, a jeśli nawet, nie okazywał zainteresowania. Dziewczynki rosły, z nastolatek przemieniły się w kolorowe pawiki. Wkrótce Maria wyemigrowała do Belgii, gdzie wyszła za obcokrajowca, któremu powiła dwie dziewczynki: Anię i Oliwię. Rozalia, najpiękniejsza z czwórki, związała się z celnikiem. Wkrótce urodził się im Marek, a po nim Joanna. Czasami przyjeżdżali pod Warszawę do matki. Apolonia przestrzegała córki przed zamążpójściem i pochopnym wyborem partnera. Ale kto słucha matki? Dzieci mają swój rozum, spieszą się do miodu, który po latach okazuje się łyżką dziegciu. Tak było w tym przypadku. Jeden i drugi okazał się egocentrykiem dbającym wyłącznie o własną skórę.

Apolonia o białych jak śnieg włosach troiła się, aby utrzymać siebie i dom. Siedem dni w tygodniu, w każde przedpołudnie, zbiegała małymi kroczkami po schodach na miasto, gdzie na wołomińskim targu stawała obok innych emerytów i próbowała sprzedać za grosze coś z ubrania. Stary fartuszek córki, za mały płaszcz, rajstopy albo swoją parasolkę. Ta ostatnia zawsze była potrzebna, ale cóż, w deszcz można było zmoknąć, a z czegoś trzeba było żyć. Za zdobyte w ten sposób grosze natychmiast kupowała trochę ryżu, przecier pomidorowy, kostkę masła, bochenek chleba, kartofle, cebulę, pół kilograma kurczaka na rosół. Ten musiał być w niedzielę. Czasami piekła w piekarniku ciasto drożdżowe. Wtedy była uczta. Patrzyła, jak Henryk objadał się nim po obiedzie. Kiedy najedzony do syta chwytał w pazerne palce kawałek za kawałkiem, następnie oblizywał wargi, a potem pił herbatę. Siedzieli przy stole, cisi, ukontentowani smacznym posiłkiem. Apolonia czuła się wtedy dumna jak pawica – dumna ze swojej rodziny. Czy była szczęśliwa? Pewnie tak, choć już tego nie potwierdzi, bo tydzień temu ją pochowano. Żyła 91 lat.

Lubiła wychodzić w niedzielę na balkon i śpiewać dla sąsiadów, gdy wysypywali się z domu na mszę. Jej repertuar zawierał „Tango milonga". Cóż było w tej kobiecie? Chyba to wszystko, co mogło człowieka porwać, wzruszyć, natchnąć. Stała i śpiewała, a ludziska zadzierali głowę i po wysłuchaniu pierwszych trzech linijek wiersza unosili ręce i mocno klaskali. Dlaczego bili brawo Apolonii? Gdyż była prawdziwa. Szczera i przejmująca.

Apolonia lubiła się bawić. Namiętnie zbierała małe płyty winylowe i przy radzieckim gramofonie tańczyła z Heniem i jego towarzystwem. W latach 60. bawiono się przy Presleyu, Ance, Grzesiuku. Co do picia męża, miała swoją teorię. „Wszystko przez jego rodzinę – mawiała do swej kumy z pierwszego piętra. – To oni go rozpili. Przyłazili, pili, tańczyli do rana. Mieli na niego zły wpływ".

Apolonii powodziło się coraz gorzej. Nie starczało jej na rachunki komorne, światło, jedzenie. Któregoś dnia schowała dumę do kieszeni i zapukała do sąsiadki.

– Przepraszam, że cię nachodzę – wyszeptała ze spuszczonym wzrokiem. – Czy mogłabyś mi pożyczyć 100 zł? Nie mam na chleb.

Sąsiadka zaprosiła ją do mieszkania. Ni stąd, ni zowąd podeszła do szafy, sięgnęła do szuflady i wyciągnęła kilka bel materiału.

– Masz, Polu, maszynę do szycia? Wiem, że masz.

– Mam.

– To masz tu 100 zł zaliczki. Uszyjesz według wzoru kilkanaście kurtek dla dzieci i ubranek do chrztu. Zgadzasz się?

–Tak.

* * *

– Moja mama – wspomina dzisiaj jej córka Rozalia – szyła całymi dniami aż do późna w nocy. Zapamiętałam ją siedzącą na krześle, drobną, nachyloną nad maszyną do szycia, gdy z zapamiętaniem pedałuje nogą pod spodem, lewą dłonią przesuwa materiał, prawą zaś pilnuje ściegu pod igłą. Któregoś popołudnia ustawiłyśmy się przy matce. Nagle najmłodsza z naszej czwórki przytuliła się do niej, a mama uchwyciła ją rękoma, posadziła na kolanach i mocno przytuliła.

– A ja?! A ja?! A ja?! – pozostałe z nas zaczęły się drzeć. Nie czekając na zgodę, wtulałyśmy się w matkę.

– Teraz ja! Teraz ja! Przytul mnie! Teraz moja kolej! – krzyczałyśmy jedna przez drugą.

I tak to było. Pola szyła jak opętana, na zmianę chwytała jedną, a po niej drugą i mocno tuląc, pedałowała ile sił w nogach.

* * *

Nadeszła srebrzysta zima, za tydzień miały być święta Bożego Narodzenia. Pola narzuciła na siebie ciepłe majtki, koszulinę, dwa swetry, na biodra spódnicę, jedyną jaką miała, najcieplejszą, bo był mróz. – Pamiętam – wspomina Rozalia – w oczach miała błysk, dowód wrodzonej energii i tajemniczego postanowienia, które mocno tuliła od paru dni, gdzieś z tyłu głowy. – Wrócę, dzieci, wrócę jak najszybciej – wyszeptała. – Bądźcie grzeczne, obierzcie ziemniaki i ugotujcie za jakąś godzinę, dobrze? Wrócę z choinką. Święta tuż-tuż!

Nadeszła srebrzysta zima, za tydzień miały być święta Bożego Narodzenia. Pola narzuciła na siebie koszulinę, dwa swetry, na biodra spódnicę, jedyną jaką miała, najcieplejszą, bo był mróz. – Wrócę dzieci, wrócę jak najszybciej – wyszeptała. – Bądźcie grzeczne

Las był daleko, pod Wołominem. Wsiadła zatem do autobusu i jechała kilka przystanków z wózkiem dziecinnym, który złożyła na pół. Gdy dotarła na miejsce, wyjęła siekierkę i mimo zakazu wycinania drzew kilkunastoma ruchami ścięła mały świerczek. Powędrowała do autobusu przez kopny śnieg, a tu jak z podziemia pojawiło się dwóch strażników leśnych. Pierwszy, wysoki jak topola, prowadził na smyczy wilczura.

– Hola, hola! – krzyknął za Polą, gdy ta zmykała ile tchu do przystanku.

– Co pani najlepszego robi? – zapytał rzeczowo drugi, tęgi jak beczka śledzi, tarasując jej drogę. I dodał: – Dokąd to z tym drzewem?

– Ja... – bąkała Pola.

– Taki maleńki, najmniejszy. Muszę przecież dziewczynkom coś postawić na święta...

– Za to grozi mandat 200 zł – poinformował sucho ten pierwszy.

– Ja... Panowie, ja nie mam pieniędzy nawet na chleb – zaczęła chlipać Pola. – Zrozumcie. Ciachnęłam najmniejszy, całkiem maleńki, prawda? Przecież nikomu nie ubędzie. Jak święta mogą być bez choinki?

Puścili Polę wolno. Wbrew przepisom. Może dlatego, że była małego wzrostu, a jeszcze bardziej dlatego, że wzruszyła ich jej ballada o trójce dzieci. Czy to był cud? Tak, coś w tym rodzaju. W tych podłych latach zdarzały się one częściej niż obecnie.

Apolonii się polepszyło. Któregoś wieczoru, gdy nad Wołominem zapadał zimowy wieczór, znów usłyszała znajome kroki na schodach. To wtaczał się Henryk – niczym parowóz na stację, ciągnąc wagony naładowane węglem. Kaszlący, utytłany, mocno podpity. Wstała od maszyny, otworzyła drzwi i nie patrząc na męża, cofnęła się do swojej izby.

Henryk, kolebiąc się na boki, dobrnął do korytarza. W dłoni, wyciągniętej w górę wysoko, jak tylko mógł, trzymał cztery lizaki.

*W tym roku **Krzysztof Logan Tomaszewski** obchodzi 50-lecie pracy twórczej. Jest pisarzem, poetą, kompozytorem, scenarzystą, malarzem. Autor tekstów przebojowych piosenek, w tym „Już nie ma dzikich plaż", „Ekstaza", „Zapach kobiety", książek – „Zawsze możesz powrócić", „Bohdan Tomaszewski. Poeta mikrofonu", „Ecstasy. 10 opowiadań o miłości", „Zawodowiec Bohdan Tomaszewski", „Stadion zachodzącego słońca", „Odpoczynek Casanovy". Ostatnio ukończył sztukę „Mama jesień" oraz scenariusz filmowy „Kochankowie z placu Mariackiego".*

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Pokłon przed Barańską i Antczakiem

Kiedy przyszła wieść o śmierci Jadwigi Barańskiej, TVP1 pokazała „Noce i dnie". Po raz pierwszy widziałem ten film w 1975 r., kiedy miał premierę. Po tym zdarzeniu został mi... blok rysunkowy.

Byłem wtedy zafascynowany malowniczymi scenami z ulic Kalińca, eleganckimi mężczyznami i kobietami z dawnej epoki, których pokazał Jerzy Antczak. Więc próbowałem je narysować. Na innych rysunkach usiłowałem utrwalić tak sugestywnie oddany w filmie dramat Kalińca-Kalisza palonego w 1914 r. przez Niemców. Jako 12-latek miałem już poczucie, że to jakby synteza polskiego losu.

To wielki film, nie ma w nim zbędnej sceny, jednego fałszywego tonu. Jeszcze w podstawówce rzuciłem się pod jego wpływem na wielotomową powieść Marii Dąbrowskiej, już wtedy opisywaną jako nudna. Mnie, miłośnika sag rodzinnych, życia utrwalonego dzień po dniu, zachwyciła. Film jest głównie opowieścią o małżeństwie Niechciców, inne wątki są mocno zredukowane lub nieobecne. A ja chciałem oglądać te postacie, które ledwie migały w filmowej wersji. Janusz Ostrzeński grany przez Olgierda Łukaszewicza czy rejent Holszański Andrzeja Szczepkowskiego nie mówią w nim ani słowa, a ich wykonawcy uchodzili za wybitnych aktorów. Z książki coś o nich wiedziałem.

Jerzy Antczak nakręcił serial dla takich jak ja. Teraz, po zobaczeniu filmu, rzuciłem się na te 12 odcinków. Są na platformie VOD. Tam mamy wątki poboczne i panoramę postaci, są Janusz, rejent i wielu innych. Dopiero tam w pełni czujemy rytm życia rozlewającego się wieloma strumieniami. Życia, które mimo wszystkich radosnych momentów zbyt często jawiło się Barbarze jako źródło udręki, bo przemijało, przeciekało między palcami.

Prawdą jest, że postać Barbary Niechcicowej, tragikomiczna, chwilami drażniąca, zwłaszcza na tle pogodnego, wyrozumiałego Bogumiła, to jeden z najwspanialszych kobiecych portretów w polskim kinie. Jadwiga Barańska będzie z nami już zawsze, choć z niezrozumiałych dla mnie powodów wycofała się z polskiego życia artystycznego ledwie kilka lat po „Nocach i dniach". Dała nam sugestywny powód do refleksji, czym jest związek dwojga ludzi. Choć w kompletnie innych czasach, kiedy nie rwało się ich przy pierwszej okazji, nawet gdy wydawały się niedobrane. Portrecistą prawdy o zwykłym mężczyźnie był z kolei bezinteresownie kochający, wierny (mimo dwóch zdrad) Bogumił Jerzego Bińczyckiego. To też wielka kreacja.

Ale serial bardziej nawet niż film budził także inną refleksję. Jerzy Antczak dał nam kameralną opowieść o relacjach małżeńskich. Ale przecież utrwalił w tle portret Polaków na przestrzeni kilkudziesięciu lat między powstaniem styczniowym i pierwszą wojną światową. Portret mądry i niejednoznaczny. Mamy Bogumiła, który ruszył do powstania, bo taki był narodowy obowiązek. Ale potem wybrał swoisty pozytywizm codziennej pracy „nie dla bogatego człowieka, a dla ziemi". Mamy kaliniecką inteligencję kultywującą patriotyczne rytuały i egzaltacje, ale nie dziwiącą się, kiedy Anzelm Ostrzeński (Andrzej Seweryn) robi interesy z Rosjanami.

Mamy robotników rolnych z Serbinowa, ówczesnych wykluczonych, choć traktowanych z szacunkiem przez szlacheckiego syna Bogumiła.

W czasach PRL, kiedy rządzący często deformowali polską historię, Jerzy Antczak wykonał wielką pracę, aby ten zapis wypadł wiarygodnie. Więcej – aby budził sympatię dla polskiej wspólnoty, choć bez grama patriotycznego lakiernictwa. Za to poczucie ciągłości, które rozumiałem wraz ze swoją rodziną już wtedy, gotów jestem bić nieustające pokłony przed nim i jego żoną Jadwigą Barańską.

Piotr Zaremba

3 MIŁOŚCI

Skandal Wcielenia

ROBERT TEKIELI

Boże Narodzenie jest obchodzone od siedemnastu stuleci. Sztuka od zawsze była w istotnej relacji do duchowości, dziś na nasze wyobrażenie transcendencji wpływ mają również ideologia i komercja. W Polsce jednym z najwybitniejszych rymowanych utworów literackich jest „Pieśń o narodzeniu Pańskim" Franciszka Karpińskiego, znana bardziej jako kolęda „Bóg się rodzi". Swą niesamowitą siłę zawdzięcza m.in. zgromadzeniu oksymoronów niezwykłych w swej wykwintnej prostocie. Ogień, który krzepnie, truchlejąca moc, ograniczona nieskończoność, śmiertelność niepodlegająca czasowi – wszystkie te niemożności opisują skandal Wcielenia. Boskiej wszechmocy, która objawiła się nam pod postacią bezradnego niemowlęcia.

W czasach renesansu, baroku i manieryzmu scena Bożego narodzenia była chętnie malowana przez największych twórców. Najwybitniejsze przedstawienia pochodzą spod pędzli Fra Angelica, Sandra Botticellego, Hansa Memlinga, Hieronima Boscha, Albrechta Dürera, Caravaggia, Rubensa, Rembrandta i El Greca.

Również w literaturze możemy znaleźć wiele różnych ujęć Bożego narodzenia. Upraszczając, dominują dwa tropy. Jedni artyści akcentują, że jest to czas przemiany i ujawnienia się dobra.

Chyba najbardziej do dziś znany utwór literacki związany z Bożym narodzeniem to „Opowieść wigilijna" Charlesa Dickensa: pod wpływem duchowego oddziaływania skąpiec potrafił się zmienić i zrozumieć swoje naganne zachowanie wobec innych ludzi.

Drugi trop jest oparty na kontraście. Do dziś, choć może należałoby napisać – do wczoraj na tle świąt miłości i dobroci dla innych wielką siłę oddziaływania miał/ ma obraz cierpienia i śmierci przywołany w bajce „Dziewczynka z zapałkami" Hansa Christiana Andersena. Podobną drogą idzie Krzysztof Kamil Baczyński w wierszu „Z szopką": „Górą białe konie przeszły, / trop dymiący w kłębach stanął, / w gwiazdach płonąc cicho trzeszczy / wigilijne siano. / Spoza gór czy sponad ziemi / anioł biały? kruchy mróz? / starcy w niebo nachyleni? / Anioł biały szopkę niósł. // Zamknąć tak – to ironicznie – / w daszek gwiazdom pobielany, / płomień wieków i człowieka / w tekturowe cztery ściany. / Zamknąć tak – to z odległości – / w dwie figurki – czarną, białą, / rozdeptanych epok kości / i spalone żądzą ciało. // W naprężone kusze burz / anioł biały – szopkę niósł. // A figurki w męce gasnąc / coraz słabły, zanikały / w napowietrzną gwiazdy jasność, / tekturowo – popielały. / Śmiał się anioł półuśmiechem / z ich uporu, a nie grzechu, / że tak jedni – choć ich stu. // Anioł biały szopkę niósł. // Aż na grudzie stopą lekką / stanął niby mgłą i skałą / i koślawe, głodem ścięte / ujrzał w grudę wbite – ciało, / żeber czarnych łuki spięte, / poskręcane rydle rąk, / brzuch jak bęben życia – wzdęty, / brzuch zsiniały, brzuch jak tłok, / i zawrócił. W nieba plusk / poczerniałą szopkę niósł".

Te wszystkie renifery, krasnale, bałwanki, skarpety skłaniają do zastanowienia się, czy przypadkiem nie świętujemy bez święta i radujemy się bez powodu do radości. Do komercyjnej agresji coraz częściej dochodzi agresja ideologiczna

Skandal Wcielenia mieści w sobie również tragedię wojenną, z którą mierzył się autor „Sur le pont d'Avignon". Narodziny Dziecięcia mają w sobie zapowiedź potwornej kaźni niewinnego człowieka.

Dziś jednak czas radości. Dobro jest niewinne jak niemowlę. Pełne nadziei jak gwiazda betlejemska na szczycie choinki. Ufne jak szczenię.

Święta są antymagiczne. Choć słowo „magia" we zwrocie „magia świąt" jest używane metaforycznie, i tak wytarło się do niemożliwości jak nos renifera Rudolfa. Zachodnią wyobraźnię skolonizował wizerunek św. Mikołaja z reklamy pomysłu Haddona Sundbloma z 1931 r. Niepodzielnie rządzi również katolicką wyobraźnią, co trudniej już zrozumieć. Te wszystkie renifery, krasnale, bałwanki, skarpety skłaniają do zastanowienia się, czy przypadkiem nie świętujemy bez święta i radujemy się bez powodu do radości.

Do komercyjnej agresji coraz częściej dochodzi agresja ideologiczna. W tym roku w Polsce ze względu na wybory była prawie niezauważalna.

Z naszą wiarą walczyli i komuniści, i naziści. Współczesna lewica robi to samo, tylko bardziej wyrafinowanymi metodami. Dziś walczący z symboliką religijną Bożego Narodzenia są znów ledwie na etapie psucia nam świąt. Zaczyna się od „ratowania" karpia, alternatywnych choinek z korków po winie – swoje obrzędy zaczną wprowadzać za pół wieku. Już są pierwsze próby, Szczodre Gody, chiński Nowy Rok czy Święto Słońca Niezwyciężonego zamiast Bożego Narodzenia. Mogą śmieszyć wezwania polityków do niereligijnych wigilii, potem przyjdą zakazy.

Pierwszym krokiem do klęski jest banalizacja, komercjalizacja i wypłukanie katolickich świąt z religijnego szkieletu. Rodzinne spotkania, miła atmosfera to tylko dodatek. Jeśli to będzie treścią prze-

żywania roku liturgicznego przez katolików, lewicowi agresorzy szybko dokonają ostatecznej destrukcji. Można bowiem przeżyć kolejną krzątaninę i w zabieganiu za prezentami nie dotknąć istoty. Każdy musi w samotności odkryć swoją drogę do ciszy. Każdy musi przejść indywidualny kurs słuchania. Bez ciszy i wytężonego słuchu nie można usłyszeć słów, które mogą uporządkować nasze życie. Bo teraz to właśnie Słowo przychodzi na świat. Ma wielkie prezenty. Pełnię życia, radość owocowania, spełnienie i pokój. Do tych prezentów jednak trzeba dorastać. Trzeba wyrwać się z kieratu, by zasmakować wolności. Trzeba odważyć się i zaufać.

Wielu wierzy w istnienie Boga. Bogu wierzy niewielu. A tylko to zaufanie czyni z nas jego przyjaciół.

Warto więc skorzystać z tego świątecznego czasu. Warto posłuchać. Zatrzymać się i poczekać. Dać mówić ciszy wewnątrz nas. Ci, którzy mówią na zewnątrz, mają wiele pomysłów i różne drogi. Ten, który mówi w nas, wie, jak i którędy.

Ogień krzepnie, blask ciemnieje, ma granice Nieskończony. Dziś w żłobie odpoczywa, z nieba zszedłszy, Prawda żywa: zbawienie jest twoje w ręku tej Dzieciny, tylko proś ze łzami, odpuści ci winy. Wszak na rączkach ma powicie, karać nie może, bo Dziecię, tylko dawać życie.

Bóg narodził się w ludzkim ciele. To niewyobrażalna tajemnica, dla części aniołów – skandal. Wigilia jest dniem oczekiwania na te narodziny. Jeśli dobrze wykorzystałeś czas adwentu, w twoim sercu dokona się przemiana. Dzięki rytuałowi *sacrum* spotyka się z *profanum*. I *profanum* wychodzi z tego spotkania przemienione. Oby tak się stało.

WOJNA CYWILIZACJI

POPKULTURA

Może być Niech mi wybaczą wszyscy miłośnicy Tolkiena, ale nie potrafię traktować poważnie ***„Pierścieni władzy”***. Drugi sezon tego serialu, mimo iż znacznie lepszy od pierwszego, dalej zdaje mi się nieinteligentną kpiną z twórczości autora „Hobbita”. I nawet nie chodzi o poprawnościowe idiotyzmy, Murzyn elf przestał dziwić, więc dopiero tu możemy się zamyślić nad naszą naturą tak skłonną do adaptacji. Ale fakt pozostaje faktem: obsadzić czarnoskórego w roli elfa to tak, jakby obsadzić mieszkańca Kenii w roli fińskiego albinosa. Nieważne. Problem z serialem jest bowiem inny i fundamentalny. Jego twórcy nie byli w stanie podjąć decyzji, czy opowiadają własną historię, używając Tolkienowskiego sztafażu, czy próbują być wierni oryginałowi. Miotają się więc pomiędzy jedną a drugą postawą, co owocuje dziurami fabularnymi, brakiem podstawowej logiki opowieści i absurdami, takimi jak uczynienie z Galadrieli, jednej z najpotężniejszych postaci w Śródziemiu, pogubionej nastolatki. Zaznaczam, że nie jestem purystą w tych kwestiach. Nie ma dla mnie znaczenia, jak nonszalancko podchodzą do powieści twórcy ich adaptacji. Liczy się bowiem jakość nowego dzieła. Czy ktoś pamięta, że Szekspir opierał osie fabularne swych sztuk na zupełnie nieznanych już dziś pierwowzorach? Liczy się tylko głębia jego obserwacji, rozumienie niezmiennych mechanizmów miłości, zemsty, zdrady i ludzkich słabości czy przewag. Dzięki autorowi „Makbeta” rozumiemy lepiej siebie, człowieka wychowywanego już przez kulturę nieintegralną. Mógłbym więc zapomnieć o Tolkienie i oglądać „Pierścienie władzy” jako kolejny serial fantasy. Tyle że wtedy po pierwszym odcinku po prostu dalej bym go nie oglądał, gdyby to nie był Tolkien.

Z myśli piewcy Śródziemia na szczęście pozostało jego główne chrześcijańskie przesłanie: „Nie siła przezwycięża mrok” oraz odrzucenie wypowiadanej przez Saurona, uosobienie zła, zwodniczej pseudomądrości: „Aby znaleźć światło, najpierw trzeba dotknąć ciemności”. Zła się nie dotyka, nie prowadzi się z nim dialogu, nie dyskutuje się. Jest tak-tak, nie-nie. A co więcej jest, od złego jest.

Tolkien powtarza, że przemocy nie da się pokonać przemocą, że ciemność przezwycięża nie siła, lecz światło. Więc patrząc za Bug, na gwałty, mordowanych cywili i zabijanych żołnierzy, nie zapominając, że by zachować pokój, trzeba się gotować do wojny, mamy pamiętać, iż ostatecznie: „Armie powstają, a serca truchleją, ale światło wciąż trwa i jest potężniejsze od siły. Przed nim bowiem cała ciemność musi uciec”. Co tym bardziej ważne w ostatnich dniach adwentu i zaraz potem.

***Robert Tekieli**, Polskie Radio*

Kolęda polska

Polska tradycja kolędnicza jest fenomenem światowym. Podobno jest ich ok. 600, mają charakter lirycznych kołysanek, pieśni marszowych i tanecznych. Są świadectwem naszej wiary, narodowej tożsamości i historii

MAZOWSZE to liryzm polskiej pieśni ludowej podniesionej do światowego wymiaru także w przypadku kolęd. Trudno sobie wyobrazić Wigilię bez „Bóg się rodzi" w aranżacji artystów z Mazowsza. Kiedyś w domach często słuchano płyt zespołu z kolędami, a już na pewno pozostają zestawem obowiązkowym dla radia. Ten album zawiera najpiękniejsze polskie kolędy.

Mazowsze, „Kolędy i pastorałki", MTJ Agencja Artystyczna 2013

GOLEC uORKIESTRA wydała już kilka płyt z kolędami, łącząc tradycję i nowoczesność. Chyba najciekawszą z nich jest ta zarejestrowana podczas grudniowego koncertu w 2013 r. w bazylice jasnogórskiej. To ponadtrzygodzinny zestaw 21 najpiękniejszych polskich kolęd i pastorałek pełnych góralskiego frazowania, barokowej i pop-rockowej stylistyki. Zespołowi z beskidzkiej Milówki towarzyszą m.in. lubelski chór Gospel Rain, kwartet dęty znakomitego puzonisty prof. Zdzisława Stolarczyka, a na XVII-wiecznych skrzypcach Antonia Stradivariusa Agata Szymczewska.

Golec uOrkiestra, „Koncert kolęd i pastorałek w bazylice jasnogórskiej", Golec Fabryka 2014

Dzięki **WARSZAWSKIEJ ORKIESTRZE SENTYMENTALNEJ** możemy posłuchać kolęd nieco w stylu retro i z międzywojennym sznytem przy akompaniamencie mandoliny, tary, klarnetu i akordeonu oraz delikatnego i sentymentalnego głosu Gabrieli Mościckiej. W świątecznym repertuarze zespołu znajdują się kolędy bardzo dobrze znane każdemu, a także te tradycyjne i dawne, ale dziś nieznane, oraz melodie skomponowane do starych kolędowych tekstów ze śpiewnika pelplińskiego. „Kolęda hetmańska", „Ptasia kolęda", a szczególnie „Radziła Trójca Święta" uzupełniają domowy śpiewnik.

Warszawska Orkiestra Sentymentalna, „Śpiewnik kolędowy" 2021

„BÓG SIĘ RODZI" to arcypolska kolęda wykonywana w rytmie poloneza. Znajdziemy ją na wszystkich trzech wspomnianych płytach, na pewno dostępnych w serwisach streamingowych. Jest ona niezwykłym połączeniem przesłania patriotycznego i religijnego. Franciszek Karpiński napisał ją na życzenie księżnej Izabeli z Czartoryskich Lubomirskiej, a wydał wraz z innymi pieśniami okolicznościowymi w zbiorze „Pieśni nabożne" z 1792 r., po ogłoszeniu Konstytucji 3 maja. Tekst został świadomie silnie naładowany prawdą teologiczną i paradoksalnie wyraża on antynomie, oksymorony i antytezy – „ogień krzepnie", „blask ciemnieje". Ich kumulacja stworzyła mocny i dostojny przekaz, często uważany wręcz za kolędę hymn. Jest podniosła i surowa, a prośba o błogosławieństwo Boże nad „ojczyzną miłą" przypomina nam o wspólnocie narodowej. Jak pisał Karpiński do króla Stanisława Augusta, kierował on swoje pieśni religijne do zwykłych ludzi: „Według możności pieśni moje składałem w myśli pokazania ludowi ich powinności względem Boga i bliźniego: jak mają być cierpliwymi w przypadkach, ulegającymi rządowi i powołaniu, jak kochać ojczyznę swoją". I to właśnie przekonanie uzasadnia obecność motywu patriotycznego w pieśni „O narodzeniu Pańskim" – bo taki był jej pierwotny tytuł. Wesołych świąt!

Maciej Walaszczyk

Boskie incydenty

Bóg objawia się prozaicznie, więc nie zawsze to dostrzegamy. Życie i śmierć, szczęście i nieszczęście, a w końcu szarawa codzienność wszędzie pozostawiają ślady, które ujawnia proza Horubały

Co mówi nam katolicka teologia i zwykły, dostępny każdemu katechizm? Że Bóg jest, wie o wszystkim, co się dzieje na ziemi, zna tajemnice wszystkich serc i wszystko o jakimkolwiek bycie, który istnieje. No i kocha wszystkie swoje stworzenia, jest sprawiedliwy, a okazuje to, karząc za zło i nagradzając za dobro. Ale tylko częściowo rozstrzyga się to tu, na ziemi.

A człowiek? Jego celem jest szczęście, ale jest wolny w swych decyzjach i może się mylić co do przedmiotu dobra, do którego dąży. A wtedy łatwo o nieszczęście, wtedy wkracza też Bóg. I do tych granicznych sytuacji dociera Andrzej Horubała.

Nowy zbiór opowiadań autora „Farciarza" i „Umoczonych" to mocna proza religijna. Zawiera siedem odrębnych historii i choć każda z nich mogłaby istnieć oddzielnie, to jednak dopiero złożone razem stanowią spójny obraz. Łączy je nie tyle pytanie o istnienie Boga, bo o tym autor jest przekonany, ile dramatyzm relacji z przebiegu owych tytułowych incydentów. Rozgrywają się one w naszej dawno „odczarowanej", postsekularnej rzeczywistości, w której wciąż zmagamy się z problemami religijnymi, a odpowiedzi na najważniejsze życiowe pytania są poza naszą racjonalnością. Horubała twierdzi, że Bóg wysłuchuje modlitw, które dla dzisiejszych ludzi, w tym zeświecczonych duchownych, stały się zbiorem rytualnych gestów, że został złapany na gorącym uczynku w migawce życia. No, może nie dosłownie, bo jak przypomina obezwładniony niewiarą zakonny celebryta, który z „maestrią obnaża teologiczne błędy w pismach swoich rywali", kto zobaczy Boga, ten umrze. I jego serce, doświadczając oczekiwanego, matematycznego dowodu na istnienie Najwyższego, zostaje właśnie „duchowo spopielone". Opowieść o splecionych we wręcz śmiertelnej zależności losach zakonnych współbraci („Mniszek") autor montuje, a może rekonstruuje, beznamiętnie. Tak jak wszystkie te historie podaje w sugestywnej, pierwszoosobowej narracji, we wgryzającej się w świadomość pamiętnikarsko-osobistej mowie pozornie zależnej, czasem niestety ocierającej się o wulgarność.

Te siedem opowiadań jest nie tyle siedmioma dowodami na istnienie Boga, ile raczej odpowiedziami na tak powszechny brak jego doświadczenia i problem dostrzegania Bożej obecności w świecie. Bo tego rodzaju pytania na pewno nurtują człowieka oślepionego i ogłuszonego na takie doświadczenia. I nie zawsze znajduje on na nie odpowiedź, choć wydarzenia rozgrywające się wokół – przekonuje pisarz – niezbicie dowodzą Boskiej aktywności. Nie dostrzega tego (jeszcze) mężatka opuszczona wraz z dorastającą córką przez prącego ku karierze męża („Hanka"), która właśnie boskim zrządzeniem losu nie zabiła niechcianej córki. Tym cudem incydentem jest sąsiadka dewotka. W tej historii Horubała umieścił ciekawą metaforę o skutkach zdegradowanej męskości i ojcostwa. To w nich widzi ważną przyczynę, dla której tysiące kobiet i dziewcząt wzięły udział w aborcyjnych protestach z 2020 r., stając po stronie jeszcze większego zła. „Fryzjerka" to znów trudne pytanie o respektowanie swojego prawa do życia. Bo kto go broni, „nie jest winny zabójstwa, nawet jeśli jest zmuszony zadać swemu napastnikowi śmiertelny cios". Nawet brzytwą. „Incydenty" rozgrywają się w dobie kryzysu Kościoła posoborowego, często ogołoconego z *sacrum* i z nadmiarem nowoczesnego duszpasterstwa, a dodatkowo osieroconego przez śmierć papieża; pełnego księży, których kapłaństwo stało się jedynie „wspomnieniem czasu euforii". W dobie konsumpcji i kapitalizmu będącego rajem dorobkiewiczów i cyników m.in. ze świata korporacji („Epizod").

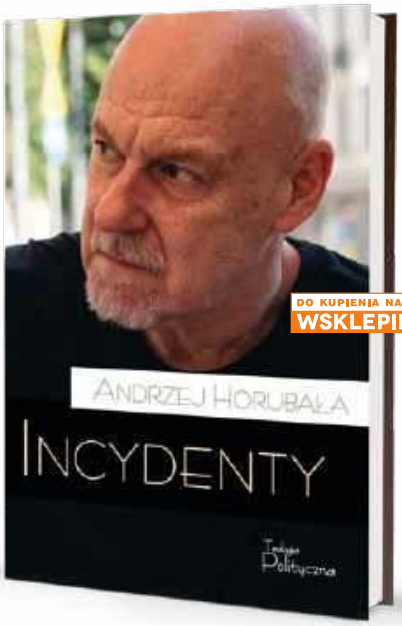

DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL
AUTOPROMOCJA

Nie pogardzajmy więc incydentami składającymi się w „żałosne puzzle codziennych drobnych epifanii". Choć „incydent", którego doświadcza biznesmen mafiozo ciężko pobity przez siostrę zakonną pod łagiewnickim sanktuarium nie jest przecież taki „żałosny", przybierając rozmiary gwałtownego wtargnięcia Boga w jego życie. „Boli cię, rwie u nasady mostka, akurat w tym punkcie, z którego na obrazie Jezusa Miłosiernego wypływają strumienie łaski: czerwony i biały znaczące krew i wodę, albo jak kto woli barwy naszej udręczonej ojczyzny. Ojczyzny udręczonej, dewastowanej przez takich skurwysynów jak ja". Bóg przyłapany na robocie.

Andrzej Horubała, „Incydenty", Teologia Polityczna 2024

Z WOLEJA

Dwa bratanki, ale my strzelamy bramki

Ryszard Czarnecki

Kończy się prezydencja Węgier w UE. To dobry pretekst, aby w myśl hasła „Lengyel, Magyar két jó barát" („Polak, Węgier – dwa bratanki") napisać o ich futbolu.

W pierwszej dekadzie po II wojnie światowej Madziarzy byli najlepsi na świecie w kopaniu piłki. „Aranycspat" – po węgiersku „Złota jedenastka" – pod wodzą trenera Gusztáva Sebesa na 61 meczów wygrała 54 (!), zremisowała 5 i przegrała tylko 2. Z igrzysk w Helsinkach w 1952 r., które przeszły do historii także dlatego, że po raz pierwszy startował w nich Związek Sowiecki, nasi bratankowie przywieźli złoty medal, a o ich dominacji świadczy fakt, że w ćwierćfinale pokonali Turcję 7:1, a w półfinale Szwecję 6:0. Dwa lata później Węgrzy pojechali na towarzyski mecz z Anglią, z którą nikt wcześniej nie wygrał na wyjeździe. Spotkanie określono mianem „meczu stulecia". Goście wygrali aż 6:3! Po kilku tygodniach odbył się rewanż w Budapeszcie i Anglicy zostali rozgromieni 7:1, co było najwyższą porażką w historii Albionu.

Na mundial do Szwajcarii Węgrzy jechali jako absolutni faworyci. Od razu odnieśli najwyższe zwycięstwo w historii wszystkich mistrzostw świata w piłce nożnej, pokonując 9:0 Koreę Południową. Potem strzelili aż osiem bramek Niemcom, w ćwierćfinale ograli ówczesnego mistrza świata – Brazylię, a w półfinale Urugwaj. Do finału przystępowali niepokonani od 51 meczów. Znów grali z Niemcami. Po ośmiu minutach prowadzili 2:0 i wydawało się, że jest po meczu. Tymczasem zawodnicy NRF (ówczesna nazwa), ograni przez nich w grupie różnicą pięciu bramek, strzelili trzy gole, a angielski sędzia nie uznał bramki Węgrów na 3:3. W dodatku najlepszy piłkarz świata Ferenc Puskás nabawił się kontuzji i Niemcy, którzy przegrali II wojnę, sensacyjnie wygrali pierwszy powojenny mundial rozgrywany w Europie.

Po dwóch latach Węgrzy walczyli już nie na boisku, tylko na ulicach Budapesztu. Po stłumieniu powstania przez Sowietów najlepsi zawodnicy wyjechali za granicę, np. Puskás grał w Realu Madryt, a nawet w reprezentacji Hiszpanii.

Równo 20 lat po zdobyciu złotego medalu olimpijskiego w Helsinkach Węgrzy znów zagrali w finale IO. Tym razem w Monachium z Polską. Do przerwy prowadzili 1:0, ale potem Kazimierz Deyna, późniejszy król strzelców turnieju, zdobył dwa gole i na niemieckiej ziemi usłyszeliśmy „Mazurka Dąbrowskiego". Nasi kibice mówili wtedy: „Polak, Węgier – dwa bratanki, ale my strzelamy bramki". Na Węgrów czekało srebro i wiele chudych piłkarskich lat, w których mogli zazdrościć Biało-Czerwonym, tak jak my zazdrościliśmy im wcześniej.

Michał Korsun prezentuje:
W co gra prokurator Ewa Wrzosek?

Wycinki z przeszłości

W grudniu 1964 r. tygodnik „Dookoła Świata" zamieścił żartobliwe „Świąteczne vademecum rozmowy towarzyskiej". Polecano następujące „bezpieczne rodzinnie" tematy: „o umiejętności ucztowania, o zdrowiu i chorobach, o młodzieży, o wczasach oraz o pogodzie i technice".

W tym ostatnim taki wątek: „Teraz zima to nie zima, a lato to nie lato. Kiedyś na Boże Narodzenie był zawsze mróz, a teraz to raz tak, raz tak. Myśmy, dzieci, pamiętam, zawsze czekały na tę pierwszą gwiazdkę, żeby już szybciej pod choinkę, wtedy się młodzież potrafiła cieszyć, a dzisiaj przez te wybuchy atomowe to się całkiem klimat zmienia. I to będzie coraz gorzej, bo tyle tych sputników lata, że to nie może pozostać bez wpływu".

Brzmi znajomo? Miłych rozmów towarzyskich przy świątecznym stole wedle załączonego obrazka lub spontanicznych!

(mk)

Autopromocja

eprasa.pl 6db4984789

POLITYKA NA DESER

codziennie
21:30
wPolsce 24

Wydarzenia dnia w lekkiej formie i z humorem.

GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

52	192	32	825	196	65	459
telewizja naziemna	netia	orange	vectra	polsat box	PLAY dawniej UPC	inea

eprasa.pl 6db4984789

OD A DO ZYBERTOWICZ

Notre Dame na Boże Narodzenie

To nie była tylko techniczna odbudowa ani tylko symboliczne odrodzenie świątyni, ale wydarzenie głęboko religijne

Choć byłam tam tylko trzy razy, do paryskiej katedry Notre Dame mam osobisty stosunek. Pod koniec lat 90. ub.w. zapaliłam tam świeczkę w życiowej intencji (która się spełniła). Nic zatem dziwnego, że feralny pożar katedry w 2019 r. mocno mną poruszył. W październiku 2022 r., obejrzawszy film „Notre Dame płonie", który wyreżyserował Jean-Jacques Annaud, napisałam dla tygodnika „Sieci" felieton: „Instynkt czytania zagrożeń".

Niekiedy jestem zadowolona z możliwości, jakie daje internet. Dzięki niemu niedawno śledziłam na żywo dwie transmisje. Pierwszą z uroczystości otwarcia odbudowanej po pożarze katedry, a następnego dnia transmisję z odprawionej tam niedzielnej mszy. Nie jestem pewna, czy całkiem rozumiem, skąd miałam aż tak silną potrzebę skupienia się na tym wydarzeniu. Żywe wspomnienie własnej modlitwy w tym miejscu? Słabość do starych świątyń? Często jej ulegam podczas różnych podróży.

A może najsilniejsze jest moje odczucie, że pozostały nam już dosłownie ostatnie chwile na ocalenie fundamentów chrześcijańskiej Europy?

Po pięciu latach od pożaru uroczystości ponownego otwarcia katedry Notre Dame miały być tak zorganizowane, by świecka część była oddzielona od religijnej. Jak przystało na Francję, „wzorcowo" rozdzielającą państwo od Kościoła. Deszcz, niesprzyjająca aura (?) pokrzyżowały jednak plan wygłoszenia przez prezydenta Emmanuela Macrona sobotniego przemówienia na placu przed katedrą. Zrobił to w jej wnętrzu. Dzięki deszczowi świeckie świętowanie płynnie złączyło się z katolickimi obrzędami.

FRANCJA WARTA MSZY

W 1593 r. Henryk z Nawarry, późniejszy Henryk IV, żeby zostać królem Francji i jednocześnie zakończyć wojnę religijną między hugenotami a katolikami, przeszedł na katolicyzm. Usprawiedliwiając swój czyn, miał powiedzieć: „Paryż wart jest mszy" (*Paris vaut bien une messe*).

Ponad cztery wieki później, w sobotni wieczór 7 grudnia 2024 r., w oświeconej Francji jej prezydent Emmanuel Macron wygłosił przemówienie pod dachem Notre Dame. W środku świątyni, w przestrzeni, w której to duszpasterze głoszą kazania. Następnego dnia wziął także udział w mszy. Jak podają media, w sytuacji niezwykle delikatnej dla prezydenta Francji. Laicki reżim nie toleruje niemal żadnych gestów ani słów, które można zinterpretować jako czynne włączenie się do religijnych obrzędów. Wszelako: „Wierzący i niewierzący, jesteście tu mile widziani, aby uczestniczyć w radości wierzących, którzy uwielbiają Boga" – powiedział koncelebrujący Eucharystię arcybiskup Paryża Laurent Ulrich.

IMPULS

Jeśli już się zdarza, by światowych przywódców, ludzi wpływowych, ważne osobistości i celebrytów łączyło wydarzenie o charakterze religijnym, to zwykle jest to pogrzeb kogoś ważnego. Tym razem było inaczej.

Intuicja mi podpowiada, że ponowne otwarcie Notre Dame to nowy początek. To jak wyczekiwane i wymodlone narodziny. Wydarzenie, które okazało się nie tylko wielkim świętem i wielkim spotkaniem, lecz także jednocześnie czymś, co może stać się impulsem do poważniejszego resetu kultury Zachodu.

To nie była tylko techniczna odbudowa ani tylko symboliczne odrodzenie świątyni, ale wydarzenie głęboko religijne. Ufam, że spotkanie, w którym uczestniczyło prawie 50 głów państw i szefów rządów oraz 1,5 tys. różnych VIP-ów nie tylko poruszyło serca Francuzów, lecz także przypomniało całemu światu o chrześcijańskich korzeniach Europy. Przez wieki były one źródłem i fundamentem kultury, sztuki i duchowości. Że patronka katedry – matka Jezusa – na nowo stanie się punktem odniesienia dla milionów ludzi szukających oparcia w czasach niepewności.

Myślę, że Emmanuel Macron uczestniczył w wydarzeniu, którego dziejowy kaliber przewyższa wszystko inne, w czym dotąd brał udział. Może w przyszłości jego imię w pierwszej kolejności będzie kojarzone z odrodzeniem Notre Dame. Z symbolicznym aktem lojalności Francji wobec wyższych wartości (bo chyba jeszcze nie z powrotem do swoich chrześcijańskich korzeni). Coś mi mówi, że będzie z tego zadowolony. Chrystus narodził się także dla niego.

Katarzyna Zybertowicz

Autopromocja x2

eprasa.pl 6db4984789

PLEBISCYT DLA CZYTELNIKÓW

Człowiek Wolności 2024 tygodnika SIECI

XII EDYCJA PLEBISCYTU

Już po raz dwunasty wybieramy **Człowieka Wolności**, czyli osobę, dla której wolność jest wartością najważniejszą, a jej obrona i szerzenie codzienną powinnością

2023
Prezes NBP
prof. Adam Glapiński

2022
Minister Obrony Narodowej
Mariusz Błaszczak

2021
Prezes PiS
Jarosław Kaczyński

2020
Prezes PKN ORLEN
Daniel Obajtek

2019
Premier
Mateusz Morawiecki

2018
Wicepremier
prof. Piotr Gliński

2017
Prezes Trybunału Konstytucyjnego
Julia Przyłębska

2016
Prezes PiS
Jarosław Kaczyński

2015
Prezydent RP
Andrzej Duda

2014
Poeta i pisarz
Jarosław Marek Rymkiewicz

2013
Historyk z IPN
prof. Krzysztof Szwagrzyk

Zapraszamy Czytelników, by razem z nami wskazali kandydata do tytułu Człowiek Wolności 2024. Prosimy wypełnić kupon i przesłać go do 3 stycznia 2025 r. na adres: Fratria Sp. z o.o., ul. Finlandzka 10, 03-903 Warszawa, z dopiskiem „Plebiscyt".

Jest też szybszy i prostszy sposób, by zgłosić swojego kandydata – **przez wiadomość SMS**. Wystarczy do 3 stycznia 2025 r. wysłać SMS o treści: ***PLEBISCYT. Imię i nazwisko*** wybranej przez Ciebie osoby na numer **73550** (koszt SMS **3,69 zł z VAT**).

Regulamin plebiscytu dostępny na www.sieciprawdy.pl i na www.wpolsce24.tv. Organizator Fratria Sp. z o.o.

KUPON ZGŁOSZENIOWY – Plebiscyt Człowiek Wolności 2024 tygodnika SIECI

imię i nazwisko kandydata .....

☐ *Akceptuję Regulamin plebiscytu „Człowiek Wolności 2024 tygodnika Sieci" i oświadczam, że zapoznałam/em się z jego treścią.

* pole obowiązkowe

PARTNER PLEBISCYTU SALTUS UBEZPIECZENIA

ORGANIZATOR PLEBISCYTU SIECI

eprasa.pl 6db4984789

Świąteczna prenumerata tygodnika SIECI

Zyskujesz najwięcej!

47% rabatu

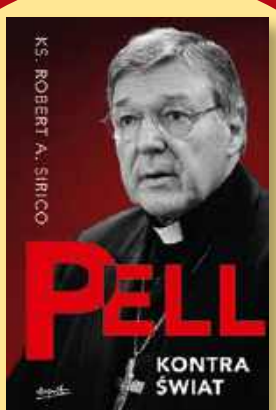

Biograficzna książka w prezencie

50 książek w prezencie

Teraz prenumerata 26 zł taniej

(od 1 stycznia 2025 r. cena wzrośnie do 375 zł)

PELL KONTRA ŚWIAT

Książka opowiadająca pasjonującą historię duchownego, który na zawsze zmienił oblicze Kościoła.

144 strony | biografia wielkiego człowieka Kościoła | inspirująca lektura

Zamów już dziś z rabatem 47% i o 26 zł taniej niż w przyszłym roku!

www.sieciprawdy.pl/prenumerata

Roczna prenumerata SIECI z książką w prezencie **teraz za 349 zł**

Przed zamówieniem prenumeraty upewnij się, że książka jest nadal dostępna:
prenumerata@fratria.pl | tel. 22 616 36 00 w godz. 14-16

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria Sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując pełne dane adresowe do wysyłki.

eprasa.pl 6db4984789